

Dc. II 1

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 156.

[ BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO-POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

4, 19 1879.] *mach*

SERYA V.

Grudzień.

TOM IV. — ZESZYT XII.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

— 225 —

*Ukończono druk dnia 3 grudnia 1879 roku.*

## T R E Ś Ć.

	stron.
I. Franciszek Maksymilian Ossoliński, podskarbi wielki koronny. Przez Klemensa Kanteckiego. (Dokończenie) . . . . .	337
II. Rzut oka na piśmiennictwo w Ameryce południowej. (Według źródeł hiszpańskich). Przez A. G. . . . .	358
III. Stanisław Murzynowski. (Wiadomość bibliograficzna). Przez G. Z. . . . .	385
IV. Przemysł cukrowniczy w Królestwie Polskiem. Przez Antoniego Wrotnowskiego. (Dokończenie). . . . .	393
V. Nasi poeci w literaturze powszechniej. Przez Feliksa Jezierskiego. . . . .	422
VI. Przegląd pedagogiczny. Przez Piotra Chmielowskiego . . . . .	431
VII. Kronika lwowska. Przez Władysława Zawadzkiego . . . . .	454
VIII. Korrespondencya do redakcyi Biblioteki Warszawskiej. Przez T . . . . .	469
<b>IX. PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.</b>	
Aleksander Kraushar: Pieśni Heinego; wydanie nowe, przejrzone i uzupełnione. Warszawa. Gebethner i Wolff, 1880 r. . . . .	472
Dzieła Platona. Przekładał z greckiego Antoni Bronikowski. Tom II. Poznań, w komisji księgarni J. K. Żupańskiego, 1879, str. 404. Przez F. J. . . . .	483
D. Karola Schenkla: Ćwiczenia greckie. Podług dziesiątego wydania niemieckiego, do języka polskiego zastosował dr. Zygmunt Samolewicz. Wydanie trzecie. We Lwowie. Nakładem Karola Wilda, 1879 r. Przez F. J. . . . .	487
Przyroda i przemysł. Tygodnik popularno-naukowy. Rok VIII. (Po objęciu redakcyi przez prof. Uniwersytetu Warszawskiego dr. Karola Jurkiewicza, od lipca 1878 do lipca 1879 r.). Przez A. W. . . . .	489
X. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne. . . . .	493
Nekrologia. . . . .	506
Od redakcyi. . . . .	508

De. II. 1.

# FRANCISZEK MAKSYMILIAN OSSOLIŃSKI,

PODSKARBI WIELKI KORONNY <sup>1)</sup>.

PRZEZ

*Klemensa Kanteckiego.*

### III.

Od chwili niemal połączenia się z Leszczyńskim, Ossoliński był jego prawą ręką, najpierwszym i najzaufanyszim doradcą i jakbyśmy dziś powiedzieli, ministrem spraw zagranicznych. W charakterze tym występuje on w listach do różnych stronników króla Stanisława, przede wszystkim zaś do oboźnego koronnego, Jerzego Ożarowskiego, zaszczyconego ważną misją do Francji. Korrespondencya tych dwu ludzi, przechowana w całości <sup>1)</sup>, wskazuje dowodnie, jak niesłychanie trudnym i kłopotliwym było stanowisko podskarbiego; przekonywa, że sprawa już wtedy była niepowrotnie straconą i że najświetniejszy talent dyplomatyczny nie mógł jój ocalić. Nie brakło wprawdzie pięknych przyrzeczeń z różnych stron, z kraju i zagranicy: chętni się Polacy gorącą miłością do prawowicie wybranego króla, ale na popieranie go wychodzili zaledwie garstkami, podczas gdy nieprzyjaciół wystawiał całe armie. Zaręczali Francuzi, że nigdy nie dopuszczą, aby teść ich władcy uległ brutalnej przemocy; głosili, że tylko w jego interesie rozpoczęli walkę z cesarzem, ale wistocie wspierali go jedynie szczupłymi, nieregularnie wypłacanymi zasiłkami pieniędzmi. Czekali zaś sposobności, aby wojnę z korzyścią dla siebie zakończyć, a zawiedzionego Stanisława zniewolić do abdykacyi.

Skąpe te subsydia nietylko nie wystarczały na „ukontentowanie” resztki wiernych magnatów i szlachty, na wynagrodzenie im szkód, zadanych przez nieprzyjaciół, ale nawet na żołd żołnierza, a lubo naród imię Leszczyńskiego nieustannie miał na ustach i czuł do niego niezawodnie szczerą sympatją, do bezinteresowności i poświęcenia niezawsze bywał skłonny. „Wiadomy geniusz narodu naszego, pisze starosta stobnic-

\*) Dokończenie—patrz zeszyt za listopad r. b.

<sup>1)</sup> W cytowanym wyżej kopiaryuszu Małachowskiego, na którym się głównie opierać będziemy; z niego to czerpiemy, gdziekolwiek poniżej nie przytaczamy specjalnie źródła, podając tylko imiona korespondujących i datę listów. Wskazywanie stronic było by tu zresztą niemożliwem, gdyż rękopis jest niedokładnie foliowany.

ki, z Krakowa 3 września tegoż roku, gorszy od szwajcarskiego: bez pieniędzy nic nie robi...”

Wojsko polskie w XVII i XVIII wieku bywało zwykle anarchiczne, niekarne i skore do łupieztwa; jakżeż sobie poczynać musiało, gdy ujrzawszy się panem położenia, zdemoralizowane i niepłatne, sądząc, że mu wszystko wolno, nie chciało słuchać rozkazów Tarła i Steinflichta, ani zleceń wysyłanych z Królewca, lecz samo sobie nakreślało plan dalszego działania.

Nadaremnie w porozumieniu z Francją usiłowano tę niesforną zgraję pchnąć na posiadłości Fryderyka Augusta lub cesarza Karola VI; nadaremnie dwór królewiecki wystawiał korzyści, „wynikające z inkursyi wojska koronnego do Szlązka albo do Saksonii:” daremnie zaręczał, że „na tém zawisło wszystko szczęście Rzeczypospolitej <sup>1)</sup>.” Wykazywał on: 1. „Że wojsko polskie mogłoby mieć wyżywienie bez ekspensy kraju swego i bez tak ciężkiej ruiny, która się dzieje. 2. Moskwa byłaby obligowana do marszów rujnujących i cale sobie niepożytecznych, idąc za wojskiem lekkim. 3. Saksonia, jako w wielkim strachu będąca z odgłosu o tój wojsk polskich inkursyi, prędkoby się zwinęła i zmieszała, a gdyby jeszcze miała odnieść jakową ruinę, pewnieby elektor niemiał więcej żadnych ztamtąd nadziei i posiłków utrzymania się dłużej w Polsce. Tenżeby to był skutek w Szlązku przeciwko cesarskim złym ku Polsce naszej intencyom i takowa dywersya pewnieby poparła visibilter operationes bellicas Najjaśniejszego króla Imci francuzkiego i najjaś. koligacyi Polsce naszej przychylnych. Et e contrario siły cesarskie nad Renem, będąc daleko mniejsze, pewnieby więcej pozwoliły łatwości do marszu francuzkiego ku Saksonii po najpierwszych sukcesach wojsk francuzkich nad teniż nieprzyjacielskimi, bardzo już osłabionemi nad Renem przy pomocy Pana Boga, jako obrońcy najpierwszego justae causae <sup>2)</sup>.”

Wojsko pełne malkontentów, fomentatorów i huczków, przedstawiało widok bardzo ponury; zamiast słuchać rozumnych perswazyi, wykrzykiwało zuchwale i butnie przeciw swym przełożonym, głosząc publicznie to, „co było przed kilku tygodniami i sacrilegium myśleć.” Ożarowski, wstąpiwszy po drodze do obozu, rozłożonego na pograniczu pruskiem pod Kargową, nasłuchał się tych żołnierskich rezonowań dosyta.

-- Panowie nas łudzą i zwodzą—wołali rycerze, skorsi do sejmikowania i grasowania po kraju, niż do boju. Obiecali, że króla Imci w Pomeranii lub bliżej zastaniemy, że będziemy mieli pieniądze, jak tylko zbliżymy się ku granicy pruskiej, że sukursy gotowe zastaniemy; teraz na jatki nas w ciasny kąt zaprowadzili i otwierają, że salwować się trzeba do Szlązka i Saksonii.

<sup>1)</sup> Kopia listu Ossolińskiego do Ożarowskiego z dnia 4 marca 1735 r.

<sup>2)</sup> Rękopis Zakładu Ossolińskich, nr. 307. karta 227.

Niedość na tém: sejmikowicze złożyli koło, domagając się zaręczenia, że ich wodzowie nie poprowadzą do Saksonii, ani do Szlązka; „inaczéj bez wielkiego tumultu i sedycyi żadną miarą obejść się niemo-gło.” Wojewoda lubelski Tarło i generał Steinflicht niemieli tu już prawie żadnego znaczenia; dawszy im żadaną obietnicę, przyrzekłszy rychłą zapłatę, patrzéc jeszcze musieli na to, jak suchwała tłuszcza dopuszczając się bezkarnie łupieztwa „z niewyrażoną kraju ruiną i prze-kleństwem,” odstręczając serca mieszkańców od sprawy króla Stanisława, któremu niby to służyła. „*Origo* téj tragedyi, dodaje obożny, zda się być foment tych, którzy związku wojska i marszałkownstwa związkowego sobie życzyli, jako i od duchów saskich, których niemało.”

Sądzi on, że dla zapobieżenia nadal tak opłakany'm stosunkom, należy oczyścić wojsko z żywiołów burzliwych, dwieście kilkadziesiąt niekompletnych chorągwi zredukować do stu pełnych i karnych, a „huczków” puścić do domów, aby jadem anarchii nie zarażali towarzyszów; nadto zaś przesłać 200,000 dukatów na półroczny żołd, aby żołnierz nie potrzebował sam sobie szukać wyżywienia. Chcąc jednak być pewnym pożądanego skutku, trzeba nadto jeszcze „prezencyi pań-skiej,” potrzeba, aby Leszczyński osobiście pokazał się w obozie.

Z powodu ostatniej rady, sam król Stanisław odpowiada listem z 21 marca, wykazując, że jéj posłuchać nie może. „Gdybym ztąd wyjechał, mówi, co jest rzecz wielkiej konsekwencyi, któz mnie ubezpieczyć może, że wojsko przy granicy brandeburskiej Pomeranii znajdę, które ulla tenus inaczéj w tym kącie jak jest, utrzymać się nie może przy następującym na nie zewsząd nieprzyjacielu, chyba przez armistycium, od którego fatale et funestum exemplum pana wojewody kijowskiego odrażać powinno, bo inaczéj nieprzyjaciel pewnie na nie nie pozwoli, chyba obsaczywszy naszych, że tandem będą musieli przez kapitulacją *salvari*. A zatym póki z łaski Pana Boga nie nastąpi *dies salutis*, trzeba i niemasz inszego sposobu, tylko tabory porzucić, a jako ojcowie nasi wojowali, *celeritate circuire*, bez żadnej dalszej konsyde-racyi nadać sobie kraju, czyto Saxonią, czyli Szląk, czyli Węgry (sic)—*eventus probat, że to unum porro necessarium* <sup>1)</sup>.”

<sup>1)</sup> Gdy wojsko nie przestawało napierać się przybycia króla, jak dziecié widoku matki, wysłano z Królewca pismo, złożone z ośmiu punktów, a przechowane w rękopisie Ossolińskich, nr. 307, karta 227—228, pod tytułem: *Motiva, które są przeciwne wyjechaniu pro nunc do wojska polskiego, albo do poblížszego gdzie z nim się zniesienia J. K. Mci P. N. M-go. Leszczyński* „żadną żywą miarą nie może opuścić Królewca, nie porozumiawszy się wprzód z królem pruskim, a porozumienie się sprowadziłoby znaczną zwłokę. Nie należy wystawiać drogiéj osoby królewskiej na niebezpieczeństwo. „Prezencya Jego nie jest potrzebna wojsku, kiedy jest ubezpieczona, że się znajduje w Królewcu i ztąd może odbierać wszelkie instrukcyje i rozkazy.” Przyjazd Stanisława byłby dla wojska raczéj ciężarem, niż korzyścią; myśl o bezpieczeństwie tak dostojnej osoby, tamowałaby może nieraz jego plany,

Było rzeczą nietrudną do przewidzenia, że wojsko w językowej szermierce tak waleczne, a sądzące, że mu wolno iść za głosem własnych przywidzeń i zachcianek, gdy przyjdzie rzeczywiście do walki z nieprzyjacielem, mniej się okaże bohaterskiem i nieustraszonem. Jakoż książę Sachsen-Weissenfels na czele nielicznych sił z łatwością zniósł te luźne i swawolne zaciągi pod Stężycą, a wtedy mężni „fomentatorowie” i dzielne „huczki” najsamprzód salwowali się na terytoryum Fryderyka Wilhelma.

Gdyby ta klęska nie była pozostała bez zbawiennego wpływu na rozswywołone żołnierstwo, gdyby władzę nad niem objął utalentowany i energiczny generał, któryby przytém mógł regularnie wypłacać żołd podwładnym, jeszczeby można było sądzić, że kampania nie przejdzie bez pewnych korzyści, gdyż jak donosi Ossoliński (6 maja), gdy z niedobitków 36 chorągwi przybyło do dywizji Michała Potockiego, wojewody wołyńskiego, siły króla Stanisława dochodziły do cyfry 10,000 ludzi. Chciał dziejowy fatalizm, że Francya, jak gdyby pragnąc się coprędzej wycofać i uwolnić od niewygodnych zobowiązań, wbrew tradycjom słynnej hojności dla niezamożnych aliantów, dla Polski okazała się nad wszelki wyraz skąpą. Stary pedant, kardynał Fleury, nietylko niemiał geniuszu Richelieu'go i Mazarin'a, niemiał nawet politycznej ambicji i poczucia honoru, bez których niepodobna być dobrym mężem stanu. Wolał rzucać na marne te drobne kwoty, które pod naciskiem dworu od czasu do czasu posyłał, aniżeli znaczniejszemi subsydyami umozębnić polskim przyjaciółom skuteczniejsze działanie. Owa mizerna jałmużna zdolna była szczupłą „czeladkę” Leszczyńskiego ocalić na razie od głodowej śmierci, nie mogła jednak żadną miarą uczynić jej groźną dla przeciwnika.

Kardynał zatrwożony śmiałemi zabiegami marszałka Villars, który chciał nad Wisłą zatknąć francuzkie sztandary, rzec niemal można, że raczej się smucił, niż cieszył z francuzkich zwycięstw, bo jedyną jego dążnością było jaknajrychlejsze zawarcie pokoju.

W następstwie tak małodusznej polityki wersalskiego gabinetu, król Stanisław musiał patrzeć z bolem, jak bezowocnie mijały najpiękniejsze okazy naprawienia zagrożonej jego sprawy. Chciał on teraz

---

„ambarasowałyby effectum expedycei na Śląkz lub do Saxonii.” Fryderyk Wilhelm, który mu nie wypowie gościnności, dopóki siedzi w Królewcu, gotówby go nie przyjąć, skoro bez jego wiedzy wyjedzie, bo „turpius ejcitur, quam non admittitur hospes.” Pismo to, z którego przytaczamy drobne wyjątki, kończy się optymistycznym zaręczeniem: „Ale Wojsko Koronne może być asekurowane, że jako Francya nie dobyła miecza dla innej przyczyny, tylko dla obrony Wolności polskiej, tak i teraz wszystko czyni i czynić będzie, co może, dla najprędzszego dania sukursu jej i dla postawienia wszystkich rzeczy w Polsce na tychże stopniach, na których zawsze były; ależ trzeba, żeby i Polska nie zapominała do utrzymania się w tymże samym stanie. *Racye do tego punktu są jaśniejsze nad samo słońce.*”

znowu zatrudnić żołnierza; wysyłając go albo „obces aż do Szlązka,” albo na uwolnienie więzionego jeszcze ciągle prymasa Teodora Potockiego, którego wtedy feldmarszałek Münnich „tyrańską manierą do Warszawy gwałtem zaprowadzić rezolwował się,” grożąc mu wieczną niewolą na Syberyi, jeśli nie uzna Fryderyka Augusta, ale czuł, że francuzkie skąpstwo udaremni te plany <sup>1)</sup>. „Kłopot w tém nad kłopoty, żali się Ossoliński, że tych powracających wojsk niēmamy czēm kontentować, ani posiłkować. Pieniędzy tu absolute niēmasz przy takich rozchodach, jakie tu ciągle rosną, a niepłatnego wojska niepodobna przymusić do dobrej i szczerzej wojny i do posuszeństwa należytego.”

To téż nie oni króla, ale król ich słuchać musiał. „Wojsko litewskie, pisze podskarbi 13 maja, pod komendą Imci pana Massalskiego, dywizya zaś Imci pana wojewody wołyńskiego pod komendą Imci pana Gurowskiego, stolnika podolskiego; trzecia item dywizya Imci pana Zebrzydowskiego, gdy żadną miarą na inkursyą namówić się dać nie chcieli, musiał tandem król Imć dla utrzymania téj garści ludzi in obedientia confoederatione Reipublicae, dać wszystkim anticipative kwartalną regularną płacę i tak szczęśliwie wyszedłszy z Warmii, poszli w głąb Litwy.” W zamian za wypłacony naprzód żołd przyrzekli wprawdzie ci rycerze „dotrzymać panu sacrosancte fidelitatem, ale (co wielce charakterystyczne) tylko usque ad futura subsidia” i to jeszcze pod warunkiem zastrzegali sobie: „byleby nieprzyjaciel pozwolił im tyle czasu...” Snać postanowili już z góry niebardzo się trudzić i narażać. Tym nieprzyjacielem zaś, którego się tak bardzo bali, był zaledwie pięctysięczny oddział generała Birona; poszedł on „w te tropy za nimi, niemało włokących się za wojskiem rabusiów nabiwszy, naodzierawszy i w niewolą zabrawszy.”

Oprócz tych partyi nie wiele wojska pozostało Stanisławowi. Donosi z Królewca 17 maja Tarło, że możnaby było wprawdzie zebrać ze sto chorągwi, „gdyby ich było czēm kontentować,” ale zaledwie „na 12 chorągwi jedną ćwierć wymógł, że zapłacono,” inni porozjeżdżali się po domach.

<sup>1)</sup> Prymas miał wielki żal do politycznych przyjaciół, że nie skorzystali z dobrej wówczas sposobności uwolnienia go. Zachęcany później do wytrwania w wierności dla Leszczyńskiego odpowiadał: „To Waszmoście chcecie, żebyśmy się znowu z płaczem rozjeżdżali, kiedy mnie z jednym lokajem porwą? siedzę już rok w niewoli, czemu mnie nie starali się uwolnić, tylko mnie zwożdzą jak dudka.”

Przytaczający te słowa kapitan Sołtyk, dodaje od siebie (1 lipca z Łowicza): „To jest pewna, że wiedzieli w Królewcu, że księcia ruszają z Torunia, mogliby byli wysłać ludzi, toby byli gdzie około Płocka, lub gdzieindziej księcia odbili, czego się książę spodziewał,” Kończy pan kapitan uwagą, która się zapewne wtedy z niejednej wyrwała piersi: „Ale téż tym panom w Królewcu możemy dobrze w oczy powiedzieć, że nas zwożdzą.”

Z tych co wyruszyli na Litwę, nie wielką miał Leszczyński pociechę; nie długo się oni wystługiwali za wymuszone na nim pieniądze, uciekali nieraz pod lada pozorem, choć im nawet nic nie groziło. „Odebraliśmy wczoraj, są słowa Ossolińskiego z dnia 20 maja, list od Imci pana Massalskiego, dający o tém znać, że wojsko litewskie i inne przy nim będące, dużo się tą swoją terażniejszą strwożyło sytuacją i przy ciężkiej nuży swojej i ogłodzonym tamecznym kraju, rozjeżdżać się znacznie tak towarzystwo, jak oficerowie do domów swoich gwałtem poczęli. A dywizya wołyńska dla niezgody i emulacyi swoich przekłetych, prawie się już cała rozpierzchnęła. Saskie też fakcye dużo się już tam zageściły, a najbardziej z tą insynuacją, że od Francyi już nulla securitas obiecanych sukkursów i subsidiorum.” Jedni więc szli w rozsypkę, inni dopuszczali się jawnej zdrady: „pułk lekki królewskiej chorągwi 12, pod komendą Baranowicza, poszedł w oczach wojska litewskiego do Moskwy.” Naczelnik hufców litewskich miał jak się zdaje najlepsze chęci, ale odstąpiony przez towarzyszków, nie zdołał się ostać w trudnym położeniu. „Imci panu Massalski, mówi Ossoliński 24 maja, z małą bardzo liczbą wybranych pocziwych ludzi, gdy się nigdzie z wojskiem przebrać nie mógł, jako był zamyślał w głąb Litwy, znalazłszy we wszystkich przeprawach i traktach zastąpione, zasiekane, przekopane drogi, wespół z Imci panem Gurowskim, regimentarzem dywizyi polskich, rejterować się musiał nazad w Prusy brandeburskie.”

Schroniwszy się na terytoryum pruskie, czuły się te niedobitki bezpiecznieni, ale biada temu co w naiwniej ufności liczył na przyjaźń Prus! Generał Katt, choć królowi Stanisławowi w swego pana imieniu oświadczał najserdeczniejszą przyjaźń, skoro tylko posłyszał, że polacy bez pozwolenia pruskich władz przekroczyli granicę, pod pozorem zapobieżenia „dalszym inkonweniencyom” i wojnie z Rossyą, począł uchodzących niedobitków traktować po nieprzyjacielsku. Prusacy zarówno wojskowi jak cywilni, korzystając z fatalnego położenia nieszczęśliwych, poczynali sobie z właściwą temu narodowi szlachetnością... „Tak oficerowie, jako i szlachta, świadczy podskarbi, sami prawie równie zdzierali, rabowali i zabijając dopomagali tych, którzy się rejterowali w Prusy, co się niedawno stało w Augenburku, że gdy się tam po rozproszeniu wojska rejterował Imci pan regimentarz Massalski, gwałtem go pułkownik tameczny Bork najść kazał, porucznika petyhorskiego, nazwiskiem p. Bosnata, gwałtem wziąć kazano, prowadząc zbito, stłuczono, samego Imci pana Massalskiego naszarpawszy się.”

Massalski, Gurowski, Zebrzydowski, Ogiński, starosta przewalski (ostatni straciwszy cały trzecztyściczny z górą oddział, samoszedł tylko uszedł) i inni, którzy przynajmniej życie zdołali umieść, „odpadłszy od koni i wszelkiego rysztunku,” który ugrzązł w rękach gościnnych Prusaków, prawie o żebrazym chlebie dowlekli się do Królewca. „Trzeba to wszystko żywić, dodaje z westchnieniem Ossoliński, a było to zadanie



nie łatwe, bo różnych wojskowych, oficerów, towarzyszków i pułkowników zjechała się niemała „kupa” około 3000, a wszyscy uważali, że im się należy nielada nagroda za nadludzkie ofiary i poświęcenia... Nieliczny zastęp tych, którzy uszli rąk rosyjskich i pruskich, znalazł bezpieczny tymczasowo przytułek w zasięgu puszczy: łomżyńskiej, przasnyskiej i ostrołęckiej, zyczliwie przyjęty przez dzielnych Kurpiów, za sprawą pułkownika Raczyńskiego. Ten „wcześnie przybywszy, już im tę ułożył był i zjednął rozumnie rejteradę.”

W puszczych tych krył się niemal jedyny związek przyszłej armii Stanisławowczyków, jedyna niemal, acz słaba nadzieja przyszłych powoźców; rozumiejąc to dobrze Leszczyński, wspierał „Kurpików” o ile tylko dozwalały szczupłe jego środki. „Rachuje się tam ludzi, donosi podskarbi 17 czerwca, blisko 10 (?) tys. ale że to zbierana drużyna, nie wiem czy wytrzymają generalny atak, jeżeli Moskwa gromadząca się przypuścić go zechce. Posłaliśmy tam prochu, kul i lenung na miesiąc dragonii, która się tam znajduje; z dywizji litewskiej i koronnej rachuje się na 300 ludzi.”

Wypadało więc myśleć i o mieszkańcach puszczy, o beczynnych zbiegach siedzących w Królewcu i dawnych tamtejszych rezydentach, przedewszystkiém „marszałkach, konsyliarzach i asystentach konfederacyi,” bo tym spustoszone i zgrabiono dobra, nie mieli więc środków do życia i o nowych przybyszach, „bo kto tu przyjedzie to po to aby co wziął,” a tymczasem skarb po największej części świecił pustkami.

„Dusza nas boli, wzdycha Ossoliński, kiedy wygnani poczciwi ludzie z Polski i W. Księstwa litewskiego, z miłości dla ojczyzny i kochanego pana naszego prawie mendicantes tu recurrunt, a niemasz ich czém ani pocieszyć, ani posilić.”

Tryumfowali sasi i urągali się ze stronników króla Stanisława, a wielu zdesperowawszy, „szli jak na lep i przysięgali ex necessitate insuperabili.”

Rząd francuzki tém najwięcej zawinił, że podtrzymywał w polakach systematycznie nadzieje, których nie chciał, czy niemógł ziszczyć; zaręczał ciągle, że mogą liczyć na Szwecyą i Turcyą, a nadto, że Francya „póty od persekucyi wojny z cesarzem nie odstąpi” dopóki Leszczyńskiego „na tronie nie umocni i nie utwierdzi.” Po smutnych dotychczasowych doświadczeniach wiedziano wprawdzie w Królewcu, że owych szumnych obietnic niemożna brać za zupełnie dobrą monetę, ładużono się jednak niemi, bo ludzie chętnie w to wierzą czego pragną. Ministrowie nadsekwańscy, jakby brak czynu chcieli zastąpić słowami, do ostatniej chwili nie szczędzili najpiękniejszych obietnic, z prawdziwie machiawelską sztuką oszukując łatwowiernych Sarmatów. Widząc niegodne ich postępowanie obie królowe, żona i córka Leszczyńskiego, mówiły im z tém serdeczném uczuciem, które powinno było wzruszyć i do szczerości pobudzić:

— Nie gubcie nam króla, mnie męża, mnie ojca; rewokując go, poślijcie po niego: niedbamy o wasze obietnice, nie zawódźcie nas dalej i waszego króla, nie podawajcie nas dłużej światu całemu na śmiech.

Ale słowa te płynące z głębi zbolełego serca, skłaniały obłudników tylko do tém śmielszych kłamstw. „Odpowiadają, proszą, zaklinają, mówi sekretarz Ożarowskiego, sławny Pijar, ksiądz Stanisław Konarski, (z którego pisma tu korzystamy) poprzysięgają, żebyśmy tego cośmy tak długą, stateczną, nieporównaną cierpliwością zyskali, niecierpliwością nie zgubili... Przekonają się wszyscy, że Francya nie prowadzi wojny tylko dla króla i wolności polskiej i że jój nie przestanie póki tego nie dopaie. *Revera, wyznają sami, co i my im mówimy, że nie mogłaby mieć brzydszej infamii Francya i szpetniej stracić sławy i kredytu, jako gdyby się nasz król nie utrzymał* i asekurują, że honoru i interesu swego w tém nie opuszczą <sup>1)</sup>.” Trudno było doprawdy wydać na siebie surowszy wyrok! Ossoliński mówi z goryczą: „te wszystkie nadzieje do żywego nam prawie dojadły,” a przecież i on woła nieraz: „Owo zgoła nulla jus spes in armis nostris, a Deo auxilium nostrum et in prosperitate armorum najjaśniejszych koligowanych potencji,” zapominając o tém, że najlepiej zawsze liczyć na siebie, nie spuszczając się na cudzą pomoc, że i Bóg tym tylko pomaga, co sobie sami pomagają.” Wytyka sam podskarbi tę zdrożną apatyą swemu stronnictwu mówiąc: „a my zdamy się jak uśpionemi, et solam coeli wyglądamy clementiam,” przyznaje też, że Francuzów mógł istotnie zniechęcić opór wojska polskiego, bo marzyli, aby polaków „wciągnąć do Szlązka dla przedsięwzięcia się z nimi.”

Celem usprawiedliwienia własnej bezczynności zdobyto się wtedy na szczególną teorią, godną stanąć chyba obok téj sławnej maksymy, że Polska nierządem stoi, bo powiedziano, że „Polacy wojować mi nie chcą, ale się za nich inni biją... <sup>2)</sup>.”

Poddawano się w ten sposób niedorzecznym nadziejom, zwracając wzrok pełen tęsknego oczekiwania ku Francyi, Szwecyi i Turcyi. Wśród podobnych złudzeń i niewieściich lamentów, rzadko kiedy odezwał się głos mężki, wyrażający potrzebę liczenia tylko na własne siły. Ufność do tych sił była wtedy w Polsce tak małą, że nie spróbowano ich nawet w porze, gdy kraj zalany do niedawna cudzoziemskimi wojskami, dzięki europejskim zawikłaniom uwolnił się od przeważnej ich części, gdy żołnierz rossyjski podążył na plac boju nad Ren, przeciw Francyi, a w ziemiach polskich pozostało zaledwie po kilka tysięcy Sasów i Rossyan, co powtarzają jednogłośnie wszystkie ówczesne korespondencje. Był to jedyny czas do akcyi; cóż kiedy naród się nie podniósł. Znajdowali się wprawdzie tacy, co go chcieli wyleczyć ze zgu-

<sup>1)</sup> Kopia listu ks. Stanisława Konarskiego do Ossolińskiego, z Marly, 23 września, 1735 r.

<sup>2)</sup> „Punkta pro informatione posłom podane na przyszły sejm (1735) z Królewca, w rękopisie Piotra Małachowskiego.”

bniej choroby oglądania się tylko na obcą pomoc, co wołali głosem wielkim, aby sam o sobie myślał i działał na własną rękę—ale były to nieliczne wyjątki, a ich odezwy, to *vox clamantis in deserto*. Do podobnych zaszczytnych wyjątków należał Narzymiski, starosta bobrownicki, piszący pod dniem 30 sierpnia do Ossolińskiego z przekąsem: „Dziękuję za nowiny bardzo pocieszne i nadzieje nasze utwierdzające, tylko Mei Dobr. wybacz mi, że te nowiny są bardzo dobre dla tych, którzy penitus rzeczy zważają i dla dobrych katolików, u których jest ta fides: credere, quod non vides... Ale podobno WMPan nie wiesz, że teraz już w naszej Polsce nie tak dobra wiara i chyba, że zobaczą visio-nem beatificam Pana swego, którego wolnemi głosami obrali, zmocnionego należycie.”

Po tym szyderczym przycinku idzie ustęp, świadczący o patryotycznym zapale starosty. „Trzeba koniecznie, są jego słowa, zacząć co agere w Polsce, i gotówbym przysiąc na wszystkie Sakramenta, że gdyby teraz JKMość choć w kilka tysięcy regularnego wojska wyszedł, co żywo by się wiązało i odrywało od tamtej strony, i co żywo czy szlachta, czy chłopci, biłoby Sasów, ile że w nich jeszcze jest i znajduje się prawdziwy zelus in maxima parte ku Panu naszemu, a potem któż wie, czy będzie? Trzeba tu Dobr. koniecznie, żeby jedna ze dwu rzeczy stała się a prędko: albo do Polski wnieść, albo do Saxonii wtargnąć, sin secus perimus, bo choćby nad Renem najlepiej się działy rzeczy, to kiedy tu w Polsce nic nie będziemy robić, to to w długą pójdzie...”

Słowa powyższe, choć na pozór grzeszą optymizmem, w istocie wiele zawierały prawdy. Szlachta gotowa była wtedy naprawdę siadać na koń: ale od chęci do czynu daleko, a postanowienie to płynęło też z mniej wzniosłych pobudek, aniżeli byśmy może życzyli. Zniósłszy dotąd te upokorzeń, rzucanych jej nieustannie w oczy, uczuła się pobudzo do ogólniejszego chwycenia za broń dopiero wtedy, gdy ją dotknięto w tém, co w skutek powszechnego już naówczas rozmiłowania się w materyalnym dobrobycie poczytywała za najwyższe dobro na ziemi, to jest w materyalnych dostatkach. Gospodarka cudzoziemskich wojsk w Polsce była rzeczywiście bezprzykładną, zdzierstwa przechodziły wszelką miarę.

„Kontrybucye ogłoszone pieniężne, opowiada Ossoliński 19 sierpnia, jakie nigdy nie bywały i których nigdy żadne dobra wypłacić nie mogą. Uważ WMPan proportionem, kiedy na samą ekonomią malborską, która już miała generalne libertacye, włożono 680 porcyi na miesiąc, począwszy a 1-ma Junii ad ultimam Augusti, rachując na cały kwartał, wyniesie summa więcej jak 30,000 talerów. Ergo ta summa superat roczną intratę tej ekonomii. Tak ciężkie, ale jeszcze i cięższe na dobra nasze szlacheckie generaliter wszystkie przeładowania. Jam już swoich dóbr i okupować nie kazał; fiat z niemi voluntas Dei, już bez tego zniszczone, zrabowane. Okupując je i wyniszczając się z ostatniego grosza, kiedy tandem tego nie stanie, może przyjść na ten koniec,

że ich i spalą, a tak dwojaka byłaby szkoda, i ostatni grosz wyszypląby się i fortunaby zginęła."

"Już tak się Sasi naprzykrzyli nieżnośnemi kontrybucyami, donosi jakiś nieznany korespondent z Warszawy, że szlachta wolałaby dać ostatni kawałek chleba auxiliarius copii, aby executionem świeżo wydanych uniwersaków zastanowili," a zacy Rudziński kasztelan czercki, woła z rozpaczą (20 września): „Szlachta jak dusze z czyścya wyciągają ręce, wypatrując oczyma jakikolwiek podjeźdźnik, dla zatamowania tych kontrybucyi... Teraz prawie po kilkadziesiąt tylko Moskwy po województwach znajdujących się, ostatnią kroplę krwi ex corpore mystico wyciągają, na kilkadziesiąt milionów wybrawszy. Sukkursu kiedy już żadnego mieć nie będziemy, to się z desperacyi już i sami salwujemy!"

Przewidując, że troskliwy o los ojczyzny Leszczyński mógłby się wstrzymać od stanowczej akcji z obawy, aby dla niepewnych widoków nie narażać kraju na zupełne zniszczenie, upewnia pan kasztelan: „Jeżeli chodzi Panu o ruinę kraju od naszych, większa się dzieje od wybierania tak wielkich milionów. Dla miłości Boskiej nie opuszczajcież rady mizernej mojej!"

Nie brakło, widzimy, dobrych chęci, brakło niestety inicjatywy, brakło człowieka, któryby jak Czarniecki skupiał chętnych i wiodł ich do boju. Zdawałoby się, że w tak ważnej chwili, da hasło do wybawienia puszcza Mazowiecka. Pokładano w niej istotnie wielkie nadzieje; podskarbi mówi o niej: „to Mantua nasza, ultimum antemurale." Ktoś inny utrzymuje, że „aby wojsko jakie z Litwą zebrane i z kurpikami złączone stanęło na granicy, musieliby z Warszawy zagranicę uchodzić Sasi."

Ale owa Mantua nie była już tém co przed rokiem. Wśród innych okoliczności byłoby mogło niezawodnie wyjść z niej zbawienie narodu. Podczas gdy jeszcze cała prawie Polska pod obuchem najazdu niemogła odetchnąć swobodnie, ta wybornie przeciw nieprzyjacielowi zabezpieczona warownia, dawała możność zgromadzenia dostatecznych sił i przygotowania ich do walki, zanimby poszły w ogień. Było w niej już kilka tysięcy ludzi gotowych do wojennej służby, a liczba ta rosła by z dniem każdym, gdyby ochotnicy, których nie brakło, znaleźli tu niezbędne zapasy. Niestety! wieści nadchodzące z tej Mantuy, nie brzmiały pocieszająco. „Chorągiew Pańska na puszczy, pisze Rudziński (5 września) do Ossolińskiego, dużo zrujnowana, compatió, co z nią czynić, bo wszyscy co kto z tej puszczy powróci, to narzekają, że głód ciężki. Ja nie wiem jak ją rekrutować będzie. Wielki tam nierząd, słyszę, pacholcy pouciekali" i t. d.

Równocześnie pani Rudzińska, żona kasztelana, energiczna i pełna patryotyzmu kobieta, w smutnym rzecz przedstawia światło. „I teraz, pisała, na puszczy głód, a jak mrozy uderzą, to forteca otwarta będzie."

Głód nie jest zachęcającym doradcą; to też z czasem strasznie się przerzedziło w puszczech. Mało kto pozostał w nich oprócz samych

kurpiów, którym szlachta niesłusznie podobno nieufała. „Wierz mi WMPan, donosi Ossolińskiemu (14 września) Brzeziński, marszałek łomżyński, który tam miał komendę, że prawie umieram na to nieszczęście, że przynajmniej trzechset ludzi nie mam, a Bóg widzi, cudbym z nimi zrobił. Dziw, jaką ochotę mają kurpikowie, tylko do pola wyjść z nimi, wierzyć im niepodobna, chyba ich między siebie wzięwszy.”

Napróżno czekał pan marszałek na posiłki; „chyba pretendujecie, woła wkrótce potem z oburzeniem, aby tych ludzi garstkę, w wielkiej pracy będących, zgubić samemi furwachtami.”

Pamiętano o tём w Królewcu; postanowiono ogołoczone z ludzi i broni puszcze, umocnić i zaopatrzyć w jedno i w drugie, ale spełnieniu tego zbawiennego pomysłu stanął znów na przeszkodzie ciężki niedostatek. „Kiedy generał Steinflicht, pisze z bolescią w dniu 20 września Ossoliński, tylko 60,000 czerwonych złotych na to wszystko potrzebował, aby tam potrzebną in omnem casum ubezpieczyć retiradę powstającym extrema resolutione przeciw Warszawie (to jest przeciw rezydującym w niej Sasom) Polakom, tego dotychczas wykonać nie możemy.”

Sumy tej nie zdołano zebrać, jakkolwiek Ossoliński i kilku innych gorliwych patryotów „dogadzając tym gwałtownym potrzebom,” pozostawiali srebra i klejnoty swoje na wysokie procenta. Ten fatalny brak pieniędzy czuć się dawał na każdym kroku. Wojsko koronne gotowe było stanąć na zawołanie, ale nie prędjéj, dopóki by nie odebrało żołdu. „Obawiają się, streszcza ich zarzuty podskarbi w liście z dnia 30 września, aby porwawszy się na nieprzyjaciela a bez siły, całą zimę nie przyszło tłuc się po lasach i po całej Polsce a naostatek wpaść w taką sieć, jak pod Stężycą przeszłego roku.”

Udało się wreszcie generałowi Steinflichtowi zebrać w puszczech oprócz wyborowego tysiąca z górą kurpiów, około 800 żołnierza częścią polskiego, częścią cudzoziemskiego, ale zaledwie zgromadzeni, zaczęli dezertować „ob defectum wypłacenia lenungów tygodniowych.”

Zmniejszającą się z każdym dniem załogę, obległo 1200 rossyan i 500 sasów; a gdy pozamarzały trzy rzeki, „które najbardziej niedostępną tę puszcę czynią,” padła (w pierwszej połowie grudnia) polska Mantua, padło ostatnie przedmurze polskiej wolności po uporczywéj obronie. Pułkownik Paszkowski wypadłszy skrycie w kilkaset koni na oblegających, wyciął kilkudziesięciu rossyan, ale musiał uchodzić przed przemocą. Blizko przez cały dzień bronił się generał, poczem cofnął się ku pruskiej granicy, opuszczony w ostatniej chwili przez kurpiów. Biednym tym ludziom, którzy tyle wycierpieli dla sprawy Stanisława, wyrzucano „zdradę,” głosząno że przekupieni... Godzi się jednak zapytać, czy kurpiowie, którzy chwycili za broń tłumnie, gdy zaledwie drobna garstka szlachty wystąpiła w pole, okazali się więc patryotyczniejszymi od niej; mieli się narażać na niechybną zagładę, gdy już nie było widoków powodzenia? Zbyt wielkie zaprawdę wymaganie i sąd nad wszelką miarę surowy!

Wyobraźmy sobie, jak boleśnie ranić musiały prawą i szlachezną duszę Ossolińskiego wypadki, któreśmy tu naszkicowali pokrótce albo jego własnymi, albo też do niego wystosowanymi słowy, pomijając z konieczności niejedną ze spraw, które położenie królewieckiego dworu czyniły niecznośnym, a między nimi najważniejszą: wymagania gabinetu berlińskiego, dokładającego wszelkich starań, aby przyrzeczeniami swego poparcia skłonić Leszczyńskiego do odstąpienia Prus Królewskich<sup>1)</sup>. Jeżeli dziś nas, przetrzęsioną półtora wieku od owęj pory oddzielonych, nas, którzy znamy sromotę lat następnych: na samo wspomnienie owych chwil wstyd i smutek przejmują do głębi; cóż czuć musiał mąż, zrodzony w epoce najświetniejszych zwycięstw Sobieskiego, natchniony gorącą miłością dla ojczyzny i dla tego, który ją wtedy uosabiał: dla króla Stanisława! Wobec ogromu takich klęsk publicznych, maleją i nikną zapewne cierpienia dotykające nas osobiście; ale w podskarbiego dotkliwsze jeszcze, niż w innych godziły ciosy. Był on, jak już wiemy, najpierwszym doradcą i ministrem Leszczyńskiego, niekiedy sam jeden tylko dzielił z nim tajniejsze plany<sup>2)</sup>; na niego więc przedewszystkiem spadła ta gorycz, jaka się wylewa z narodu podczas wielkich nieszczęść." Garstka wybrańców, która dla utrzymania Stanisława wszystko położyła na kartę i wszystko straciła, widząc się zawiadzoną przez Francją, nie pomyślała, że ci co stali u steru, padli również ofiarą swęj dobrej wiary, ale składała na nich winę całego nieszczęścia, posądzając ich prawie o złą wolę.

Było to już nad siły podskarbiego; znękany tyłu zawodami, w końcu października zachorował obłożnie. Przymusowe usunięcie się na czas pewien od spraw publicznych, oszczędziło mu chwilowo ostatecznego rozczerowania, które w Królewcu wywołało powszechną rozpacz: zatajono przed chorym, że Francya, zawierając traktat, wydała Polskę na łup narzuconego jęj Fryderyka Augusta, od Stanisława zaś zażądała abdykacyi. „Mój kochany podskarbi reconvalescit, pisze sam Leszczyński 22 listopada do Ożarowskiego, ale jeszcze nie pozwalam mu wiedzieć najmniejszjęj rzeczy co się dzieje, żeby znowu nie zapadł, i tego coś pisał cyframi nie komunikowałem mu, sam tylko horrenda przeczytawszy, podnoszę do Pana Boga ręce, aby ci dodawał sił i cierpliwości.”

Nie dbający o własną dolę, tylko o kraj i o wiernych sobię stronników, pełen zaparcia się siebie i poświęcenia, mówi Leszczyński w temże samém piśmie: „A zatem czekam dostatecznjęj informacji WMPaua,

1) Obszerno wyjątki z korespondencyi Ossolińskiego w tęj sprawie, podałem w *Ateneum* w *Ojcu Stanisława Augusta*; w odprawio danęj natarczywości pruskięj, nie widzę zasługi podskarbiego, bo na Leszczyńskiego nie potrzeba było wpływać pod tym względem.

2) „Taka to u nas sprawa, że nie wiemy kogo się strzedz; już teraz musimy we trzech, we dwu czynić dyspozycye.” (Ossoliński do Ożarowskiego).

nim zaczęę oplakiwać irreparabilia fata ojczyzny mojej, z tém się protestując przed Bogiem i WMPanem: si tempestas est ex me, projicite me in mare, ale salwujcie ojczyznę. Nie trzeba WMPanu opisać, co się interea z mojem sercem dzieje i z temi, którzy się do niego przykowali. Dla Boga, niech nie będziemy dłużej in hoc ambiguo et violento statu. Ja siebie samego w tym razie zapominam, ale niech wiem, jako i jakim sposobem ratować tych, którzy dla mnie sakryfikowali się." W tym samym duchu przemawia i później; „trzeba pamiętać, upomina, że dłużej klasztoru niżeli przeora i to wszystko czynić, co pro re et salute ojczyzny należy."

Ten tragiczny finał politycznego dramatu, który się rozpoczynał pod nader pomysłną wróżbą, długo tajono przed Ossolińskim, bo jeszcze w liście królewskim z dnia 13 grudnia czytamy: „Mój kochany podskarbi, nie będąc jeszcze in statu wiedzieć, co się z nami dzieje, donoszę WMPanu, że ja listy ostatnie i cyfry, któreś do niego pisał, odebrał, niemogąc mu dać ullam notitiam tego, co continent."

Wreszcie nie można było tać dłużej przed rekonwalescentem nowin, powszechnie już znanych; musiał on wychylić kielich goryczy aż do dna, musiał znosić cierpkie wyrzuty i przekleństwa zawiedzionych. „Wszyscy nas tu przeklinają et detestantur," mówi z rozdartém sercem; ale od najstraszniejszych przekleństw dotkliwsze zapewne były dlań wymówki, czynione w podobnym tonie, jak list Rudzińskiego z 26 grudnia. „Rozumiałem, żali się rozpaczliwie kasztelan, po tak wiele przynoszących mi od WMPana Dobr. nadziejach i częstych w listach assekuracyach, że po długiej expektatywie cieszyć się mieliśmy na tronie z Pana naszego kochanego, aż zamiast konsolacyi, zastaje u żony mojej nieszczęśliwą wiadomość, nad którą łzami się zalawszy, język drętwieje, serce obumierać musi... Nie żałuję zniszczonej fortuny, ani honoru mi odebranego i konsekrowanych azardów na tej nieszczęśliwej wojnie, na której bodajby się była wprzód ziemia rozstała i grzeszne ciało moje przysypała, aniżeli teraz słyszeć o zgubie Pana naszego i wolności naszej!"

Smutnie się kończył rok 1735; smutniej jeszcze zaczynał następny. Zupełne bankructwo polityczne i finansowe; oto zwigzłe określenie położenia królewskich wygnańców. „Już też ostatnia mizerya jeła się wszystkich Polaków, mówi podskarbi, bo nie tylko że tu żadnego za bramę wypuścić nie chcą, ale wielu ich w areszcie aktualnie trzymają, jako to: biskupa wileńskiego i smoleńskiego, Horaina, sufragana wileńskiego; Polakom zacnym, marszałkom, konsyliarzom w długach gospodarze konie gwałtem i rynsztunki zabierają. Pan kochany nieborak codziennie prawie ab ejulatu populi umęczony, zkąd na nas wszystkich skóra drzeć zaczyna, że nie widziny horum malorum końca."

Kiedy pod wrażeniem tylu ciosów woła: „widzi Bóg, że w tém utrapieniu dni nasze wiekami nam się stają," niema w tém wcale przesady. On i Leszczyński byli w tej strasznej porze prawdziwymi

męczennikami. „Znasz WPan, odzywa się do Ożarowskiego, naród nasz, że kiedy się nie mają do czego ściągnąć, to prawie jak we furę wpadają. Niepodobna nam się tu ukryć ab hoc furore, i po ulicach nas wołają: żeście szalbierze, że dla waszych szalbierstw zginęliśmy!”<sup>1)</sup>

„Ja więc na sesyę nie pójdę, dodaje, bo nie wiem co mówić i co radzić.”

Nie będziemy się dziwić zwątpieniu podskarbiego, gdy się dowiemy, że Francya doprowadzając mistyfikacyę do ostatnich granic, równocześnie z żądaniem od króla Stanisława abdykacyi, obiecywała wielkie korzyści dla jego stronników w układającym się w Wiedniu traktacie, skoro tylko spełnią ję żądania; a gdy król przystał konfederacyi ów akt, powstały wielkie rozruchy. „Suplikowali króla JMci (3 lutego) per viscera misericordiae nad naszą ojczyznę, żeby ich do tego nie necessitował; odesłali nazad tę abdykacyę, niechząc ję odpięczętować.” Zdradziecka Francya stała się celem ogólnęj nienawiści i wzgardy. Nieszczęśliwi oświadczały, że „wołę na kolanach iść do Fryderyka, niżeli wziąć przed się takowę aleam fortunae z traktatu, który o nas bez nas skonkludowany, ultimam ruinam praw i wolności przynosi.”

Nareszcie w dniu 23 marca 1736 roku nastąpiło w Królewcu rozwiązanie nieszczęśliwęj dzikowskieę konfederacyi, poczem Leszczyński ruszył ze smutkiem do Francyi, a reszta wiernych mu dotąd stronników pośpieszyła z uznaniem Fryderyka Augusta. „Sam jeden tylko Ossoliński, opowiada współczesnik, rozumiał mieć racyę tam pozostać i przedsięwziął rezolucyę trzymać się statecznie króla Stanisława.” Niebawem i on podążył na ziemię wygnania.

#### IV.

Nie wiemy dokładnie, kiedy i wśród jakich okoliczności puścił się Ossoliński na dobrowolne wygnanie; pierwszą wiadomosc o swym pobyciu na obczyźnie, daje nam w liście pisanym ze stolicy Francyi, w połowie grudnia r. 1736 do brata, Jana Ossolińskiego, starosty drohickego, późniejszego kasztelana gostyńskiego:

„....O sobie oznajmuję—pisze tam—żeśmy tu oboje przy łasce Pana Boga zdrowi, żyjemy prawdziwie in beatitudine hujus mundi, bo przy łasce i dobrodziejstwach Pana naszego na niczym nam nie schodzi, ale też nad to, co nam potrzeba, przy utrzymaniu terażniejszego rangi naszego, szelęg się nam nie [zostanie] pro zapas; successu chyba

<sup>1)</sup> Dla związku połączyliśmy w tém zdaniu wyjątki z dwu listów Ossolińskiego, z 17 i 24 stycznia 1736 r.

<sup>2)</sup> Z Paryża 15 grudnia 1736 r. Prawie cały niniejszy rozdział osnuty jest na listach Ossolińskiego, znajdujących się w zbiorze autografów Zakładu narodowego Imienia Ossolińskich, nr. 1123 do 1147.



temporis, kiedy Pan Bóg wejrzy na naszego Pana i będzie już osadzony in terra promissionis, mamy wielką nadzieję w dobroci serca Jego, że nas nie opuści."

Powyższe zastrzeżenie pozwala nam wnosić, że pozostali w kraju krewniacy zbyt wiele liczyli na pomoc ex-podskarbiego. Nie myśli on jednak uchylać się od służenia im w miarę możności, a starszego syna pana starosty, imieniem Aleksandra, podejmuje się wziąć na wychowanie. „Jak da Pan Bóg—mówi—że już stanę w Lotaryngii, gdzie jest akademia w Lunewillu, sławna na całą Europę, gotówem posłać po niego aż do Gdańska guwenera, człeka słusznego, który mi go ztamtąd sprowadzi aż na miejsce i dam mu taką edukacją, jako własnemu dziecięciu mojemu."

Względy Ludwika XV i Leszczyńskich spływały nietylko na samego Franciszka Maksymiliana, jako najwierniejszego stronnika króla Stanisława, lecz także i na jego młodszego syna Józefa. Z radością wspomina o tém uszczęśliwiony ojciec:

„O moim synu młodszym oznajmuję, że nadspodziewanie moje srodze grzecznym i godnym czyni się tu człkiem. Z łaski N. Królowej Imci polskiej, osobliwej téż Dobrodziejki mojej, jest mianowany premier Chevalier d'honneur z znaczną pensją, która funkcyja jest tu najgodniejsza w tym kraju i zawsze ludzie z najpierwszej familii i les princes du sang zwyczajnie honorowani tu nią zostają. Jestto dla niego wielka dystynkcyja a dla mnie wielkie w tym razie szczęście. Do tego odebrał z łaski N. Króla Imci francuzkiego chorągiew kawaleryi w regimencie Imci Pana Graffa Belleisle, generała lieutenanta Wojsk francuzkich, godnego i zacnego w tym kraju Kawalera, który ma za sobą ciotecznią siostrę żony mojej, M-e la Comtesse de Bethune."

Historya młodości tego młodzieńca, późniejszego wojewody wołyńskiego, jest wcale zajmującą. Dowiadujemy się o niej z listu króla Stanisława, pisanego 19 marca 1735 z Królewca do ks. Łabiszewskiego, spowiednika królowej Maryi, listu zbyt ciekawego i charakterystycznego, abyśmy go nie mieli powtórzyć <sup>1)</sup>.

„W téj ufności, mój kochany Tatusiu, że mnie i wszystkich pocziwych ludzi lubisz obligować, adressuję ci syna mego kochanego P. Podskarbiego Koronnego, o którym trzeba, żebyś wiedział wszystkie circumstancye. Ociec z dzieciństwa destynował go do stanu duchownego, do którego zdał się mieć inklinacyą tak dalece, że będąc prawie wychowany w seminaryum, żadnej nie pokazał chęci do odmienienia tego stanu, owszem zdał się mieć wszelką do niego dyspozycyą z natury swojej, z modestyi i wszelkich dobrych obyczajów, a do tego falując na oczy i nie zdając się być sposobnym do świata. Aż tandem tu w Królewcu złąj się podobno kompanii chwyciwszy, wokacya poczęła go odpadać tak dalece, że koniecznie chciał *in instanti* zrzucić suknię. Co niesłychanie poturbowawszy ojca, nie chcąc z jednej strony bynaj-

<sup>1)</sup> Kopia tego listu w rękopisic Zakładu Ossolińskich nr. 307.

mniej go przymuszać, z drugiej nie widząc, jeżeli go ta lekkość jako młodego nie minie i jeżeli w wokacyi, którą dotąd miał, non perseverabit, tandem po długiej deliberacyi łaskawy i rozumny ociec, wziął rezolucyą postać go do Paryża, tę mu uczyniwszy deklaracyą, żeby wszedł do seminaryum de St. Sulpice, tam przy duchownych naukach dobrze examinował swoją wokacyą, dając mu de caetero na wolą, jeżeliby jej nie miał, pobywwszy w tym seminaryum jakiś czas, że mu wolno będzie porzucić ten stan i w wojsku służyć, in quem casum piszę do pułkownika mego, Wiltza, aby go w regimencie moim przyjął na kadeta. Expedit tedy, to wyraziwszy, żebyś mój kochany Tatusiu, sam go z rąk swoich i z dobrą rekomendacyą twojej kochanej Pani oddał au supérieur du séminaire de St. Sulpice i t. d.”

Przyszłość miała okazać, że pan Józef, choć „falował na oczy i nie zdawał się być sposobnym do świata, wolał na nim pozostać, niż szukać szczęścia w stanie duchownym.

Pan starosta drohicki, lubo wdzięcznie przyjął braterską propozycyą, dopiero w dwa z górą lata potem wyprawił syna do Francyi. Stanął staroście w Lunevillu 14 kwietnia 1739 r.; o serdeczności, z jaką go przyjęto, świadczy list Ossolińskiego, pisany nazajutrz do brata.

„Wyjeżdżałem przeciwko Olesiowi — czytamy tam — ex impatientia widzenia go, o trzy mile ztąd na pierwszą pocztę, i tam całą kompanią uregalowawszy podróżnym obiadem, przywożłem go tu sam ad hanc Regiam samym wieczorem, chcąc go tymczasem privatissime lokować w apartamentach moich, nimbym go tu condigne sporządził ad praesentionem N. Państwu moiemu. Ale N. Pan mój kochany simili impatientia ductus, w tym momencie jak się dowiedział, z zwykłej ku nam wszystkim dobroci swojej w tym prawie momencie przyszedł do apartamentów moich, i zaraz się w nich powitać pozwolił kochanemu Olesiovi, i o nim łaskawe swoje dał iudicium, że z fizygnomii i actu swego omnia bona et solatia obiecujący domowi i familii naszej, i że właśnie twarz reprezentujący Imci Xa. Kor. Kwestyonował go o wszystkiój podróży, na każde pytanie ślicznie mu prudenter et referenter odpowiadał.”

Ustęp powyższy maluje wybornie stosunek Leszczyńskiego do przywiązanego sługi i przyjaciela, a przytém okazuje, jak serdecznie usposobionym był nasz bohater do rodziny. Dotrzymał on w całej pełni przyrzeczenia danego bratu, zajmował się „kochanym synowczykiem,” jak własnym synem, nie żałował na jego wychowanie znacznych kosztów, woził ze sobą do Frankfurtu na elekcyą cesarską; następnie w Paryżu dawał mu na życie po 500 talarów miesięcznie, a nawet psuł go trochę, jeśli wolno wierzyć, że „tego aniołka ad hunc dignissimum surculum familii swojej tak piastował i pielegnował, jako jedyną źrzenicę w oku swoim.” Zdaje się istotnie, że czuł szczególną słabość do chłopca, którego uważał za uosobienie wszelkiój doskonałości. W każdym liście rozplywa się nad jego niezrównanemi zaletami, nie waha się

nawet przepowiadać, że „ten jest pierwszy tego wieku w imieniu naszym, który podźwignie honor imienia naszego i famili naszej.” Przepowiednia się nie ziściła; „Oleś” nie dobił się nigdy wybitniejszego stanowiska w społeczeństwie i niczém zgoła nie powiększył chwały imienia Ossolińskich.

Choć nie był równie hojnym dla innych krewnych, podskarbi przy każdej sposobności jednak składał im dowody swęj życzliwości. Siostrze Olesia, „kochanej Franusi,” posyła to „modne korneciki,” to „sztuczkę materyi letniej i modnej,” a przytém zadaje sobie wiele trudu, aby ją wyswatać za bogatego starostę jabłonowskiego, Antoniego Granowskiego; bratowej: „pewne zwierciadło partykularne i nowęj inwencyi, które osobę tak reprezentuje sztucznie i w takim portrecie, jak się sama żywa znajdować może.” Oprócz Aleksandra Ossolińskiego wziął na wychowanie wnuka, Kostusia, syna córki Anny, wydanęj za Józefata Szaniawskiego, podstolego koronnego, którym się niemniej serdecznie interesował. „Gdy ich obydwu wystawię, mówi w liście do bratowej, jak życzę, na konsolacyą Waszą, zawołam do Pana Boga: *nunc dimitte servum tuum Domine in pace*, do pożądanęj, a daj Boże szczęśliwęj, którą codziennie Panu Bogu suplikuje, wieczności mojęj.”

Skory do pomagania nietylko swoim, ale i obcym, chętnie się podejmował opieki nad przysyłałą z Polski młodzieżą, na czem zwykle źle wychodził, a za poniesione ofiary nie doznawał nieraz nawet słowa podziękowania. „Drudzy się Boga niebojący rodzice, mówi rozżalony, pozapominali tu swoich dzieci, przysławszy ich, co wszystko jest moim wielkim ugryzieniem, bo ja przez dobre serce i przez miłość narodu naszego, wszystko to suplementować muszę, a mnie nawet i responsu nie dają na moje listy....”

Nielitościwie wyzyskiwany, nie mógł już na drugiego synowca, Antoniego, łożyć tyle, jak na jego brata, tém bardziej, że i dochody podobno się znacznie zmniejszyły. Jeśli pan Antoni sądził, że za pieniądze stryja będzie mógł żyć w stolicy świata równie świetnie jak Aleksander, doznał przykrego zawodu. „Jabym sobie miał za szczęście dopomódz mu z własnego grosza, pisze Ossoliński do bratowej z Lunevillu, 10 maja 1749 r., *ale czasy się tu dla nas odmieniły*, a ja się sam oglądać muszę na dalszy koniec samego siebie i z całym tu domkiem moim, i nie jestem w stanie uczynić większęj przysługi dla Imę Pana Antoniego, jako mu się przyłożyć do przyszłęj rezydencyi paryzkięj stem czerwonych złotych.”

Jestto ostatni ze znanych nam listów Ossolińskiego; o siedmiu następnych latach życia, które mu jeszcze pozostały († 1 lipca 1756 r.), nie posiadamy już żadnej wiadomości.

W pierwszych szczególnie latach swego pobytu we Francyi, doznawał wszelkiego rodzaju względów i zaszczytów, jako najpierwszy minister i najwierniejszy poddany króla Stanisława; zczasem zacierała się pamięć tych zasług, zmniejszały się tóż objawy wdzięcznego uznania ze strony francuzkiego dworu i rządu. Jak dotkliwie odczuwał to

zapomnienie Ossoliński, możemy wnosić z tych oznak radošnego uszczęśliwienia, jakie wywołały zlewane nań w pierw łaski.

Podczas pobytu we Frankfurcie, niema dość słów na opisanie, jako się nam tam powodziło i z jakim honorem, z jaką satysfakcją przepędziliśmy tam czas pięcioniedzielny." W zachwyty wprawiają go ciągle zaszczytne wyróżnienia ze strony najznakomitszych figur. „Elekcyja cesarska, pisze pod koniec stycznia 1742 r.. szczęśliwie stanęła 24 praesentis; obrany cesarzem zgodnemi głósy elektor Imć bawarski a król czeski terażniejszy. Dzieci („Oleś i Kostuś") tu więcćj obaczą, niż przez dziesięć lat peregrynacyi swojej widzićby mogli; codziennie tu są na assamblach, prezentowani wszystkim królom, panom i ksiąźetom, ministrom cudzoziemskim; niech sami opiszą, jak tu są szczęśliwi i estymowani."

Ale najwyraźnićj widać, w liście do synowca, jak żywo obchodziły go te honory. „Au reste, kochany Olesiu, pisze doń z Lunevillu 19 maja 1740 r., posyłam ci mes preuves originaires, którem teraz świeżo oprawić kazał, et quon m'a donnć przy kreacyi mojej na kawalerstwo Orderu Ducha i Michała Świątego; przeczytawszy to i przejrzawszy się w tém naleźycie, znajdziesz tam nie mało konsolacyi dla siebie i dla imienia swojego, a potćm zwaźysz, co to Bóg dla mnie uczynił i par consćquent dla familii naszej, której to już wszystko od ad posteritatem manebit, i każdy się tu z niej we Francyi bćdzie mógł pokazać z niezmarszczonćm okiem..."

To zamiłowanie zewnćtrznego blasku, tę usilną i do pewnego stopnia usprawiedliwioną chćć powiększenia lustru swego domu, posunął on nawet dalej, niżby się może godziło, tytułując się statecznie księciem, a swoją żonę w listach do najbliższego rodzeństwa mianując „kochaną księżną" <sup>1)</sup>. Czynił to jak się zdaje w porozumieniu z Leszczyńskim, aby jako reprezentant wiernego mu stronnictwa wobec Francyi tém więkšą otoczyć się powagą. Niemnićj przeto do ksiąźęcego tytułu nie miał on wcale prawa. Pisał się wprawdzie kanclerz wielki koronny „dux in Ossolin," na podstawie przywileju otrzymanego od papieża i cesarza Ferdynanda II i z tego to powodu zapadła w r. 1638 uchwała sejmowa, wprost przeciw niemu wymierzona, a zabraniająca wszelkich zagranicznych tytułów. Ale pomijając już tę uchwałę, obostrzoną jeszcze w r. 1673, tytuł ksiąźęcy nadany Jerzemu Ossolińskiemu nie odnosił się do całego rodu, lecz tylko do jego mćzkich potomków, tak, że go nawet córki nie dziedziczyły, a jak wiadomo, jedyny syn kanclerza Franciszek, umarł bezdzietnie za życia ojca. Na podskarbiego więc, nie idącego w prostćj linii od kanclerza, godność ta żadną miarą spadać niemogła. Wiedząc to w kraju, w inny sposób tłómaczono sobie genezę owego ksiąźtwa, bo nie przypuszczano, aby było urojonćm; oto rozgłoszono, że Ludwik XV mianował ex-podskarbiego księciem i parem

<sup>1)</sup> Dopięro późnićj otrząsł się z tej wygórowanej próżności, bo już panią Katarzynę nazywa „swoją kochaną żonką," albo „Kasią swoją kochaną."

Francyi („duc et pair de France”), a wiadomość ta podawana już około r. 1740 w biografjach króla Stanisława, utrzymuje się dotąd we wszystkich książkach, nie wyjmując *Monografi* Kossakowskiego (t. II, str. 131). Tymczasem jestto widocznie grubą pomyłką. Ossoliński pisze się księciem już w r. 1736, wkrótce po przybyciu do Francyi, a w cztery lata później wyliczając zaszczyty, jakie nań spadły z łaski arcy-chrześcijańskiego króla, nie wymienia wcale księztwa i parostwa, choć znając jego próżność, niepodobna wątpić, że niebyłby o nich zamilczał. O tak niezwykłym wyróżnieniu cudzoziemca byłiby też coś wiedzieli francuzi, znalazłby się u nich jakiś ślad nominacyi; tymczasem zapewnia dyrektor Archiwum Ministerstwa spraw wewnętrznych <sup>1)</sup>, że zarządzone przezeń poszukiwania pozostały zupełnie bezskuteczne, że ztąd wiadomość tę należy uważać za mylną.

Z obydwojma synami, choć się nieźle pokierowali, dość częste miał Ossoliński kłopoty, bo nie zawsze postępowali po jego myśli. Niedoszły książdz, którego zachowanie we Francyi zyskało ojcowskie pochwały, powróciwszy do ojczyzny, znów zaniepokoił kochające serce rodzica. Z tego powodu pisze stroskany ojciec (22 kwietnia, r. 1739) do pani starościny drohickiej, która podejmowała się swatania kawalera: „Ach! Mcia dobrodziejko, dałby to Pan Bóg, żeby się tam tak uczynił i wystawił godnym, żeby do tego przyjść mógł szczęścia za promocyą i staraniem WM pani dobrodziejki. Dawnoć ja mu tu już czyniłem te propozycye z refleksyami wielkiego awantagu i szczęścia jego, bom też miał trochę komunikacyi w tym punkcie, ale to mało sprawiło attencyi. Wiem, że tam będzie miał honor powitania WMci państwa, wyrozumiej to wszystko WM pani rozsądnie z niego i daj mi znać; jeżeli ma łaskę Pana Boga, będzie pewnie od tej oświecony, że się tego chwyci, a ja natenczas, jako łaskawy i sprawiedliwy ojciec, wszystkobym uczynił z mojej strony coby mi mógł.”

Czy tą rojoną przez stryjankę osobą była późniejsza żona Józefa Ossolińskiego, Teresa ze Stadnickich, na to niema w listach wskazówek.

Nierównie większe niezadowolenie wzbudziło w ojcu postępowanie starszego syna, starosty nurskiego, który chciał się widocznie bawić

<sup>1)</sup> W piśmie urzędowém, które zawdzięczam uprzejmości bawiącego w Paryżu dla studyów dra Stanisława Lukasa, pisze p. Alfred Maury: „directeur général des archives nationales,” w miesiącu lipcu r. b., jak następuje: „Monsieur! Vous avez écrit le 3 courant pour me prier de faire rechercher les documents relatifs á F. M. Ossoliński, grand trésorier de la couronne de Pologne, qui émigré en France en 1736, y aurait été crée duc et pair.

„J'ai l'honneur de Vous donner avis, que les recherches prescrites par moi dans le fonds de la Maison du Roi et dans celui de la chambre des comptes, n'ont produit qu'un résultat négatif et qu'aucune pièce aux archives n'est établie, que le grand trésorier Ossoliński ait obtenu du roi la duché et pairie.

w beczynnego malkontenta. O nim to pisał do bratowej, z Lunevillu 26 sierpnia 1741 r., z niezwykłą stanowczością i mocą.

„Imć X. kanclerz koronny pisał tu do mnie po kilka razy, żaląc się na Tomasza, syna mego, że dworu nie pilnuje, że się w domu za-grzebał i na próżnowaniu trawi dni swoje, przez co choćby dwór tameczny mógł co dobrego dla niego uczynić, nie wpatrując się w jego osobę i w jego akcyę, nic dla niego uczynić niemoże. Jeżeli to czyni przez upór, abym ja o nim większe uczynił staranie niż mogłem, tego się nie-doczeka, dosyć jam dla niego czynił; ale kiedy z tego profitować niu-miał, niechże się teraz stara o siebie kiedy chce; czy on będzie domato-rem, czy republikantem, mnie to jednakowo, pourvu qu'il tache d'être honet homme et envers Dieu et envers le monde. Odemnie póki żyję, więcej mieć nie może, bo ja dla miłości dzieci, a jeszcze źle się rządzą-cych, chleba żebrać sam niepowinienem. Na tym świecie gołąbki pie-czone nikomu w gębę padać nie będą; trzeba się starać o kawałek chle-ba przez samego siebie ile mogąc, a wreszcie Pan Bóg dopomoże, kiedy się go bojemy. Już u mnie tego nie dogoni, co opuścił par sa propre fatalité et la mauvaise conduite. Nie sam ja tego byłem sędzią, ani obserwatorem, ale wszyscy tu poczciwi ludzie; ainsy il s'en doit prendre á luy même. Jeżeli będzie chciał być grzecznym, Pan Bóg mu dopo-może przy mojem błogosławieństwie; jeżeli kontynuować będzie niesta-teczne i nierządne życie swoje, tan pire (sic) pour luy. Ja na to pewnie nie umrę, ani się już o to nigdy frasować nie będę.”

Wkrótce potem ożenił się Tomasz Ossoliński z Teresą Lanckorońską, kasztelanką gostyńską, a wtedy znów sposób zawarcia tego związku nie przypadł do smaku ojcu. I teraz więc zali się bratowej w liście z 2 grudnia 1741 r.

„Panu staroście nurskiemu i samęj Imci pani starościnie odpisuję na listy. Winszuję im odmiany stanu, ależ mi to przecie markotno i bardzo żałośno i u ludzi wszystkich godnych w wielkiem podziwieniu, że się ten mariage zakończył bez komunikacyi punktów interczyzy ślubnej i bez aprobacyi żyjącego ojca i całą fortunę w ręku swoich i posesyi mającego, jako się to po całym świecie praktykować zwykło. Mnieć to nic nie szkodzi, ile żem ja już dosyć dobrze przywykł do takowych nierozsądnych akcyi dzieci moich, ale téż to pewnie synowi memu nieuczyni żadnego honoru i awantagu.”

Nie był to jednak srogi ojciec i łatwo go było przebłagać. „Te ekskuzy, pisze do bratowej 24 lutego 1742 r., które mi WM pani dobr. czynisz z procederów syna mego, nietylko że akceptuję całym sercem, ale cale ten interes i tego państwa nowo złączonego pożycie oddałem łasce i providencyi Pana Boga, ponieważ tak się spodziewam, że to za wolą i predestynacją jego świętą, wszystko się zakończyło i przy mojej renowacyi codziennego błogosławieństwa, zawsze do tegoż Pana Boga wdycham, żeby im dopomagał we wszystkich zamysłach ich przy tém szczęśliwém pożyciu, które prowadzą.”

Wszystko więc pomyślnie się załatwiło, a zaniedbanych formalności dopełniono następnie, jak świadczy znajdująca się w metryce koronnej intercyza państwa starostwa nurskich z dnia 26 czerwca 1742 r.

Poznawszy nieco prywatne stosunki Ossolińskiego na wygnaniu, radziłyśmy niezawodnie dowiedzieć się jak wpłynął pobyt wśród obcych na jego polityczne zapatrywania, na jego stosunek do ojczystego kraju. Czy może zdala od ziomeków ostygł z tej gorącej miłości do ziemi rodzinną, jaka go ożywiała, gdy oddychał jej powietrzem, czy zobojętniał na jej losy, odkąd przestał być jednym z aktorów rozgrywającego się nad Wisłą dramatu? Na pytanie to łatwa odpowiedź, jakkolwiek listy pisywane przezeń z Francyi do rodziny, są treści wyłącznie potocznej i prywatnej, a spraw politycznych wcale nie dotyczą. Unikając jednak systematycznie poruszania tych drażliwych kwestyi, niemógł się autor wstrzymać niekiedy od pewnych cisnących się natrętnie pod pióro aluzyi, które odbrzmiewają jakby cichém westchnieniem, posyłańm tęsknie na ojczyste błonia, a tęp wymowniej przemawiają do duszy, im są zwęższe i prostsze.

Jak wzniośle pojmował stanowisko swoje na tułactwie, wskazują słowa wypowiedziane do bratowej, którą prosi aby życzliwie zechciała przyjąć dary od niego i od żony, „jako od wygnańców z ojczyzny swojej, tylko przecież dobrowolnych, przytęp przy sprawiedliwości i honorze narodu swego obstawających” „i ten tu dla nas jest, dodaje nie bez szlachetnej dumy, największy zaszczyt i przed Panem Bogiem i przed światem...”

Że boleśnie odczuwał smutny stan Rzeczypospolitej, chyłcej się coraz bardziej ku upadkowi, świadczy początek listu do pani starościny drohickej z 26 sierpnia, r. 1741: „Niech będzie Pan Bóg pochwalony, moje kochane państwo, że w tym nierządzie naszym polskim i przy tęp tam niesprawiedliwości, która jest największą opresją wszystkich poczciwych i spokojnych ludzi, w dobrém i czerstwém konserwuje was zdrowiu...”

Bolał on nad krajem, wydany na łup niegodnego faworyta i jego kreatur, ale tęp nie spodziewał się dlań zbawienia ze strony rewolucyi, przygotowywaną pocichu przez Józefa Potockiego i skore zawsze do anarchii żywiły. Dobro kraju stawiać wyżej ponad partyjne widoki, nie pragnie wcale rozdmuchania tych palnych materyałów w płomień nową wojny domowej, z obawy że zamiast oczekiwanych korzyści, urosłyby ztąd jedynie gruzy i zgliszcza. Dlatego tęp w dwa niespełna miesiące potem (21 października), wyraża życzenie, tchnące uczuciem najszczerzszego, bo wolnego od wszelkich ubocznych celów patryotyzmu: „Imię pan marszałek de Belleisle odjechał na kampanią do wojsk francuzkich, pod komendą elektora Imci bawarskiego w Austrii będących. Wielki się tam w tym kraju ogień zaczął i niewiem, jak go Pan Bóg uśmierzy; *daj tylko, Panie Boże, aby bez naruszenia ojczystych granic naszych*, ile przy tęp konfederacyi, o której słyhać i która nie wiem, jakim instynktem i jakim końcem zaczyna się.”

RZUT OKA

## na piśmiennictwo w Ameryce południowej.

(WEDŁUG ŹRÓDEŁ HISZPAŃSKICH \*).

PRZEZ

A. G.

Józef Rivera Indarte.

(ur. 1814 † 1845 r.).

Urodzony w mieście Cordova, w prowincyi Tucuman, Rivera Indarte w dwudziestym roku życia skończył naukę prawa na uniwersytecie Buenos-Aires, otrzymał stopień doktora i natychmiast z młodzieńczym zapałem rzucił się w szranki dziennikarstwa.

Przy ówczesnym stanie rzeczy, pod rządami Rozasa, nie mogło go minąć więzienie a następnie wygnanie. Przebiegając Brazylią i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, uczył się i zastanawiał wiele, zagłębiał się w pracach nad filozofią i polityką, a zabawiał się z muzami, pisał rozprawy, broszury i poemata.

A potem przybył pod wrota rodzinnej ziemi, lecz progów jej przekroczyć mu niewolno. Pozostał więc w sąsiedzkim a gościnnym Montewideo i ztamtąd patrząc na srogi ucisk, gnębiący nieszczęsną Argentynę, zaciętą prowadził walkę z jej ciemnym cielem. Jeżeli na chwilę wypuszczał z ręki oręż, to tylko dlatego, aby nią ująć pióro ku podtrzymywaniu zasad, ku rozbudzaniu obywatelskiego ducha w swoich współziomkach. A kiedy obrońcy prawa odnosili zwycięstwo lub klęskę ponieśli, wtenczas młody szermierz chwycił w dłoń lirę i pieśń podnosił: jużto gorącą zapałem, już boleścią rozżaloną.

Sześć lat tak wytrwał na wyłomie, aż dopóki śmierć nie zwalczyła mężnego serca. Prawie już konający, stygnącą ręką, jeszcze w ostatniem wysileniu, dzielnie służył dobrej sprawie.

Rivera Indarte umarł w 31 roku życia, na wyspie św. Katarzyny, w państwie Brazylijskiem.

Charakter swojej poezyi określił on sam najlepiej w przedmowie do jednego ze swych utworów. „Poezja moja, mówi on, jest romantyczną i chrześcijańską, nie dlatego abym rozmyślnie chciał jej nadać ten kierunek, ale dlatego, iż obowiązek z natury swojej romantycznym jest,

\*) Patrz zeszyt za październik r. b.



romantycznymi są jego idee, jego mowa; dlatego, iż człowiek w boleści, iż ten co *cierpi prześladowanie*, mimowolnie podnosi ducha ku Chrystusowi zbolełemu i rozpiętemu na krzyżu Kalwaryi. O! tak, to jest prawdą; cierpienia nie są ani klasyczne, ani mitologiczne, ani bezbożne."

A w przedmowie do innego poematu p. t.: *Don Cristobal*, mówiąc o poezji w ogólności, tak się wyraża: „Poezja ma posłannictwo kary i nagrody; powinna mieć życie rzeczywiste, a nie gubić się w platonizmie idei lub w uduchownianiu miłości.” Mało też znajdujemy pomiędzy utworami tego poety podmiotowych lub erotycznych, ale te istotnie tchną spirytualnym uczuciem, przeczystą miłością nad zmysłową, jak np.: *Wiersz do...* napisany na morzach Meksykańskiej zatoki. Do tej samej kategorii zaliczyć można pełny wdzięku i uczucia wiersz: *Zielona wstęga*.

Lecz w większej części utworów swoich, poeta nie zadał kłamu myśłom wypowiedzianym w przedmowach. Do takich należą: *Jeniec Chrześcijański*, *Król Baltazar*, *Eulogia Perez* i *Płak morski*, pełny poetycznej fantazyi i rzewności.

W ogóle zarzucają mu nadmiar opisowości. Zarzut ten szczególniej dotyka jego poematu *Do maja*, przedstawionego na konkursie 1841 r. w Montewideo. Cały ten poemat składa się z małych obrazków: wygnaniec znajduje się na starym cmentarzu Montewideo; w złudzeniu zdaje mu się, że słyszy jak się podnosi tysiące głosów i powołują do broni przeciwko europejskim przywłaszczycielom. Indyanie opowiadają swoją nędzę. Następuje walka; kastylskie zastępy cofają się. Ukazuje się ojczyzna niepodległa. Lecz... zaraz się znów odzywa głos smutny, bolejący: to skarga żałosna jednej z ofiar tyрана Argentyny; wylicza popełnione przez niego zbrodnie. Ocknął się wygnaniec: nie wie sam, czy w rzeczywistości słyszał te pieśni wojenne, te smętne elegie... lecz sam z kolei głos podnosi, prorokując ojczyźnie błogą przyszłość i hołd składając wielkiej chwale maja.

Poemat ten, pomimo piękności wiersza i formy, nie otrzymał na konkursie żadnej zaszczytnej wzmianki.

W politycznych pismach, rozproszonych po rozmaitych dziennikach, Rivera Indarte stawał zawsze w obronie sprawy moralności i prawa.

### Florencio Balcarce.

(ur. 1815 † 1839 r.).

Krótki, bo zaledwo rozpoczęty żywot, mało dostarcza materiału dla biografa; lecz pilny badacz umysłowego rozwoju jakiegokolwiek narodu, nie poczyna za zbytęcną wznianki, choćby krótkiej o młodzieńcu, którego pierwsze kroki na polu nauk i piśmiennictwa zapowiadały jeden ze znakomitszych talentów swojej epoki.

Florencio Balcarce umarł bardzo młodo, liczył bowiem zaledwie 24 lat życia. Był on synem słynnego z męstwa i prawości generała Balcarce, którego rodzina rozproszyła się i niektórzy z jej członków mieszkają od wielu lat w Paryżu, gdzie pozyskali sobie wysokie poważanie w gronach ludzi zacnych i światłych.

Po ukończeniu nauk w Buenos-Aires, Florencio na dwa lata przed śmiercią udał się do Paryża. Tam słuchał wykładów najzdolniejszych profesorów. Ze szczególném zamiłowaniem oddawał się filozofii i belletrystyce, a dziwna bystrość i jasność pojęcia ułatwiały mu szybki postęp na obranej drodze.

Wziąwszy się do pióra, przełożył znakomicie na język hiszpański kurs filozofii sławnego profesora Laromiguière. Nadto w czasopismach argentyńskich ukazały się godne uwagi artykuły jego, treści filozoficznej i literackiej.

Poezye, które Balcarce zaczął wydawać w najpierwszej prawie młodości, pochlebnego doznały przyjęcia u najcelniejszych literatów jego kraju. Wiersz jego gładki, dykcya poprawna, a pieśń swą już umiał nastrajać na niejedną nutę. Jakaż to swoboda, jaka werwa młodzieńcza, w humorystycznym wierszu: *Mleczarz*. Głębszą myśl zawiera charakterystyczny obrazek *Cygaro*, poezya prawdziwie amerykańska. Wiersz *Do Florindy* i romans *El Picaflor* (gatunek ptaszka) pełne tkliwości i świeżego wdzięku. Całkiem różny charakter nosi *Epistola do Wiktora Silva*, w dniu odprawienia pierwszej mszy. Tu góruje siła natchnienia, myśl wzniosła, w skreśleniu szczytnego postanowienia kapłana.

Najpiękniejsze poezye napisał Balcarce wyjeżdżając z Buenos-Aires: *Pieśń do pięknych cór Argentyny* i *Pożegnanie ojczyzny*. To ostatnie tak rzewne, tak żałosne, jakby jęk boleści, wzniosłe, jakby modlitwa. Poeta patrzył na gromadzące się chmury coraz czarniejsze, zwiastuny srogich nieszczęść dla ukochanej ojczyzny; czuł się chorym, oddalał się z pod rodzinnéj strzechy, do której nie miał powrócić jak tylko na krótką chwilę, by pod jej cieniem ducha wyzionąć i wśród przeczuć bolesnych zanucić śpiew łabędzi.

### Gertruda Gomez de Avellaneda.

(ur. 1816 r.).

W tych właśnie chwilach, gdy za Atlantykiem gasła jedna z gwiazd świetnych, co zeszyły na niebie Kuby, druga z nich najżywszym jaśniała blaskiem, na drugiej półkuli świata, na horyzoncie staréj Hiszpanii. W ojczyźnie Józefa Heredii ujrzała poraz pierwszy światło dzienne Gertruda Gomez de Avellaneda, w mieście Puerto-Principe, gdzie ojciec jej miał urząd prefekta miejscowéj marynarki. Matka jej była Kreolką z krwi hiszpańskiej.

Na tém kolonialném wychowaniu, gdzie nie było ani szkoły ani teatru, młoda Gertruda sama sobie rozwijała umysł i budziła wyobraźnię: czytaniem niektórych poetów hiszpańskich, oraz widokiem tego tropikalnego nieba, o którym powiada poeta, iż to jest „najpyszniejszy baldachim przez samego Stwórcę rozwieszony nad świąteczną uroczystością, odprawiającą się ku Boskiej czci Jego.” W dzieciństwie już tworzyła rymy, opiewając to, na co jej oczy patrzyły. Bardzo młodo straciła ojca, a matka jej wszedłszy w powtarne związki małżeńskie z hiszpańskim pułkownikiem, popłynęła z nim do Europy, zabierając z sobą piętnastoletnią zaledwie córkę.

Najprzód wylądowali we Francyi i zabawili kilka miesięcy w Bordeaux, następnie udali się do Koruny zkąd pochodził pułkownik. Południowa Francya i północna Hiszpania, uczyniły wrażenie posepnej Północy na dziecku podzwrotnikowej strefy, znającem tylko pałające niebo i urocz jasne noce. Wygnańca tych promienistych krain daleko silniej dotyka *Nostalgia*, aniżeli europejskich wygnańców: młoda Gomez długi czas tę chorobę cierpiała. W chmurnym dniu grudniowym z taką bolesną odzywa się skargą:

Króluj, o słońce, króluj na niebieskim stropie  
I ogniem życiodawczym roztlój moje łono;  
Bez światła, bez otuchy, zmartwiałe, ścieśnione,  
Łaknie promyka z twoich gorących płomieni.

Pod twą błogą pieśczętą niech kiełkują trawki,  
Niechaj lody pękają pod twojemi żary;  
Ukaż się groźnej zimie na urągowisko,  
O! królu firmamentu, przyjdź, głos mój cię woła!

Od szczęśliwej krainy, gdzie w moję kolébkę  
Złote z twoich promieni spływały potoki,  
Z młodu los mię okrutny oddalił na wieki.

Pod inném niebem, na innej ziemi ja płaczę...  
Znieść już dłużej nie mogę tych błyszczących śniegów,  
Ta zima mię zabija! słońce, ty mię ratuj!

Wreszcie, posunawszy się dalej w głąb Hiszpanii, mieszkając w Kadyksie i w Sewilli, nanowo odżyła. Skoro drzemiącą wyobraźnię rozzarzyły napowrót jasne słońca promienie, wkrótce znów świeżą wykwitła poezją.

Gertruda, otoczona hołdami w Grenadzie i w Sewilli, zagościła później na wielkim świecie madryckim. I tam również obudziła niezwykły podziw i zapał. Cudna jej piękność wydawała się jakby przejrystą obłoną duchowych jej wdzięków. W oczach Hiszpanów miała ona podwójny urok: wieszczki narodowej i nawpół cudzoziemki. Talent jej, tchnący siłą i wielkością, odznaczał się zaletą; o tyle rzadką w Hiszpanii, iż mogła uchodzić za oryginalność: smak wybredny i ścisła poprawność, cechowały jej utwory. Młoda Kubanka czarowała wszystkich, którzy ją słyszeli; nadane jej przez wielbicieli imię *Tula*,

zastępowało szeroko. Jój poezye liryczne, wydane w dwu następujących po sobie latach, musiały się znajdować we wszystkich salonach, a potém w rękę każdego. Najpierwsza z jój tragedyi *Alfons Munio*, przedstawiona w Madrycie, przyjętą została z najżywszém uniesieniem. Wieńce kwiatów posypały się do stóp autorki, serenady odprowadziły ją do jój mieszkania, przewano ją kastylską Melpomeną, akademie głosiły jój pochwały.

Sława jój przeszła i za Pireneje, gdzie krytycy dostrzegają w jój utworach widoczny wpływ francuzkiej nowoczesnej poezyi, nie wytykając wszelako tego naśladownictwa, jako ujemnej strony, a raczj szczytając się tém, iż tak znakomity talent kształcił się w pewnej mierze na takich wzorach, jak: Lamartine i Wiktor Hugo i przyznając, jak wiele na odwrót ten ostatni z hiszpańskiej poezyi zapożyczył świetności i wspaniałej barwy. W rzeczy samej p. Gomez Avellaneda, w pierwszej młodości wiele tłómaczyła i naśladowała z tych dwu poetów. Wpływ ten daje się nawet ucuć w utworach, do których natchnienie czerpała poetka we wspomnieniach rodzinnj ziemi, dokąd zawsze myśl jój biegła. Nawet pieśń rzewna, którą uczciła świeży grób antylskiego poety, młodego Heredyi, może wydawać się poniekąd echem znanych dźwięków, więcej niżli kreacją twórczego talentu. Jednakże z laty duch jój spotęźniał i wydobył z siebie własną twórczość, a samodzielność myśli napiętnowała oryginalną cechą jój poezye. I tak, w czasie kiedy rząd francuzki skłaniał się ku myśli sprowadzenia do Paryża zwłok Napoleona I; kiedy w zgromadzeniu prawodawczém toczyły się w tym względzie gorące rozprawy, wywołując nieskończone pochwały i apoteozę bohatera: w teje chwili głos cudzoziemki zaprotestował z godnością przeciw tej myśli, mieniając ją niepolityczną i niepoetyczną zarazem.

„Poprzestań, o Francyo, na chwale, jaką mąż ten napełnił twoje ziemie! dosyć ci widzieć w dziejach wielkie jego imię z twojém połączone! Wystarczy ci ten pomnik, na którym potężna jego prawica wyryła w spiżu ślad wiekopomny! Zostaw, zostaw światu ten grobowiec odosobniony, poważny, w którym surowy przeznaczeń wyrok więzi olbrzyma ambicyi i dumy, wśród skał jałowych i pustych, gdzie morze z niezrozumiałym gwarem rozbija u stóp jego spienione bałwany.

„Zostaw go tam! Ani pienia, ni modlitwy nie brzmią tam dla niego, na tej twardj opoce, wokół odludnej jego mogiły a tak wymownej w swojém milczeniu! Zostaw go tam! bez orszaku, zainknięty samotnie, niech śpi na swoim głazie nagim i ponurym, ten król bez dynastyi, a niechaj nie wraca po to, by w ciasnych Panteonu murach twój, o Paryżu, szalonej słuchać wrzawy!

„Groblem dla niego Święta Helena. Imiona Wagram, Austerlitz, Marengo, Jena, nie przychodzą tam zakłócać jego smętnego cienia; ani pyszna kolumna grobowca tego swemi nie osłania orły; przy nim nie dźwięczy trąba ani działo nie grzmi. Na tej oto skale olbrzymie widmo, przysłonięte w milczeniu płaszczem swojej sławy, patrząc na

przemijające przewroty i prawa, surową pozostaje nauką ludom i mo-  
carzom!"

Dla poetki ideałem wielkiego męża nie jest bohater-pogromca, lecz bohater-obywatel, Washington, któremu poświęca wiersz gorącej  
czci i uwielbienie.

W dojrzałym wieku nie zagał w niej zapał do wszystkiego co wielkie, szlachetne i piękne: wzniosłem uczuciem tchną wszystkie jej utwory; lecz im dłużej na świat patrzy, tém bardziej błędną w oczach jej świetne utwory, co widać już w jej pieśni *Do młodości*. Pełen wdzięku i prostoty wiersz *Do nadziei*, maluje stan duszy pragnącej już tylko ciszy, ustronia, życia na łonie przyrody, zdala od miejskich zgiełków, od widoku złych namiętności, które burzą pokój świata.

Nowa atoli zmiana w jej życiu na nowe wprowadziła ją tory. Piękna i urocza Gertruda, otoczona rojem wielbicieli, doszła do trzydziestego roku życia, nie znając i nie pragnąc uczucia miłości. W końcu wzruszyło ją głębokie przywiązanie młodego człowieka, zajmującego wybitne stanowisko w Zgromadzeniu kortezów. Oddała mu swą rękę, ale po to tylko, aby mu osłodzić ostatnie chwile życia. Pedro Sabater, stargawszy przedwcześnie siły w politycznych zapasach, wśród burzliwych szamotań się anarchii, już prawie dogorywał trawiony piersiową chorobą. Słynna poetka stanęła przy boku jego z imieniem małżonki, a spełniała zadanie czulej siostry i anioła pocieszyciela. Gdy grób się zawarł nad towarzyszem tych krótkich a bolesnych dni jej życia, w długiej żałobie ocknęło się poetyckie natchnienie i pieśń ją zawiodła na religijne pole. Tu każda z jej poezyi jest modlitwą, wywnętrzniem zbolełej duszy. „Obca w tym świecie, radości jego nie rozumiem, ani on nie zdolen zajrzeć w głąb tej otchłani przepełnionej boleścią, a którą los niekiedy po wierzchu kwiatami przysłania... Wulkan śmierci w łonie swém kryjący, a zwieńczony zielenią.” W istocie, widząc jak hojnie uposażyło ją niebo, nadzwyczajną pięknnością, rzadkim talentem, jaką była otoczona sławą, jakimi hołdy uczczona, mógł świat jej szczęścia pozazdrościć; lecz w dusznej spowiedzi przed matką boleści pokazuje się, ile to serce zdawna już cierpiało. „Sieroctwo kołysało mię w powiciu, dziecinne lata śmiechu nie znały, a starość nie będzie miała pociechy. Patrzę wokoło!... nié mam ani ojczyzny, ani domowego ogniska! Jestem ptaszę bez gniazda, zwiedły bluszcz bez podpory!...”

W końcu osierocone serce zwróciło się całkiem do Boga, duch jej skierował się ku najwyższym polotom, dosięgnął tych wyżyn, kędy na skrzydłach religijnego natchnienia unosiła się poezya świętej Teresy. Znikome świata uczucia i sprawy, ustąpiły jej z przed oczu, miłość i nadzieje zestrzeliły się w gorącej wierze, krzyż sobie obierając za cel i godło. W tym wysokim nastroju ducha utworzony *Hymn do krzyża*, tchuie majestatyczną powagą, jakąś kapłańską uroczystością, a przytém takim pokojem, taką prostą wiarą, iż wątpić nie można, z jak czy-

stego i prawdziwego natchnienia popłynęły te harmonijne rymy, których tylko w oryginale ocenić można niewysłowiony urok i piękność.

„Ja pieśń wznoszę na cześć krzyża! Niechaj się obudzi świat! Ludy i króle słuchajcie! Niech wszechstworzenie przed naszym umilknie słowem! A Ty, Najwyższy Twórco harmonii, co dźwięki rozdajesz morzu, wichrom, ptastwu; Ty memu głosowi męzkiej użyż siły, by godnie wyśpiewał moc i wielkość krzyża!

„Podnieście w górę wasz sztandar chwały, wy, szczytni wiary szermierze! Pod cieniem jego narody niech sławią jego zwycięstwa. W górę podnieście aż tak wysoko, by tam dojść nie mógł szmer bezbożności....

„W górę królewski proporzec, który zjawieniem się swoim strącił groźne pogan bogi ze szczytów Olimpu w otchłań. W górę, jak w on czas, gdy nim Konstantyn swoją cesarską skroń opramił, orły rzymskie zatknąwszy pod bożkiem *Labarum*.

„W górę jak w on czas gdyśmy barbarzyńców, w tryumfie na zgłiszczach praw i narodów, nad upadłemi godły cesarstwa, widząc go mocnym i niezachwianym, zdjęte podziwem stanęły. Oni rumaków swoich kopytami zdeptali pyszną świetność Europy, syci już bojów, zwycięstw i łupieży... Lecz zwyciężony, u ołtarzy krzyża, zwyciężęcę uczył korzyć się i modlić.

„W górę tak wzniescie jak nam się ukazał, pokój niosący, bo swém słodkiem jarzmem chce uszlachetnić ludy Ameryki wyswobodzone wolą Opatrzności. Zmienne koleje czasu równie szybko niewolę niosą albo wyzwolenie; czas krok postąpił: i oto część świata nie będzie dłużej hołdowniczką drugiej; ale Inkasów i Azteków słońce świeci nad niewzruszonym Kalwaryi pomnikiem.

„Ach! wzniescie w górę, bo ludzkość się chwieje... On jój podpora! Patrz, jak ona szuka, dumna a trwożna, zuchwała a słaba, depcze dziś stopą wczorajsze bożyszcze, w odmęcie myśli miota się, szaleje, świat zakłócając własne targa siły...

„Kwitnij, kwitnij święte drzewo! niech gwiazda prawdy cię opramienia, a strumień łaski niebieskiej, niech Twój olbrzymi podsycy korzeń!

„Rozpostrzyj Twoje konary! niech słabe plemię Adama pod Twym świętym spocznie cieniem, jak świat szeroki i długi!

„Niech wicki w swoim pochodzie wielbią Cię, a Ty im panuj! niebios, ziemia i piekło niechaj Ci pokłon składają!

„Ty dźwigasz Boga co się stał człowiekiem i Ty człowieka podnosisz do Boga!

## J ó z e f M a r m o l.

(ur. w 1818 r.).

We wszystkich republikach Ameryki Południowej znanem jest imię Marmola; wielka część utworów jego, zarówno gorące wywołała pochwały literackiego areopagu, jak żywy zapal u ogółu publiczności. Bo Marmol w poprawnym języku, w starannej formie, harmonijnym wyśpiewał wierszem uczucia wrodzone sercu człowieka, bez względu na stanowisko jakie tenże zajmuje: wolność, wiarę i miłość. Za silniejszą jeszcze pobudkę do tak wielkiej popularności uważać można i to, że Marmol w swoich poezjach, dramatach i powieściach ukazuje się wiernym wyobrazicielem Ameryki: prawdziwie amerykańskimi obrazami, wystawieniem i duchem. A małoś uroku otacza imię poety, który ziemię rodzinną opiewając z miłością, jednocześnie służy jój czynem, i za wolność, a raczej za sprawiedliwość srogie ponosi prześladowanie.

Don José Marmol urodził się w Buenos-Ayres ku końcowi 1818 roku; nauki odbył w témże mieście i w sąsiedniem Montevideo.

W dwudziestym roku życia dostał się w okowy dzikiego dyktatora Rozasa, który się narzucił rzeczypospolitęj argentyńskiej w chwilach rozstroju nowourządzającego się społeczeństwa, wśród rozterek i zawichrzeń domowych.

Na wilgotnym więziennym murze, czterowiersz śmiały i podniosły myślą, skreślony młodzieńczą ręką, objawił poetę, oraz duszę silną, niepodległą, pomimo kajdan krępujących ciało. Gdy mu się powiodło wydostać z rąk swego prześladowcy, Marmol odbył wiele podróży, ale zawsze tylko w Ameryce; juźto z kolei udając się do Bandy Orientalnej i do Brazylii, to znów zwiedzając rzeczypospolite nad Oceanem Spokojnym; a wszędzie i zawsze, jak powiada jego amerykański biograf „brząkając na strunach swojej złotej lutni, zbierając kwiaty i wieńce, krzewiąc miłość swobody i smak literacki, słodząc długie godziny wygnança, przyczyniając uroku do szczęścia tych co jeszcze nie cierpieli.”

Sam Marmol określa charakter swojej poezyi w krótkiej przedmowie umieszczonej na czele jego utworów, których zbiór wyszedł w Buenos-Ayres w 1854 r. Tak się w nięj wyraża:

„Dwa pokolenia, rzec można, żeglowały po morzu rewolucyi argentyńskiej, i jak gdyby oba pragnęły wyryc głęboko losy swoje w pamięci czasów: każde z nich miało swój chór poetów, którzy dzieje swojej epoki wyśpiewali z uczuciem i prawdą.

„Potężna, świetna i pyszna, jak laury zwyciężkie, jak chwała rodzinnęj ziemi, muza niepodległości wielkie dni jój tryumfu z zapalem opiewa.

„Rzewnym obleczona smutkiem, zadumana, rozboleła nad losami ojczyzny, brzękiem jój kajdan natchniona, muza wolności, pospołu z wolnością pognębiona i wygnana z krain dalekich, z tułactwa po morzach, szle na skroń matki wieńce krwi i łzami jój dziątek zroszony.

„Do téj ostatniej epoki należą poezye, które dziś w świat puszczaemy; należą one do liczby tych westchnień serdecznych, z obczyzny na argentyńskie pobraża zasłanych na skrzydłach zefiru, albo na smętnym księżycu promieniu; do tych tonów z duszy płynących, któremi piewcy nasi objawiali niedolę ojczyzny i w przyszłość budzili nadzieję, przez ciąg téj długiej ciemności nocy.

„Wieczni tułacze, dziś na jednych pobrażach, jutro na innych, biedni, zropaczeni dzisiaj, jutro promieniejący otuchą i nadzieją, oddani na pastwę kapryśnym a niezblaganym losom przeznaczenia, wygnañcy poeci i pisarze nie byli w stanie, ani to możebnym było, ofiarować swemu krajowi dzieł wykończonych i doskonałych. Pracując za popędem serca, dzieci epoki burzliwej, w niepewności osobistego losu, złożyły u stóp wspólnej kochanki tylko garstkę kwiecica z różnych stref i czasów: kwiaty to ręką nadziei sadzone, stargane męczeństwem, uszczknięte dłonią wiary i miłości.

„Wszyscy zadanie swoje spełnili.

„Otóż więc macie i moje, sieroty bezbarwne, bez związku, jednością w nich tylko uczucie. Dla wszystkich to kwiatki leśne, dzikie; lecz dla mnie one bardzo drogie, albowiem każdy z nich mi przypomina łązy i nadzieje, co mi na serce kropelkami spadały w czasach onych, kiedy życie wieczną było walką obecną doby z przeszłością, a ciosy krzesały te świetne iskry poezyi, na których dzisiaj nam zbywa.”

Wiernie takiemu scharakteryzowaniu odpowiadają, pomiędzy innymi, piękne poezye Marmola do hrabiny Walewskiej, której mąż był przez jakiś czas agentem francuzkim w Buenos-Ayres. W czasie pobytu téj rodziny na argentyńskiej ziemi, przyszła na świat i niebawem tam zmarła mała ich dziecina. „Dałaś aniołka ojczyźnie mojej, lecz macierzyńskiej przy kolebce pieśni burza La Platy odwodziła i przestraszony cherub uleciał w niebiosy....” Poeta odzywa się do zboliałej matki w imię „braterstwa łąz” jakie ich odtąd łączy; i dla niej także drogą będzie ta ziemia, jakby po jój dziecięciu pozostała kolebka, a łązy jój płynąć będą pospołu ze łązami tysiąca argentyńskich matek. Przygnębiony nieszczęsną kraju swego dolą, widzi jakby okrutny fatalizm ciężący nad Argentyną: tu wszystko musi cierpieć i płakać. „Uchylając dopiero jutrzeńki dni twoich szkarłatny rąbek, czyś ty płakać umiała? Ach! przybyłaś tutaj! i zaraz życia twojego kwiaty od gorzkiej łązy poblakły!” Przecież w końcu promyk wiary i nadziei przedziera się przez te czarne chmury. „Módl się, Pani, mówi, za tę ziemię, na której dziecina twoja światło dzienne ujrzała; może kiedyś słysząc o niej wyrzeczysz z dumą: to była jój ojczyzna!”

Też same uczucia, które wywołały z serca poety smętne treny i skargi żałosne, wydarły z tegoż łąza ogniste gromy gniewu, grozy i klatwy na głowę sprawcy tylu klęsk strasznych, jakie przez lat szereg nie mały gnębiły Argentynę. Wiersz w strofach *Do Rozasa*, również jak poezya pod tytułem: *Dzień 25 maja 1843 roku*, skreślony na pamiątkę rocznicy niepodległości argentyńskiej i promienistymi zgłoskami,



jak rozpaloném żelazem piętnują tę demoniczną postać, ku wiecznej ohydzie przyszłych pokoleń. Wobec tak wielkich krzywd i pohańbienia, tylu potoków krwi i łez wycoczonych z narodu przez drapieżnego nikczemnika, serce przepomina chrześcijańskiego przebaczenia, „o tygrysach niebyło mowy w przykazaniach Synaju... Najlepszy z najlepszych przeklął lucypera, a więc i ciebie Rozasie ludzkość ma prawo przeklinać. Zemsta mojego nigdy nie zakłóciła serca i jako człowiek przebaczam ci moje więzienie i okowy, lecz jako argentyńczyk krzywd mojej ojczyzny nie!”

Jednym z najcelniejszych utworów Marmola jest poemat pod tytułem: *Pieśni pielgrzyma*. Wprawdzie nazwa poematu nie zdaje się tu właściwą, lecz jako obrazy opisowe, jako fragmenta poezji lirycznej, dziwnie piękne zawiera w sobie utwór ten ustępy, „istne wiązanki wonnego a cudnego kwiecia,” jak się o nich wyraża jeden z współziomków autora. Jak wysoko krytyka amerykańska stawia *Pieśni pielgrzyma*, świadczą o tém słowa napisane przez jednego z pierwszorzędných poetów, Jana Guttierrez. Przytaczamy wyjątek z tej oceny:

„Karlos (imię pielgrzyma) jest Haroldem ojczyzny i przyrody. Bohater angielskiego wieszca wśród grobów i wspomnień ponurą myśl oprowadza. Pielgrzym opuszczając wzrok na dół podziwia kwiaty na ziemi; podnosi go na gór szczyty, na zenit i opiewa światło w godzinach jego najpyszniejszych blasków; zwraca oczy na horyzont, przypatrując się zorzy porannej i wieczornym brzaskom, na obłokach znajduje niezliczone motywa do najwspanialszej poezji. Pielgrzym bezustannie czerpie natchnienie z dwu tajemniczych światów, z dwu wiecznie żywych źródeł: z serca i z przyrody.

„Marmol przebaczył swoje *więzienie i okowy* i my też nieledwie przebaczymy tej ręce, która go od domowego oddaliła ogniska, gdzie byłyby mu pozostały obcemi wrażenia tropikalnej strefy i mórz podbiegunowych. Należy bowiem wiedzieć, iż *Pielgrzym* utworzonym został i napisanym na pokładzie okrętu, w ciągu podróży pełnej cierpień i niebezpieczeństw, od Zwrotnika naszej półkuli aż po 65 stopień szerokości południowej, gdzie go zagnały burzliwe wichry, nie pozwalając przepłynąć za południowy cypel Ameryki.

„*Pielgrzym* jest hymnem na cześć przepychów amerykańskiej przyrody, jest wiernym odzwierciedleniem najserdeczniejszych uczuć poety, wygnańca, patrioty, kochanka, rozmyślającego nad sobą samym, lub zatopionego już to w raj, już w piekle tej wielostronnej przyrody naszego ładu. Czytajcie pieśń jego *Do obłoków*, pieśń *Do Zwrotników!*...

„Są tacy, którzy jeszcze zaprzeczają istnieniu rodzinnej amerykańskiej poezji, w końcu jednakże będą umieli uznać naszą samoistość w piśmiennictwie, jak ją już w polityce uznano; tak jedna jak druga, nie są to już kwestye, lecz fakta. Poeta powinien czuć to co opiewa, a czuć całą duszą; poeta powinien malować, a malować z prawdą przyrodę. A jakież to serce, jakie barwy najwierniej oddadzą miarę uczuć

tryskających z amerykańskiego społeczeństwa i wielkie obrazy jego ziemi? Tylko serce miłością Ameryki natchnione, tylko barwy rozlane na równinach, górach, rzekach i morzach amerykańskich. Wszakże my mamy już przeszłość: chlubne boje, narodowe uroczystości, znakomitych mężów, których ze łzami składaliśmy do grobu. Azaliż cudzoziemiec przyjdzie opiewać to co tylko nam tętna serca poruszać może? Tylko amerykański *Pielgrzym* może się tak unieść dumą w swojej pieśni do Ameryki, w pieśni, która poczęści jest prorocstwem, a poczęści rzeczywistością stwierdzającą się codziennie.

„Ameryka jest dziewicą, która światu śpiewa, wróżąc mu błogą swobodę... Spocznij europejski świecie, szlachetny ojciec wieków, które już do kresu dążą; spocznij, a tymczasem ręka matki mojej Ameryki przygarnia twą dziatwę do łona i karmi ją swym chlebem. Dlaczegoż nie? skoro nie wojnę nam niesiesz, przyjdź zbierać u nas bogate plony; na narodzenie się nowych narodów mamy ziemi więcej niż widzisz przestrzeni dla gwiazd na niebiosach. Wsparta na złotych kolumnach Ameryka, to klejnot wszechświata! Przedemną jej góry... u stóp mych jej morze... ja patrzę na nią, pysznię się i łzy mi zpod powiek płyną!...”

„Lecz na tych obszarach amerykańskiego lądu ma *Pielgrzym* swoje rodzinne pobrzeże; tam jego miłość najserdeczniejsza, tam najdroższe wspomnienie! Instykt serca więcej aniżeli busola sternika oznajmia mu iż mimo niego przepływa; wprzód nim ziemię dojrzyć może, już poznał niebo swoich lat dzieciennych.

„Otóż te morza co stopy jej myją, oto te niebiosy co złocą jej skroń! Tam jest Buenos-Ayres, orlica w okowach! co wczoraj tak górnice wznosiła swój lot!

„O, kraju mój! gdzie są wielkie dni twój chwały, szczęśliwe dni, którym błogosławił Bóg? My synowie twoi, wygnańcy, tułacze, gorzką łzą boleści zraszamy nasz chleb!

.....

„Gdy nam cię odjęto, ziemio ojców naszych, szczęśliwy kto może ujrzyć niebo twe!

„Tak, to twoje niebo, twoje to obłoki, świecące od złota i szafiru barw! O matko! jeśliby wiedzy mi zabrakło, jabym po nich poznał, że ty jesteś tam!

.....

„Jak piękne twe morza, jak dumnie wzdynamają barwany, jak dzielnie podnoszą swój głos! O! niech z szumem fali na ten ląd popłynie w żałosnym westchnieniu: bądź zdrów kraju mój!

„A gdy wyganego z ziemi w żywioł obcy czeka grób bez krzyża, nie zroszony łzą, o morze! spiętrz fale i skrzepłe me zwłoki ponieś tam i wyrzuć na rodzinny brzeg!

„Ach! czyliż nie zstąpi sprawiedliwość z nieba, byś mogła, o matko! ujrzyć synów twych? Czy jak dla głów naszych o schronę żebrzemy, przyjdzie nam prosić u obcych o grób?

„Czarnój chmury zbrodni, co mroczy ci czoło, czyż nigdy nie zedrze z niego Boża dłoń? Nigdyż nie zaświeci dobroczynne słońce i tój krwi czerwonej nie wywabi plam?

„Ach tak! mam nadzieję!... Łzy które wylewasz, są jakby jutrzeńki rannój świeże łzy; wszak po nich zieleniej maj kwitnie na błoniu, one nam zwiastują nowy słońca wschód.

„Tymczasem gdziekolwiek jesteście jój syny, w górę nośmy czoło wśród twardych prób; niech dumne w boleści argentyńskie serce nie upada mówiąc: bądź zdrow kraju mój!”

Pomiędzy wspomnieniami *Pielgrzyma* występuje często uroczą postać niewieścia, tkliwa i piękna Marya, którą najczystszym ukochał uczuciem, która „dłoń litościwą wyciągnęła do tułacza i wonny kwiat rzuciła na jego drogę...”

„Bóg w niezgłębionych tajnikach tworzenia ma jedno naczynie na każde dusz dwoje; w chwili narodzin kruszy to naczynie i cieniuchną związkę dwojga dusz rozrywa. Rzucona w labirynt życia i świata, każda z nich wrodzonym wiedziona popędem, po osobnej kroczy drodze i każda za różnym śladem pośród dusz tój szuka, która jednem z nią tchnieniem żywot otrzymała.

„Odnalźć ją niebiańskim szczęściem jest na ziemi, ale najsroźszym duszy udrczeniem błędzić po świecie, patrząc na jedną po drugiej, a w żadnej nigdy tój nie napotkać, która do miary jój uczucia trafia.

„Karlos ją znalazł...”

Najrozmaitszych wrażeń i uczuć ludzkiego serca przebiegłszy całą gamę w swych pieśniach, ostatniej dał poeta tytuł: *Noc ciemna*.

„Gdzie ten bezbożnik co zapiera się Boga, nie pojmując swojej zbrodni że się zapiera sam siebie? Idźcie geniusze nocy i tę ślepa duszę sprowadźcie tu, niech zdrzy!”

„Tu, gdzie świat niknie z przed oczu i w nicość za sobą ludzkość pociąga: gdzie wśród ciemności i bezdennych toni, dusza staje w obliczu wieczności i Boga.

„Tu, gdzie się pycha korzy na kolana wobec wielkości nieśmiertelnej Istoty; gdzie najszczytniejsze widzimy cuda w ogromach jakie ogarnia niebiańska Jój wszechmoc.

„Tutaj, gdzie człowiek nikłym jest proszkiem, niesionym na falach wśród niezmiernych przestworów, czując w strasznej trwodze niezbadane otchłanie i poświst wichru w ciemnościach.

„Tu wreszcie, gdzie człowiek z Bożego rozkazu jak Bóg jest potężnym i jak On Bogiem, i wśród oceanów, w pośród czarnej nocy, idzie urągając lotnym wiatrów prądom.

.....  
 „Panie, ja Cię pojmuję: Ty boskiego Twego ducha w tchnieniu miłości rozlewasz po wszechstworzeniu; czy to jest światło, czy noc, wiatr, morze, rosa, drzewo, czyli człowiek lub drobny robaczek, wszędzie Ty jesteś, o Paniel  
 .....

„Ja Ciebie czuję w mojem sumieniu: dotykam Cię w każdym kwiatku; słyszę Cię, gdy straszna huczy burza; widzę Cię w jasności porannej zorzy i wśród téj czarnej ciemności przed Twojem padam obliczem.

„Niechże więc tu przyjdą gdzie moją nastrajam lutnię, a tu poznają, co to jest co my nazywamy Bogiem, uwielbią Jego uśmiech, zadrżą przed Jego gniewem, ukorzą się i oniemieją.”

Marmol, poeta przedewszystkiem liryczny, probował swego talentu i w innych rodzajach: w dramacie, w romansie historycznym.

Chwalono bardzo dramat jego w pięciu aktach pod tytułem: *Poeta*. Znajdujemy w nim dosyć akcyi dramatycznej, niektóre sceny zajmujące, wiersz bardzo piękny: z tém wszystkiem lepiej się nam podoba w Marmolu poeta liryczny aniżeli dramatyczny. Większą ma mieć wartość inny z jego dramatów p. t.: *Krzyżowiec*.

Napisał także Marmol powieść historyczną *Amalię* <sup>1)</sup>, osnutą na tle dziejów Argentyny pod dyktaturą Rozasa; żywymi barwami odmalował w niej obraz téj smutnej a dziwnej epoki, z tém większą prawdą, iż sam był widzem i aktorem straszego dramatu, jaki się za jego młodości odgrywał na jego rodzinnej ziemi.

Oprócz tego wydawał Marmol pisma treści politycznej, redagował dzienniki. W sprawach publicznych czynny biorąc udział, po upadku Rozasa zasiadał na ławie wybrańców ludu, gdzie się odznaczył jako znakomity mówca.

### Juan Carlos Gomez,

(ur. w roku 1820).

W pięknej krainie Bandy Oryentalnej, w Urugwaju, gdzie na każdej drodze postęp jest tak widocznym, piśmiennictwo także nie pozostało na niższym stopniu, aniżeli w innych dzielnicach hiszpańskiej Ameryki. Zastępneli tam już z pióra niejedni: uczony a satyryczny Figueroa, rzewny Berro, natchniony Magarino Cervantes, Heraclio Fajardo, Hidalgo i inni. Wśród tego zastępu pisarzy, w pierwszym rzędzie przedstawia się Juan Carlos Gomez, urodzony w Montevideo 1820 r., jeden z najznakomitszych w Ameryce prawników i publicystów.

Młodzieńcze lata życia jego przypadły na tę epokę, kiedy wyswobodzone już rzeczypospolite ulegały najgwałtowniejszym i najkrwawszym przewrotom, wywoływanym przez trybunów i demagogów. Każdy umysł wyższy a prawy, tém mocniej uczuwał pragnienie wolności, tém zdrowsze w sobie o niej wyrabiał pojęcia, im więcej widział ją w piekielne wtłoczoną otchłanie przez własne ręce jej rzekomych wielbicieli. Téj przeto sprawie Gomez poświęcił się całą duszą, a bę-

<sup>1)</sup> Powieść historyczna *Amalia*, była przełożoną na język polski.

dąc zmuszonym wcześniej opuścić kraj rodzinny, bezustannie w jej obronie pisał bądź w Rio-Janeiro, bądź w Valparaiso, gdzie przez jakiś czas redagował dziennik *El Mercurio*.

Za powrotem nad brzegi La Platy, przyjął na siebie redakcyą *Trybuny*, z której artykuły jego pióra nabrały rozgłosu aż w Stanach Zjednoczonych, a nawet między europejskimi publicystami.

Obdarzony niepospolitym talentem poetyckim, Gomez lutnię swoją oddał także na usługi ukochanej sobie idei, jak ją czuł i pojmował, widzimy to już w pierwszej części jego pieśni p. t. *Wolność*.

„W gorących godzinach wczesnej młodości, umysł mój z zapałem o wolności śnił; pogrążon w marzeniach czekam tej jutrzeńki, co wieczną jasnością oświeci cały świat.

„Biędne ja dziecię, może nigdy, nigdy dzień tak upragniony nad moją nie zabłyśnie skronią! Może nigdy, nigdy ojczyzna moja nie ujrzy sprawdzonych przyszłości snów!

„Czy namiętności w długoletniej walce piękne jej nadzieje w kwiecie zwarzyły? Czyli Wszechwładny prósb moich nie słyszy lub dla użyźnienia, burzy każe wiać?...

„Śledziłem zawsze zwroty twego błędnego biegu, szukając cię u ludów, o ukochana Wolności! I wieki przebiegając, myśl poety rozdarła ciemną przeszłości noc.

„Ręka Boga samego zaznaczyła cię w prawach nadanych na szczycie wyniosłego Synaju; lecz kiedy w miejsce sędziów lud o królów prosi, szukam Cię już napróżno: ciebie już nie było tam!

„Równiny Maratonu, Platei błonia, widziały cię jasną jak przebiegałaś szeregi: Grecya wśród bojów tak zolbrzymiała, że imienia twojego udźwignąć niema już sił.

„Solon obywateli dał miękkim Atenom; Solon ich nauczał równości dogmatów; a tuż ludy pod jarzmo karki uchyliły, bo Solon zarazem *ludzkości* nie uczył ich.

„Zawiścią się trawia, gromią ostracyzmem; więzienie nagrodą synowi Tymona; ślepy fanatyzm poi cykuta, kościom Focyona mogiły nie chce dać.

„Tam dalej, na cichych Eurotasu brzegach, zwycięzki oręż Sparta na twoim składa ołtarzu: a nędzne Iloty w okowach jęczą, użyźniając jej pola rosą swoich łez.

„Po tej pięknej krainie pamiętkami zasianej, przeleciał krwawy namiętności uragan i na kartach, gdzie zbrodnia zapisuje zwycięstwa, daremno byś wolności szukać chciał.

„Tam, na pustym brzegu szerokiego Tybru, ostrze Brutusowego sztyletu drogę ci otwiera, i zpoza pomroczy rodzicielskiej załoby, w dumnym jego oku błyszczy ogień twój.

„Potężna Rroma w górę wznosząc głowę, wczoraj jeszcze schyloną pod ciężarem korony, niezwyjęzona, orłami swemi świat cały przygniotła i barbarzyńską jej potęgę oplakuje świat.

„I zuchwali Rzymianie wolnymi się mianują, podczas gdy podbijają sobie niewolników, gdy dzielni Grakkowie pod sztyletami patrycyuszów legli, zato, że ciebie wzywali tam!

„Rozsiadła się nad światem, olbrzymie świetna, trofeami zwieńczona, czas ujarzmiła; lecz Roma wielka tylko, póki trwają boje; wolność w Romie nie wycisnęła śladów stopą swą.

„Greków i Rzymian doszły do nas imiona, zwiększone może odległością ich bytu; cienie wieków przystończyły nam ich nicomość; przez dziecięctwa pryzmat przeszła chwała ich.

„O wolności! serce moje napróżno cię wzywa; siłę się znałeś ciebie, oczy moje cię nie widzą!... Lecz nie, widzę, błysnęła radosna twoja jutrzienka pod słomianą strzechą w nędzném Betleem.

„Ztamąd na męczeństwo wyjdzie Tryumfujący, Ten, co krwią Swoją stwierdzi prawo Synaju; poda je człowiekowi mówiąc: *Odtąd*, nie uczynisz tego co nie chcesz aby uczyniono ci.

„Wtenczas się ludzie w braci zamieniają, bo połączeni węzłem świętej wiary! Wtenczas przeznaczenie tajniki swoje objawia i zaczyna się urzeczywistnienie świetnych moich snów!

„Lecz napróżno zabłyśłeś, ślepym był świat stary i nie mógł dojrzyć niebiańskiej twojej piękności! Jeżeli on bezbożnie hołdu uwielbienia ci odmawia, trzeba ci szukać ojczyzny, gdzie się narodzić masz.

• • •  
 O życiu prywatném Gomez'a wiadomo, iż los je przez ciężkie przeprowadzał koleje i w najdroższych uczuciach serce jego boleśnie było dotkniętém, co zresztą łatwo poznać po tonie kilku jego utworów jak: *Cedr i Palma, Łzy poświęcone matce, Na śmierć poety Berro* i t. p. Streszczonym obrazem stanu jego duszy mogą być harmonijne strofki nakreślone w albumie p. t.: *Stojąca woda*.

„W srogim losów niepokoju spoczywać nad brzegiem strumienia, który nie szumi, nie szemrze, nie bieży jak nadzieja umarły — to nie jest żyć.

„To nie jest życiem dla tego co się urodził nad brzegiem burzliwej i gwałtownej La Platy, której wody mkną pędem do walki z falami mórz.

„Być może, iż w zaraniu dni twoich, przezroczym zorzy przystonięta rąbkiem, znajdujesz słodczye życia, gdziekolwiek do marzenia pochyliłz skroń.

„Być może, iż pragniesz, aby zapomniana zdrzemnąć się snem pokoju, bo kiedy zewnątrz cisza panuje, wtedy w twém sercu jest raj.

„I miłą ci będzie drzemiąca woda, która twój zachwyt błogo ukłysz, podczas gdy kreślisz na piasku szczęśliwej miłości znak.

„I lubą ci rozkosz tajemnej ustroni i brzeg cichego jeziora, który swą świeżość i spokój bez miary rozleje na twoje sny.

„Tu więc gdzie wiatr nie jęczy, ni powiew rozkoszny drzew nie kłysz, niechaj ci płyną zaciszne godziny, bez obawy w sercu żyj.

„Jam się w burzy urodził i dlatego lubię huk szumiących fal: ty spoczywaj sama nad brzegiem twego strumienia—ja idę do morskich wód.”

### Bartłomiej Mitre.

(ur. 1821 r.).

Imię to należy zarówno, a może więcej jeszcze, do historii jak do literatury amerykańskiej. Mąż stanu i wojownik, historyk i poeta, Mitre jest jedną z najznakomitszych osobistości Ameryki Południowej. Imię jego wmieszane w wiele z najgłówniejszych wypadków życia politycznego kilku ze stanów łaćnińsko amerykańskich, wypłynęło z nich zawsze bez skazy i zawsze z nowym chwały promieniem. Nieskazitelną prawości w stosunkach prywatnych, Mitre szanowanym jest od przyjaciół, ubóstwianym przez rodzinę. W publicznym życiu najwznieślijszy patryotyzm cechuje wszystkie czyny tego surowego republikanina, który z zapałem i niezmordowanie poświęcał się czci wolności. Ojczyźnie swojej służy piórem i orężem, krwią i duchem, rozumem i natchnieniem, każdą cząstką żywota swojego.

W bardzo młodzieńczych latach rozpoczął tę służbę, której aż dotąd ani na chwilę nie porzucił. W 17 roku życia już ujął w rękę lutnię i oręż, w tymże samym roku został kapitanem, w 23 podpułkownikiem, w 31-ym pułkownikiem, w 39-ym generałem brygady.

Urodził się w Buenos-Ayres dnia 26 czerwca 1821 r.; w tymże mieście odbywał nauki, a później w Montevideo.

Przy obłożeniu Montevideo i przez ciąg wojen od roku 1838, odznaczył się Mitre mężstwem i zdolnością. W Montevideo redagował *Nową Erę* i kilka innych dzienników.

W roku 1846 udał się do Boliwii, gdzie uorganizował szkołę wojskową, założył dziennik *La Epoca* i na niejednym polu wielkie położył zasługi, między innymi jako dowódca artylerji w kilku ważnych potyczkach. W końcu pozyskał sobie powszechnie uznanie, szacunek i przyjaźń ówczesnego prezydenta rzeczypospolitej. Doszedłszy do wysokich zaszczytów i dostojęństw, nie mógł jednakże uniknąć zawiści i prześladowań, nieuchronnych wśród wewnętrznych zawichrzeń nowych republik. Zmuszony wydalic się do Chili, oddał się tam dziennikarstwu. Pod jego redakcją wychodził *El Mercurio de Valparaiso*; a przytém został Mitre współpracownikiem *Postępu* w Santjago. Ująwszy sztandar opozycji, dobitnie i energicznie walczył o reformy śmiałe lecz konieczne.

I tu mu się nie poszczęściło: wygnany, przeszedł do Peru; lecz niebawem znów powrócił do Chili, gdzie był obecnym rewolucji 1851 r.

Nareszcie Argentyna, wyswobodzona zpod jarzma Rozasa, z radością przyjęła w ojczyste progi wyborową swoją dziatwę, tak długo prześladowaną.

Od pamiętnej bitwy pod Monte-Caseros aż do dnia dzisiejszego Mitre ukazuje się ciągle na pierwszym planie politycznej widowni w La Plata, jużto jako deputowany w Izbach, już jako minister wojny w oderwanej prowincyi przemienionej w udzielne państwo: a na każdym stanowisku pozyskał sobie szacunek i uznanie ziomków i cudzoziemców; z każdym dniem imię jego zyskiwało więcej rozgłosu, jego wpływ większej nabierał powagi. Na zgromadzeniach dowiódł niepospolitych talentów oratorskich.

Kiedy z końcem roku 1859 właśnie pomiędzy Buenos-Ayres a konfederacją doprowadziły do zbrojnego z obu stron wystąpienia, na czele wojsk nowego państwa dowodził generał Mitre, mianowany wkrótce generałem brygady.

Bitwa pod Cepeda dnia 23 października zakończyła tę wojnę, a układy utrwaliły pokój. Generał Mitre w tej okazji dał wymowne dowody umiarkowania, okazał się biegłym politykiem i dyplomata.

Wyniesiony na pierwszy urząd w swojej prowincyi, sprawował rządy z zadowoleniem wszystkich stronnictw, nie zbaczając nigdy z legalnej drogi.

Już Mitre i jego przyjaciele zdołali uzyskać pożądaną reformę konstytucyi, już wszystko szło po myśli i generał Urquiza już ustąpił z prezydentury, kiedy nowe niesnaski zamały *umowę familijną*. Nie tu miejsce na opowiadanie i sąd o zaszłych podówczas wypadkach; dosyć jest nadmienić, iż z obu stron ważne popełniono błędy, obu stronom zbywało na duchu pojednawczym. Pomiedzy<sup>o</sup> rządem w Parana a rządem w Buenos-Ayres wymieniono kilka not dyplomatycznych: każda strona protestowała, każda mniemała, iż słuszność jest przy niej. Rozprawy pokazały się bezskuteczne: w obydwu obozach gromadziły się wojska, ogromne czyniono przygotowania. Generał Mitre na czele swoich hufców przekroczył granice prowincyi Buenos-Ayres i spotkał idącego naprzeciwko sobie generała Urquiza z dobrze wyćwiczoną żołąnierzem. Dnia 17 września 1861 roku, w miejscu zwanem Pavon, znów działa zagrzmiały. Zwycięstwo sprzyjało obrońcom Buenos-Ayres, pogromca Rozasa pierzchnął. Mitre pozostawszy panem pobojuwiska, przyłożył rękę do rychłego ukończenia wojny, do utrzymania najściślejszej karności. Nie wdając się w sądy nad słusznością pobudek do wojny, nie wypada wszelako przemilczć, iż prowadzoną była w sposób godziwy i szlachetny, o ile to jest możliwem w wojnach domowych, iż nie popełniono żadnej zbrodni, uszanowano zwyciężonego, opiekę zapewniono wszystkim bez wyjątku.

Po tym tryumfie jednego stronnictwa, rząd ogólny sam ułatwił drogę zwycięzcy i uprościł stan rzeczy, albowiem prezydent p. Derqui zrzekł się swego stanowiska i odjechał do Bandy Oryentalnej; wice-prezydent i ministrowie uznali się niekompetentnymi do rządzenia, a generał Urquiza ustępował ciągle we wszystkim.

Prowincye złożyły tymczasowo ster rządów w ręce generała Mitre, a następnie zwołano kongres, naznaczono wybory i głosowania na



przyszłego prezydenta rzeczypospolitej: wybranym został bohater bitwy pod Pavon.

Od tej chwili życie generała Mitre należy wyłącznie do politycznych dziejów; czyny jego, tudzież ich ocena nie mogłyby się pomieścić w szczyptych ramach pobieżnego życiorysu, mającego głównie na względzie zawód jego literacki.

Na tém polu Mitre dał się najprzód poznać jako znakomity publicysta. Studyując sumiennie wszelkie kwestye odnoszące się do potrzeb krajowych, nie mógł nie zastanowić się głęboko nad jego dziejami. Łatwo się można o tém dowodnie przekonać, czytając skreśloną przez niego *Historią generała Belgrano*, jednego z najznakomitszych mężów, jakimi szczyli się Ameryka. Jeżeli opis dziejów narodu nie jest zupełnym bez życiorysów najwybitniejszych jego postaci, to znów z drugiej strony, dzieło, o którym mowa, nie może się nazwać prosto biografią pojedynczej jednostki: jestto obraz całej epoki. Autor zwraca uwagę na główne peryody kolonialnych rządów; opowiada, jak w strefach La Platy zaczęły kiełkować pierwsze pojęcia wolności, jak się rozwijały i zakorzeniły; kreśli dzieje angielskich najazdów, daje nam poznać stan umysłów w chwili ogłoszenia niepodległości; mistrzowskim pędzlem maluje wizerunki głównych aktorów wielkiej rewolucji wyswobodzenia, takich jak: San Martín, Balcarce, Alvear, Moreno, Rivadavia, Pueyrredon i w i., pojedynczo ustawia obrazy wspańskiego dramatu, uprzytomnia nam wszystkie walne bitwy, stoczone przez zastępy narodowe i wojska Metropolii.

W dziele tém wychodzą na jaw plany organizacyi politycznej i społecznej jakich probowano, idee monarchiczne, rodzące się w umysłach głównych przewodzców rewolucyi, jak Belgrano, Rivadavia, San Martín.

W końcu witamy wraz z dziejopisem jutrzeńkę amerykańskiej niepodległości: już sztandar wolności powiewa nam przed oczyma, lecz równocześnie zarysowują się na widnokręgu złowrogie chmury, zwiastujące owe straszliwe burze, które zwiemy wojną domową.

Kilka z ważnych chwil występuje tu plastycznie, każda osobistość tej pamiętnej epoki odwzorowana bieglým pędzlem, każda bitwa przedziwnie opowiedziana, bez pominięcia krytycznej analizy planów każdego wodza. A jak autor umie rozplómić duszę, sławiąc tryumfy, jak wstrząsa serca, tragiczną grozą malując niepowodzenie amerykańskiego oręża!

I nie jest ta historia tylko malowniczą opowieścią zdarzeń; krytyczny rozbiór przyczyn, które wydały tyle rozlicznych skutków w ciągu tych niepowszednich zapasów, czyni ją jedným pasmem ważnych nauk: jestto kurs logiki, prawodawstwa, strategii, polityki. Głęboki umysł dziejopisa, stworzył prawdziwie historyozoficzne stronnice. Jak w treści tak w formie posiada ta praca najgłówniejsze zalety, jakie powinny znamionować historyka: zwięzłość, malowniczość, bezstronność.

Generał Mitre był założycielem Instytutu historyczno-geograficznego w Buenos-Ayres i w Montewideo.

Przy tak wielkiej, a różnostronnej działalności znajdował Mitre wolne chwile czasu i umysłu do utworów z dziedziny powieściopisarstwa i poezji. Wydał w Valparaiso nowellę p. t.: *Samoislnosć*, o której najznakomitsi krytycy amerykańscy pochlebnie się wyrażają. Z poezji jego znanym jest w Europie jeden tylko tom wydany p. t.: *Rymy*. Przedmowa w formie listu do znakomitego literata Dominika Sarmiento, jest zarazem traktatem o rytmie i rymie, tudzież dzielnie poetyczną obroną poezji. W zbiorze tym zawarte utwory Mitrego są przeważnie z zakresu poezji lirycznej. Talent jego z łatwością nagina się do wyrażenia różnorodnych uczuć, wzniosłych, tkliwych i rzewnych. W każdym utworze forma, język, koloryt, wybornie odpowiadają obranej treści.

Wiersz *Na porażkę pod Quebracho*, jest odezwą do młodzieży, przypominającą czém byli jej ojcowie. Jestto pieśń nowego Tyrteusza, tryskająca ogniem i tą siłą, co to mimowoli wstrząsa, porywa i zapala.

Taką samą cechą napiętnowana poezya *Do słońca, 25 maja 1844 roku*; w niej poeta streścił dzieje bohatérskich czynów narodu, a następnie smutnej jego niewoli pod jarzmem ohydneho tyrana; żywa boleść nad straszną niedolą nie wygasila wiary w ostateczny tryumf prawa i swobody. „Naprózno stary świat przeżyty woła: złoto! złoto jest bożyszczem ziemi! bo wymowne czyny świadczą, iż u ludów męzkiego ducha i dzielnych, bożyszczem jest uczucie święte, wzniosłe...”

Obok tych silnych i męzkich tonów, jakiemi brzmi lutnia patrioty i żołnierza, jakże mile wpada w ucho dźwięczna melodya z ojcowskiego płynąca serca:

### *Do mojej córki Delfiny.*

Białe kwiecie! co zlewasz na dui moje zoicha  
 Drogocenne balsamy z wonnego kielicha;  
 Jutrzenko! co mi siejesz odblaski różowe,  
 Jak słońce ciepły promień na żebraka głowę;  
 Piosenko! której podziwiał tak słodko mnie wzrusza,  
 Że gdy ciebie posłyszę, drga miłością dusza;  
 Łzol ty perło przeczysta, co zronił ją z góry,  
 Nad niedolą człowieka anioł srebrnopióry;  
 Strumyku! co zasilasz kropłą żywej wody,  
 Piers tęsknego wędrowca, ląknącą ochłody;  
 Gołąbko! co w gniazdeczku tulisz senną głowę,  
 Bo nie trwożą cię wichry, ni chmury gradowe;  
 Córko moja! snuj błogo twoje sny przeczyste,  
 Gdy słodko cię oplotły ręce macierzyste!  
 Z téj obfitéj krynicy mątecznego łona,  
 Niech się poi pierś twoja prawdy upragniona;  
 A każda jej kropelka wsączy w umysł młody,  
 Skarby szlachetnych myśli, caót przyszłych zarody.

Długo one spać będą, aż ukryty w chmurze,  
 Grom przemknie błyskawicą po twych snów lazurze!  
 O! wtedy, mój aniele, posiew cnót bogaty,  
 Co kielkuje w twém sercu, wyda pełne kwiaty;  
 I tych kwiatów woń cudna twą duszę ogarnie,  
 Bo skarb złożon w pierś dziecka nie przepada marnie.  
 I zdrowym cię balsamem napoją niebiosa,  
 I skarga twój boleści, jak ożywcza rosa,  
 Rozprysnie się po ziemi w kropelek tysiące,  
 I woń białych gwoździków rozsieję po łące.  
 Bo łąza to kwiat, co rośnie na wianek dla Pana,  
 Gdy z głębi oichéj duszy święcie wyplakana.  
 Lica łąz nie zroszone, to piaszczysta niwa:  
 Bóg rosy jój poskąpił, nie będzie tu zniwa!

. . . . .  
 . . . . .  
 . . . . .

W pieśni *Nad grobem poety* widać nastrój religijny, chrześcijański, głęboko filozoficzny. W podobnym rodzaju wiele utworów znajduje się w tym zbiorze Mitrego poezji.

Spotykamy w nim także i erotyczne urywki, zawsze udatne i tchnące idealnym uczuciem. Utwór p. t.: *Welon*, przypomina pieśni dawnych trubadurów lub wschodniej poezji kwiaty.

(Fragment z tego utworu drukowanym był w *Bibliotece Warszawskiej* z 1870 roku).

Z pomiędzy wielu innych drobniejszych wierszyków różnego rodzaju i nastroju, zwracają uwagę oryginalnością swoją stepowe, że je tak nazwiemy, piosenki, coś nakształt ukraińskich dumek i kozaków. Wieje z nich duch rodzinnej poezji amerykańskich stepów, bije tętno życia tej junaczéj ludności, co króluje na *Pampie* natrzęsając się z wszelkich władz i więzów krepujących cywilizowaną społeczność. Takim jest Mitrego *Partyzant*, może nieco zidealizowany, lecz pełny życia i werwy, dyszy nieukróconą swobodą, a uderza prawdą miejscowego kolorytu. Również piosenka *Do konia*, przedziwnie naśladuje gminne Gauchów śpiewki.

### *Mój koń.*

(Pieśń gaucza).

„Konik mój młody,  
 Z wichrem w zawody,  
 Przescięga loty strzał!  
 Puść mu wędzidła,  
 Orle go skrzydła  
 Stepem poniosą w ował.  
 „W bojową wrzawę,  
 Gdy włócznie krwawo

Olśnię mu nagle wzrok,  
 W ziemię zuchwalęj,  
 Kopytem wali,  
 Postawi dęba w skok.  
 „Niech-no pochwycę,  
 Arkan w prawicę,  
 Nozdrze mu wzdyma wstręt,  
 Płonę mu ślepie,  
 Jak gdy po stepie  
 Lecim za strusiem w pęd.  
 „Siwosz mój drogi,  
 Z iskier ma nogi,  
 Miast oczu gwiazdy dwie;  
 Doń jak do dziewy,  
 Mój czarnobrewy,  
 Serce się żartko rwie.”  
 Gaucz sławi konia,  
 Nagle przez błonia  
 Grzmi dźwięk bojowych trąb,  
 Schwyci się grzywy,  
 Pędzi z nim siwy,  
 Owian w kurzawy kłęb.

Abigail Lozano.

(ur. 1823 r.).

Wśród wstrząśnień zakłócających od lat tylu Amerykę południową i wobec silnego pociągu wszystkich zdolniejszych umysłów do politycznej szermierki, dziwić się przychodzi wszechwładnemu poezji prądowi, torującemu sobie drogę mimo tak wielu wrogich mu warunków. Dla młodzi poświęcającej się umysłowym pracom, stoją tam otworem zawody: lekarski, prawny, teologiczny, lub wojskowy. Ale na polu czyisto literackim można iść tylko przebojem, wbrew tysiącnym zawodom. A jednak nie zbywa na ochotnikach, co się rzucają na te cierniste bezdroża, parci snąć siłą rzeczywistego natchnienia. Do tego zastępu należy Abigail Lozano.

Urodził się około 1823 r., w mieście Walencji, w Rzeczypospolitej Wenezuela. Rodzina jego podupadła na mieniu, nie była w stanie dać mu stosownego wykształcenia. W bardzo młodym wieku mieszkać w Puerto Cabello, choć bez żadnej nauki, dał się poznać światu, gdy na tak rzewną zaśpiewał nutę, iż poruszył wszystkie serca. Jeden z pierwszych jego trenów dostał się do dziennika *El Venezuelo*. Redaktor onego zachwycony pięknnością wiersza, umieścił go w swoim piśmie, bardzo podówczas rozpowszechnionym, a młodego poetę zaprosił na współpracownika do części literackiej. Lozano przyjął wezwanie

i przeniósł się do Caracas. Opuszczając Puerto Cabello, zęgnął je smętna pieśnią:

Z sercem ściśniętém i z niememi usty,  
Twe malownicze opuszczam wybrzeże;  
Dźwięk tylko pieśni jałowy i pusty,  
Zebrak-trubadur rzucam ci w ofierze.

Gdy poraz pierwszy załkałem żałośnie,  
Inny mi powiew lzy osuszył z oka;  
Tum przybył dzieckiem i czułem jak rośnie,  
Ze mną tęsknota w méj duszy głęboka.

Próżnom ją śpiewał, gdy uśmiech goryczy,  
Niekiedy drżące wykrzywił mi wargi;  
Ach! tyś nie odczuł rany tajemniczój,  
Wolny od bólu, tyś nie pojął skargi!

Kiedym wysnuwał żal z duszy méj głębi,  
Tyś twe okręty popychał na morza,  
I pieśni marły, jak stada gołębi,  
Pędzone wichrem na spiekle przestworza!

. . . . .

Niebawem różnica w poglądach politycznych pomiędzy poetą a redaktorem, rozprzegła ich związek. Lozano usunął się od współpracownictwa, a połączywszy się z gronem młodzieży, zaczął na swoją rękę wydawać literackie czasopismo.

Około tegoż czasu puścił w świat pierwszy tom swoich poezyi p. t.: *Smutki duszy*. Książka ta sławę swojego autora poniosła aż za morza. W Madrycie wyszła w r. 1847 *Wiązanka wyborowych poezyi hiszpańskich*, a w liczbie ich pomieszczono *Pieśni do Bolíwara*, utwór Abigaila Lozano, któremu krytyka nieszczędziła wielkich a zasłużonych pochwał.

Ukazał się wkrótce i drugi tom pod tytułem: *Godziny cierpienia*. Przyznając mnóstwo wysokich zalet tym poezjom, zarzucano im tylko smętny nastrój treści, ton wiecznie płaczący. Wolnoż z tego robić zarzut poecie? zapewne, jeżeli sztucznym żalem sili się bajronowską przedrzeźniać szkołę. Lecz czy kto może śmiać się, gdy go naprawdę serce boli, gdy mu się na płacz zbiera? Poeta sam odpowiada w utworze noszącym tytuł: *Nie dla mnie nadzieja!* „Gdym na ten świat przyszedł, już zastałem kolebkę moją łzami zroszoną... Teraz mi mówią: „śmiej się, piewco, nudzisz swoim płaczem,” usłucham, lecz jeśli wam to nieміkłe iż moja lutnia skargi rozwodzi, dajcież mi błysk nadziei, lub serce coby nie wzdychało... Ach! oni może nie wiedzą, iż bywają w duszy boleści zasiane w najpierwszém lat zaraniu, jak żałośnie cyprysy...” Lozano nie nastraja z umysłu pieśni swéj na ton żałosny, a co się wylewa z duszy boleścią przepełnionej, co szczerém tchnie uczuciem, to rzewnej poezyi nie przeszkadza piękną być i wzniosłą.

Pobyt jego w Caracas nie potrwał długo. Wielka a nieszczęśliwa miłość, którą opisał w namiętnych strofach *Nereida z Anauco*, wy-

gnała go daleko od miejsca, gdzie tak zajaśniał talentem i tyle odbierała oklasków. Ile w miłosnych jego poezjach jest wdzięku i słodyczy, tyleż w następnych, gdy i te przysły nadzieje, gorzkiego widać rozczarowania.

Osiadłszy w San-Felipe, po niejakiem czasie Lozano ożenił się. Nowa ta w życiu zmiana, nie ostudziła w nim gorącego do poezji zamiłowania. Trzeci tom jego utworów większe jeszcze miał powodzenie aniżeli dwa poprzednie. Już i w tamtych spotykamy tu i owdzie dramatyczne obrazy, świadczące o bogatej wyobraźni poety. W następnych pieśniach jawniejsze jeszcze złożył dowody, iż na niejedną umie śpiewać nutę. Jeżeli często wątpienie przemożło i odbiło się w ciężkiem westchnieniu, to ileż znów razy natchnienie mu spływa w błogiem ukojeniu na widok uroczych przyrody cudów. Jakiż zachwył a przytęm jaki spokój wieje z jego poezji *Kwiat majowy*, albo *Wspomnienie Puerto-Cabello*, lub nawet z krótkiego wierszyka do *Nocy*:

Anioł pokoju wieczorem na łące  
Już pocałunkiem ukolysał kwiaty,  
Ostatnie z lasu dźwięki słodko brzmiące  
Rój trubadurów zasał mu skrzydlaty.

Ucieka światło, chmara sylfid cicha  
Lekko powietrzne przebiega obszary;  
Na świat uśpiony z czarnego kielicha  
Odurzające rozlewa nektary.

Ucieka światło, anioł nocy kroczy  
Po białym rąbku, leciuchno ku górze;  
Rozbija namiot w eteru przezroczy,  
Utkan gwiazdami na ciemnym lazurze.

Aniele nocy! kiedy skrzydła twoje  
Otułą ziemię, niby całun czarny,  
Ptastwo i drzewa, potoki i zdroje:  
Z pogwizdem wichrów szła ci hymn ofiarny.

A wszystkie te czary i głosy przyrody, jak mu wymownie szepczą o Stwórcy, a wrażenie to w jak szczytne słowa uniały przelać poeta w wspaniałym hymnie *Do Boga!*

Wielkie czyny, wielkie postacie natchnęły także nieraz jego muzę i wywołały znakomite utwory, jak *Oda do Bolívara*, *do generała Paetz* i do wielu innych bohaterów Ameryki. W rzędzie tego rodzaju utworów spotykamy także wiersz do Napoleona <sup>1)</sup>.

Nad wszystkie zaś najszczytniejszym a mężkim tonem zabrzmiała pieśń *Do wolności*.

Obok osobistych cierpień, smutna nieraz dola rodzinnego kraju nie mało wpłynęła na posępny nastrój jego poezji. Lozano trzymał się zawsze zdala od polityki; wstrętnie mu były owe ustawiczne szamo-

<sup>1)</sup> Drukowany w *Bibliotece Warszawskiej* w roku 1870.

tania się, najczęściej bezowocne a zawsze męczące. Lecz przyszedł czas, kiedy oburzony uciskiem i gwałtami niecną szajki, która pod hasłem rodziny Monagas, przez lat kilka tyranizowała Wenezuelę, śmiało wstąpił w otwarte szranki po stronie tych, którzy przeciw ciemnościom powstałi w r. 1854. Przez lat kilka różnie ważyły się losy. Lozano poznał prześladowanie, więzienie; aż dopiero w r. 1858, gdy sprawiedliwość odniosła górę, otrzymał zaraz przyzwoity urząd, później zasiadł w izbie deputowanych.

Około roku 1861 został mianowany konsulem peruwiańskim. Ta posada, na której sobie zjednał życzliwość ogólną, pozwalała mu zajmować się pomnażaniem i ogładzaniem swoich lirycznych utworów, przygotować nowe ich wydanie.

Jeżeli wyobraźnią jego tak silnie czarowały wdzięki amerykańskiej przyrody, jeśli miłość ku rodzinnej ziemi tak żywo poruszała tętna jego serca, iż każde z tych uczuć stało się obfitym źródłem natchnień do tylu poetyckich utworów; to widzimy oba te uczucia w całej pełni zespolone w kreacyi mistrzowskim nakreślonej językiem, w pieśni pod tytułem:

### Ameryka <sup>1)</sup>.

Zwieńczona w miękkie powoju warkocze,

Gór szerokimi objęta ramiony,

W słodkiej rozkoszy pędzi dni uroczę

Ziemia przesłiczna, raj wiecznie zielony.

Ludzi ją kilku Ameryką zwało,

Jéj dziatwa imię przyjęła to z laty;

Nad nią siedzibę usłały wspaniałą:

Sylfida, wróżka i seraf skrzydlaty.

Z lasów stuletnich powiew tajemniczy

Wonie na skrzydłach przynosi jéj latem;

Wokoło cichéj kolébki dziewiczej,

Bucha jaśminu wonnym aromatem.

Wzniosłe jéj czoło dyademem wieńczą

Wysmukłe palmy z rozwianemi włosy;

Córy pustyni, co dobę młodzieńczą

Na spieklych piaskach przeżyły bez rosy.

Po skał jéj złomach w blasku pełnym pychy

Perłami tkane kaskady się toczą;

A ich podnóża wonnemi kielichy

Barwiste kwiatki oplotły uroczę.

Stare jéj dęby co wieki przetrwały

Z czołem ku niebu sterczącém ponuro;

Obsiadły rojem ptaki—kardynały

Świetnie tyryjską przybranc purpurą.

<sup>1)</sup> Przekład p. S. D.

Bogowie morza bezdennych odmětów  
 Zdobią ją w muszle, w konchy i korale;  
 Jasnemi wstęgi z perel, z dyamentów  
 Brzeg jęj piaszczysty oploty wspaniale.

I któż określi te rąbki błyszczące  
 Którymi kibic czarodziejka słońi?  
 Niewinna, strojna w uroków tysiące  
 Piękna, niebiańska ziemia snów i woni!

Po jęj łagodnym przebiega lazurze  
 Złoty rój chmurek purpurą strzępiony;  
 Noc jęj, to namiot rozpostarty w górze,  
 W gwiazd promienistych utkan miliony.

Oko jęj dziewic żarem słońca błyska,  
 W szalę wprawia zmysły i nęci tak mile;  
 Rzekłbyś, zbłąkane z eteru zjawiska,  
 Stopkami ziemi dotknęły na chwilę.

Ich śniade lica, ich krucze uploty,  
 Łono tajemną drgające rozkoszą;  
 Serce twe szarpią płomiennemi grotty,  
 W świat istnych czarów twoję myśl unoszą.

O! niech twe lasy wdzieją strój godowy,  
 Z skał niech się toczą kaskady przezrocze;  
 Niech wonny powiew twojęj sennęj głowy  
 Palm twych zielone kołysze warkocze!

Niech noc gwiazdzista rozleje swe czary  
 Na twe powieki, gdy w słodkiem śnie toną;  
 Niech żartkie słońce promiennemi żary,  
 Do czynu krępkie rozbudzi twe łono!

Na twoich kwiatów uwiedle kielichy,  
 Błada jutrzienka niech roni lzy czyste;  
 Niechaj rozwiesza ze mgły welon cichy  
 Na twoje łąki, na pola kłosiste!

Niech ci, hurysko, szumią lasy twoje,  
 Niech cię piosenką zbudzą ptacy leśni;  
 Niechaj ci gwarzą wód krynicznych zdroje:  
 Ocknij się ze snu w miłości i pieśni!

Niech na twe łono Bóg zlewa potokiem:  
 Mądrość i spokój, pomyślność i onotę;  
 Gwiazda nadziei skryta chmur pomrokiem,  
 Niech na twą przyszłość sieje blaski złote!

Niech geniusz wieków po dniach klęsk i burzy,  
 Skrzydła nad tobą roztoczy wspaniale;  
 W natchnieniu wieszozem niech on ci wywróży  
 Wieszczą szczęśliwość, nieśmiertelną chwałę!



## Józef Antonio Calcaño.

(ur. 1827 r.).

Młodziuchnego poetę z Nowej Grenady, którego imię wszystkie w Ameryce powtarzały dzienniki, prosiła kubańska Safo, urocza i śpiewna *Tula*, o jaki utwór do czasopisma wydawanego przez siebie w towarzystwie kilku kobiet piszących. W odpowiedzi na to wezwanie, Donia Avellaneda otrzymała wiersz pod tytułem: *Czarodziejka i geniusz lasów*. Widzimy tam śpiewaka, żeglującego po morzach, gdy nagle zjawia się przed nim piękna czarodziejka; zawiązuje się pomiędzy niemi rozmowa:

„Amerykański wioślarzu—mówiła mi—przytwierdź łódź wędrowną, nie bój się, jesteś mi bratem. Gwiazda moja, widziałam, na twojem zrodziła się niebie. Ja jestem Antyl dziecic: do palm krainy przybiłam z łódką moją.”

„Dusz kusicielko, zwodzisz mię—odpowiedziałem.—Zastawiasz siłą na ufność moją. Ale ja wiem dobrze, jaka twa potęga: ty czarujesz! Puść mię, pozwól mi uciekać! Ani łódki niemasz, ani ojczyzny niemiałaś: przychodzisz z nieba, tam się zrodziłaś; jak z niego zstępowałaś promienista, widziałem cię. Do wiosła! ach, łodzi moja, szybko odbijajmy od brzegu! Uchodźmy!”

Próżne usiłowanie! Więzniem zostałem!

„Więzniu!—mówiła śmiejąc się z méj troski—darennie uciekać, widziałeś sam. Słyszę, iż na dźwięcznej fletni grać umiesz. Zaśpiewaj, ja cię posłucham.”

„Czarodziejko!—rzekłem—dziwne dla ciebie będą melodye geniusza gór. Pieśni mych tylko góry słuchają; są one smętne, lecz będę śpiewał.”

Aż oto widzę z różanych krzewów, w lekkich płasach, w białych welonach, przeslicznych wrózek uroczy tłum. Śpiew ich wdzięczny wiatr roznosi; chcę do ich chóru wmieszać moją pieśń: o głos zefiru proszę... on dla mnie głuchy! o poszmer rzekę, ptaszęta o nutę, o szum cieniste gaje... ale wszystko napróżno!

Pleciony w perły z morskimi konchami koszyk podniosła. I widziałem jak jej wrózki najcudniejszemi, najcenniejszemi kwiaty hojnie go napełniły.

I znów mi czarodziejka mówi: „Kwiatów mi daj z doliny twojej.”

„Chciałbym ci oddać wszystkie—rzekłem—lecz czyliż znajdę takie jak twoje? Piękna syreno, z tego koszyka kwiatów pełnego, żaden choć najcudniejszy nie jaśnieje godnie ciebie!

„Ale mam kwiat jeden, wspomnienie miłości tęsknej duszy przechowuje on dzieje i chowam go dlatego że smętny.

„Prosisz mię o kwiaty? weź ten, zachowaj. Słyszałem że go zwą: *Nie zapominaj o mnie!*”

Tym leśnym geniuszem był Józef Antoni Calcaño, urodzony w roku 1827 w Nowej Grenadzie, a wychowany w Caracas, stolicy Wenezueli. W tamecznych zakładach naukowych skończył kursa literacko-filozoficzne, a następnie wstąpił do wyższej szkoły wojskowej. Lecz niezwalczona siła parła go na inną drogę. Muza poezyi wabiła go swemi uśmiechy, cudnemi obrazy sny jego barwiła, niebiańskie zsyłała mu widzenia. Nie myślał walczyć z tą pokusą młodzian, gdyż w ósmym roku życia już się rozśpiewał istnie jak leśne ptaszę i zaraz mnogie jego piosenki ukazały się we wszystkich największej wziętości używających czasopismach Wenezueli: pochwytyły je w lot przeglądy i inne pisma zagraniczne i imię wdzięcznego liryka szeroko rozślawiły. Jeden z najznakomitszych amerykańskich krytyków tak się o nim wyraża: „Młody Calcaño jest poetą uczuciem, myślą i słowem. Dusza jego uposażona niewyczerpanemi skarby czucia i miłości. Jego słowo jest wiernym tłumaczem wszelkich uczuć: od głosu serca rozradowanego, aż do bolesnego wykrzyku zranionój duszy. Język ma poprawny, wiersz pełny harmonii, w której nie razi ani jedna fałszywa nuta. Natchnienie i sztuka służą mu zarówno. Pieśni jego są zwierciadłem wszystkich barw amerykańskiej ziemi, przesiąknięte wonią pysznego naszego ogrodu. Znany mu ów tajemniczy a nieokreślony język przyrody. Obdarzony umysłem kontemplacyjnym, duszą wzniosłą, sercem tkliwem, lubuje się we wszelkich dźwiękach doliny, morza, lasów. W wierszach jego słyszy się plusk wody i szum wiatru. Wielostrunna ta arfa odtwarza zarówno wściekłe uderzenie fali, rozbijającej się o twarde skały, jak miękki szmer pocałunków, któremi zefir pieści lilie polne. I tak, np. *Pieśń żeglarska* jest pełna siły i ognia, śmiałości w obrazowaniu, uroku w opisach, głębokich myśli, jakie kontemplacja morskich obszarów budzi w poezie. Też same cechy znamionują wiersz pod tytułem: *Bursa*. A znów takie piosenki jak: *Dziecinne kochanie*, *Idę płakać nad rzekę*, *Gwiazda wieczorna* i mnóstwo innych tego rodzaju odznaczają się prostotą, wdziękiem, rzewnością. W poezyi szerszych rozmiarów *Nad brzegami Tamairy*, spotykamy nader piękne obrazy przyrody, owiane tęsknotą za latami pierwszej młodości, nie posępną wszakże a ujmującą. Obok dzielnej ody p. t.: *Orły*, jakże różnym odznacza się nastrojeniem oda *Do mojej duszy!* Z tego ostatniego rodzaju filozoficznych jego poezyi nie do najcenniejszych, lecz do najkrótszych należy wierszyk: *Ciało i dusza*.

„Tak ci źle ze mną, o! duszo moja, już mnie na wieki porzucić chcesz?”

„Osłabłeś, biędny mój przyjacielu, dla ciebie spocząć przyszedł już czas.”

„Ach! od kolébki jam cierpiał tyle, tak mię okrutnie nękał zły los!”

„To téż od twego na ten świat przyjścia towarzyszyły ci moje łzy.”

„Czułem ja zawsze jak w mojem łonie, do nieba za mną wznosiłaś głos; lecz dziś ty cała szczęściem jaśniejesz, kiedy ja nędzny ze strachu drzę!”

„Bo mnie znów świeci jasność niebieska, anielskie skrzydła do lotu rwą!”

„A na mnie czeka ziemia zgłodniała! już pała żądzą pożarcia mnie!”

„Nigdyś innego niemiał przybytku; ukój więc bracie zmartwie-nie twe.”

„Przec mi nie dałaś nic z twego światła? Przecz o twém niebie mówiłaś mi?”

„Nam przeznaczono błąkać się razem, do końca nie rozumiejąc się: jak kwiat na swojej buja łodydze, jak płynie gwiazda przez górny szlak.”

„Więc byt nasz życiem kwiatu i gwiazdy; lecz dziś, gdy tracą zapach i blask, tyś jest płomieniem, ty jesteś wonią, jam ciemna kula, jam zeschły kwiat!...”

„Niech dobroczynna twa matka ziemia pokój twój skroni, oczom da sen!”

„Nie! ona dzieci własne pożera! któż mię z jój objęć uwolni, kto?”

„A jeśli ona łono rozdiera, bo na niej cięży spłata ich win? A oni ślepi swoim oporem, chcą odkupienia opóźnić dzień!”

„Cóż mi objawiasz?... o biedna matko!... Więc wstaw się za nią do Boga, idź! Weź mię mogiło!”

„Zaufaj Ojcu!”

„Duszo, umieram!”

„Ja żegnam cię!”

## Stanisław Murzynowski.

### WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

O Murzynowskim, jako pisarzu z epoki Zygmunto-wskiej, pobieżne tylko znajdujemy wiadomości. Wiszniewski w *Historji literatury*, mówiąc o *Biblii Radziwiłłowskiej*, dodaje w przypisku, że po wydaniu téj *Biblii* i *Nowego Testamentu* z niéj wyjętego, miało wyjść w Królewcu nowe tłumaczenie *Nowego Testamentu* przez Stanisława Murzynowskiego, o którym Budny wspomina pod r. 1574, a którego jednak nigdy nie widział <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Tom VI, str. 580, przypisek.

Estreicher zaś w *Bibliografii Polskiej XV i XVI stulecia*, wspomina o Murzynowskim, jako autorze dzieła: *De justificatione et justitia fidei Regiomonti*, Weinreich 1552 in 8 vo <sup>1)</sup>).

Mając obecnie pod ręką książkę w języku polskim z połowy XVI wieku, której autorem jest Stanisław Murzynowski, a o której żadna z licznych *Historji literatury*, ani nawet *Bibliografja Estreichera* nie wspomina, uważamy, że zrobimy przyjemność naszym bibliofilom, dając szczegółowy opis tego dzieła, a autorowi naznaczymy właściwe stanowisko, jakie na kartach literatury naszej z epoki Zygmunto-wskiej dla czystości i piękności języka zająć powinien.

Książka ta nosi tytuł: *Historia żalosu i strasliwa o Franciszku Spierze, który się dla bojaźni ludzkiej, prawdy pańskiej zaprzął i dla tegoż iest na strach swiatu niesłychanym obyczaiem skaran.*

Poniżej tytułu są dwa epigrafy:

Psalm XLIX.

„Intelligite haec, qui obliviscimini Deum ne quando rapiat, et non sit, qui eripiat.”

Mat. X.

„Ktoby się mnie zaprzął przed ludźmi, zaprę się go i ia przed oicem moiem który jest w niebiesiech.”

Książka ta in 8-vo min. drukowana charakterem gockim do mowy polskiej zastosowanym, obejmuje kart nieliczbowanych 80. U spodu tylko znaczone są arkusze literami, na przedostatniej karcie jest litera U<sub>111</sub>, a na téjże *verso*:

„Drukowano w Królewcu przez Alexandra z Litomyśla, nakładem Jana Seclucyana, tudzież przed poczęciem roku 1551 <sup>2)</sup>.”

Z przedmowy dowiadujemy się, że autorem czy téż tłómaczem tego dzieła jest Stanisław Murzynowski z Suszyc.

Ponieważ w swoim czasie była to książka wysoko tendencyjna, nim więc przystąpimy do wykazania jój zalet językowych, wypada nam przedewszystkiēm potrącić o historjā.

Książę Albert pruski, gorliwy protektor rozwijającego się w tym czasie protestantyzmu, zamierzył wydać *Biblię* w polskim języku i nie robił tego, o ile nam się zdaje, z rozmitowania się w polskiej mowie, ale wprost z widoków politycznych, aby znaczną część swoich poddanych polskiego pochodzenia, tak zwanych Mazurów, odciągnąć naprzód od jedności religijnej kościoła katolickiego, a następnie i od całości plemienia polskiego. Polecił więc Sabinusowi, rektorowi uniwersytetu

<sup>1)</sup> Estreicher p. 171.

<sup>2)</sup> Aleksander z Augorda pospolicie Böh̄m, t. j. Czech zwany, rodem z Czech, wydał Seclucyana *Nowy Testament* 1551, tudzież 1552 r. część II-gą; z Królewca przeniósł się do Szamotuł i do Leszna, jak Arnold zapewnia, był rodem z Lutomyśla w Czechach (J. B. Bandtkie: *Historja drukarń w Królest. Polskiem etc.*).

Królowieckiego, ażeby pisał do Melanchtona (1545 r.), aby mu przysłał teologa umiającego po polsku, do wydania *Biblii* w tym języku. Melanchton przysłał Staphilusa, który gdy nie mógł, czy też nie umiał dogodzić chęciom księcia pruskiego, pracę tę powierzono Seklucyanowi <sup>1)</sup>.

Jan Seklucyan, poufały przyjaciel Lutra, pierwszy krzewiciel wyznania luterskiego w Wielkiej Polsce, rodem z Bydgoszczy, był kaznodzieją przy kościele P. Maryi w Poznaniu; uczyniwszy wyznanie wiary, na rozkaz Zygmunta I oddalony został od tego kościoła w r. 1525. Gdy jednak nie przestał krzewić swojej nauki, a po wydaniu książki: *Wyznanie wiary chrześcijańskiej*, gdy zdań swoich odwołać i podanego pisma podpisać nie chciał, oddalono go z urzędu, obwołano za heretyka i na dożywotnie więzienie skazano. Tymczasem Albert, książę pruski, zabrał go prawie gwałtem do Królewca w roku 1540, a w następnym został on kaznodzieją przy *Tumie* i przy kościele farnym w Królewcu.

Seklucyan zajmował się w Królewcu rozpowszechnieniem w języku polskim *Pisma Świętego* i innych pism w duchu nowej nauki pisanych, miał nawet upoważnienie senatu akademickiego do sprzedawania tych książek w kolegium. To przedsięwzięcie z początku szło dobrze, ale później znacznie osłabło, jak to widzieć możemy ze słów samego Seklucyana w prośbie do rajców miasta Królewca w r. 1563 zamieszczonych.

„Już przeszło od lat dwudziestu w tych trzech miastach ciężkie i zmudne odbywam prace, nietylko kaząc, lecz po wszystkich trzech miastach, przedmieściach i wioskach J. O. Xięcia biegając, wszystkie pieniądze którem z Polski był przywiózł, w części na życie, w części na druk książek nabożnych, gdym był w urzędzie, wydałem—książek któremi się cała Polska, Ruś, Mazowsze i Litwa budowała. Bo jać to pierwszy, będąc na tym urzędzie, nabożne książki na język polski przetłumaczyłem, niektóre sam napisałem i wydałem i cały *Nowy Testament* na język polski przełożyłem i własnym kosztem wydałem. Z tych polskich książek jakiegokolwiek miałem utrzymanie; ale teraz nietylko moje książki, ale i cała nauka saksońskich kościołów, wyrzucona jest przez sakramentarzy w Polszcze, na Litwie, na Rusi, w Mazowszu i Podolu, a wszystkie kąty zapełnione są ich książkami; a ja nie wiem z czego żyć będę w mojej starości z drobnymi działkami.”

Seklucyan dożył zmian religijnych przez Stankara i Braci Czeskich sprawionych, umarł w Królewcu 1578 r., mając lat około 80.

Nadmieniliśmy o działalności religijnej Seklucyana dlatego, że on łożył nakład na wydanie książki, której tytuł wyżej podaliśmy. A wiadać, że do rozpowszechnienia tego dziełka przywiązywał niemałe znaczenie, albowiem na odwrotnej stronnicy tytułu zamieścił swój wiersz z nadpisem: *Napominanie*, polecający tę książkę swoim współwyznaw-

<sup>1)</sup> *Hist. Lit. Polskiej* Wiszniewskiego.

com. Nie zamieszczamy tego wiersza, bo ani formą, ani treścią, a bliższą uwagę nie zasługuje.

Ważniejszą jest przedmowa do czytelnika przez Murzynowskiego napisana, którą z zachowaniem pisowni w całości podajemy.

### *Ku Czytelnikowi.*

„Rozumiem temu namileiszy Czytelniku, że mi to nie ieden za osobliwe głupstwo śmieie poczyta, iż z wiela uczonych Polakow, rzadko ktory co pisze ku czytaniu pospolitemu, a ia będąc człowiekiem i nauki i rozumu niewielkiego, nie tilko się ważyć pisać, ale tesz to cobyh napisał, dopuszczam za podpisaniem imienia moiego drukować, a czynię to nie Łacinskim językiem, s którego dziś pospolicie naukę sądzą, ale polskiem; ktory isz nam iest iakoby przyrodzony, wiela ich mniema, żeby im, niemogła być żadna rzecz pożyteczna a poważna wypisana, abo iesliby mogła tedy by to krom wszelakiei trudnosci każdemu ktoby chciał przyszło,—I stąże niektorzy, za lekkie sobie ludzie ważą, ty ktory co popolsku piszą, zwłaszcza iesli swe imiona podpisują.

„Leć to wszystko mnie nie nieobychodzi, Bo iesli inszy milczą, ia nie wiem dla czego to czynią, abo iesli w tym przed panem Bogiem wymowieni będą, To wiem, że się godzi sczygłowi spiewać, nie tilko kiedy słowik milczy, ale tesz kiedy spiewa. Drugą tesz wiem, że moie pisanie dalibóg może być komu pożyteczne, nikomu (ile z niego iest) szkodliwe. Przytym nie wstydzę się dlatego za nie, isz to jest Polskie a nie łacińskie, Bo iako żydzi, Grekowie, Łacinnicy i insze narody, swemi języki czystych a poważnych i zbawiennych rzeczy, dosyć popisali, ktorym się dziś' wszyscy dziwuujemy, tak nie wiem przecz bychmy tegosz i my Polacy językiem naszym dokazać nie mogli, gdybyśmy braciei naszeji ktory obcych językow nieumieją, ku zbawieniu, cnocie, rozumowi, sławie i pożytkowi serdecznie pomoc chcieli, iakośmy wszyscy winni, chcemyli być niefałszywemi chrześcijany.

„Jesli się tesz komu widzi, że nauka i praca tego ktory pisze, z języka się polskiego okazać nie może: To niech tak będzie chceli, Ja acz niewiem iesli połączynie, iesli popolsku gorzyi pişę, iednak dla bliżnego ktoregom miłować winien. popolsku wolę, a na iego pożytku przedstawiając: od pana Boga odpłaty czekam.

„Tak że imienia moiego podpisowaniem, tego samego na więcyi pragnę, aby inszy, tym rychlei prawdziwie wierzyli, gdy się podpisac, iei powiedacz niewstydzi. A krotko mowiać, gdy co czynię, więcyi się na pana Boga oglądami niszli na ludzie.

„Ktorego tci świętyi abychmy się wszyscy więcyi nisz tego misernego swiata rozmiłowali i z okrutnych się złości naszych upamiętać mogli, zebrałem na polski język tę żalosną Historią z łacińskiego pisma wiela uczonych ludzi, widząc że prawie tak iako inszy pogani o pana Boga nie dbamy i nisz iego boski gniew wzgardziwszy, iako nie ludzie, żywiemy, wszystko sobie na ziemi więcyi ważąc, nisz chwałę tego

ktory nas był sobie ku tci stworzył, i teras ieszcze chowa, owabysmy to dobrodzieistwo jego uznać chcieli, a tak wciekwszy się do miłosierdzia jego zbawieni byli.

„Ku czemu, aby nas czytanie tyi to Historjiei ktora się dopiero tak dwie lecie s stała przywiodło, racz nas w tym wysłuchać stworzycielu nasz miły, Mnie co się dotycze, przyjąłbych to wielmi rad za miłą a wdzięczną zapłatę by największyi pracy moieci, nie tilko tyi dosyć rownyi.

„Ktora tesz iesli komu iaki pożytek przyniesie, niedbam za to choc mi nigd dziękować nie będzie, byle dziękował, naprzod panu Bogu, Potym niektorem osobliwym dobrodzieium moiem, Jako Jego M. Książęciu Pruskiemu, Ich M: panum wojewodom Innowłodzławskiemu, i Płockiemu, i Castellanum Brześćkiemu i Dobrzynskiemu, którzy mi po Oicu i niektorych przyjaciółach moich, ku naukam moim pomoc raczyli. Na ostatek godzien jest nieposledniei dzięki i ten który tę Historią swym nakładem drukować dał, na imie K. Jan Seclucjan, ktory dla pożytku inszych nietilko sam rzeczy ku zbawieniu pożyteczne pisze, ale tesz i na to nałożyć s swą wielką szkodą nielituie, gdy kto inszy co pożytecznego napisze.

„A za ty swoje posługi i utraty, nie widzę któraby po nas polakach wdzięczność uznawał, bo iedni nie mamy co dać, drudzy dostateczni, na prozne chleby i niepotrzebne rzeczy wolą utracać, nisz tego ktory się o nasze zbawienie stara i wzdłuża namnieiszą rzeczą zapomoc.

„A to wszystko stąť pochodzi, że o przyszłym żywocie niemyslemy i zda się nam więtsza szkoda kiedy trzy grosze utraciem, nisz kiedy zbawiennyi drogi niewiedząc i pana Boga nieznaiąc do piekła z inszemi iść musiem, cosmy mogli za równą rzecz z miłości ku panu bogu w wierze prawyi uczynioną, wiecznyi radości używać. Ktoryi ia tobie wiernie sprzam czytelniku miły, A stem nielitui ostateka posłuchać.”

„Stanisław Murzynowski s Suszyc.”

Murzynowski pisał się z Suszyc <sup>1)</sup>, miejscowości położonéj w Ziemi dobrzyńskiej i należał do starożytnego rodu Ogończyków, szeroko w téjże ziemi osiadłego, z którego wyszli Kościeleccy, a od majątności w Ziemi dobrzyńskiej położonych, jak: Radziki, Działyń, Murzynowo, Czarne, Żale, Zbojno, rodzina ta przybrała nazwiska Radzikowskich, Działyńskich, Murzynowskich, Czerskich, Żelskich i Zboińskich. Paprocki i Niesiecki mówiąc o Murzynowskich powiada, że jestto dom starodawny jednéj z Działyńskimi dzielnice. O Stanisławie bliższych niemamy szczegółów, z przedmowy którąśmy zamieścili dowiadujemy się,

<sup>1)</sup> W *Dyplomatarjusz*u Ryszczewskiego w t. II, na str. 232, w Dyplomacio nr. 240 z r. 1321, opisującym granice dyecezyi kujawskiej i płockiej, wymioniona jest wieś Suszyc, dziś do parafii Szpethala należąca; w Dyplomacio zaś nr. 391 z r. 1441 w tymże tomie na str. 489 powiedziano jest, że Michał Grabya, dziedzic Suszyc, Kępę na Wiśle oddał biskupowi i kapitule włocławskiej, za las zwany Ciesłino.

że miał możnych protektorów, którzy przyczynili się do jego wykształcenia. Ukształcenia swojego dowody pozostawił w pismach polskich i łacińskich, drukiem ogłoszonych. Budny w przedmowie do *Nowego Testamentu* w r. 1574 wydanego, wysoko ceni tłumaczenie królewieckie tegoż *Testamentu* przez Murzynowskiego, dodając, że byłto młodzieniec nieladajako w języku greckim uczony, którego śmierć zawcześnie zabrała <sup>1)</sup>. Być może, że Murzynowski chwyciwszy się nowej nauki, sposobił się do stanu duchownego, a nawet jaki urząd piastował, ale na to niémamy żadnego dowodu. *Historja O Spierze* nie jest prostém tłumaczeniem, ale jak sam autor w przedmowie powiada, jest zebraniem z różnych pism łacińskich i ułożeniem w jedną całość; treść jej następująca.

W miasteczku Citadella, niedalekiem od Padwy, mieszkał Franciszek Spiera, „który był człowiekiem zacnym i wziętym, a to iż w nim była mądrość i rozum osobliwy i miał w prawie biegłość niepospolitą, a był znakomitym prokuratorem, skąd też był i ku sławie w onym okolicznym kraju i między swemi ku dostojenstwom i dostatkwom niemałemu przyszedł. Ten ku tem darom panskim, był też obdarzon od pana Boga żonką cnotliwą i dziatkami z nią niegorszeni, których było iedenascie, przytem nad ty wszystkie dary Boże, z miłosierdzia panskiego przyszedł też był iakoby na sześć lat przede śmiercią, naprzód ku obaczeniu grzechów swoich, potem ku takiemu uznaniu prawdy niebieskiej a drogi żywota wiecznego, że się też był, mając z tego wielką roskosz i wesele a o ochłodę dusze swojej, na to wszystek udał, iakoby nietylko sam pana Boga i sposób a drogi zbawienia swojego wiedział, ale żeby też i inszy przezeń, byli k'temu przywiedzeni, s czego się on wielmi kochał. Począł więc uczyć drogi zbawienia, naprzod dom swój i przyiacioly, potem też i insze s którymi skład a życie miewał.”

Znaleźli się nieprzychylni, którzy pragnąc go o gardło lub pozbawienie majątności przyprawić, albo też zmusić do ucieczki i mienie zostawić, oskarżyli go przed Janem z Casy, legatem papieskim w Wencyi, „jako wielkiego Luterana.”

„Spiera dowiedziawszy się o tem, a obawiając się, żeby Legat nad nim jakiego okrucieństwa nie używał, nadto oglądając się na żonę i dzieci aby im majątności jego nie pobrano, skoroby uznany został za heretyka i na śmierć i utratę dóbr skazanym był, postanowił wszystko odwołać i aby Legata ubłagać, z dobrej woli stawić się przed nim pierw nim ten go zawezwie.

„Wyznania Spierzy z rozkazania Legatowego zapisano i on się ręką swą na to podpisał; następnie Legat niejako prześlągany, przyjął go w łaskę, rozkazawszy aby nazajutrz wracał do domu i tam jawnie i publicznie, przy zgromadzeniu miasta, jaśnie się wszego co przedtym twierdził i uczył odprzysiął, a Kościołowi Rzymskiemu w żadnej się rzeczy nie przeciwiać przyrzekł.

<sup>1)</sup> *Hist. Lit. Polskiej* Wiszniewskiego, t. VI, str. 587.



„Spełniając to polecenie Spiera w niedzielę poranu, gdy było po mszy, stanął na okazałym miejscu, gdzie byli ci, które przedtém uczył; byli księża, był starosta i ludu jako on powiadał około dwu tysiąca.

„Przed którymi to wszystkiemi odprzysiął się tego wszystkiego czego przedtem nauczał. Nad to powiedział, że przeciw rzeczom przezręczonym ucząc bładził i s prawdy zwiedzion był; a teraz przyszedł na drogę światłości i prawdy i od kacerstwa się ku Matce Świętėj, Kościołowi Rzymskiemu nawrócił.

„Ale powróciwszy do domu, wszystkie te grzechy stanęły mu na pamięci, a stąd rozmnożył się w nim strach potępienia wiecznego, wpadł w rozpacz nieuleczoną, poczęli go duszni nieprzyjaciele straszyć, sumienie gryźć, ogień piekielny jeszcze na tym świecie palić.”

Odtąd Spiera uważał się za potępionego i odrzuconego od łaski i miłosierdzia Bożego; wszelkie środki przez rodzinę i przyjaciół użyte aby go z tój niemocy duszewnej i cielesnej uleczyć, okazały się bezskutecznemi, umarł nie pojednawszy się z Bogiem. Niektorzy z jego przyjaciół (z wielkiem zgorszeniem autora) przypisywali ten stan jego melancholii i obłąkaniu; inni zaś wnieśli „że to był dowód wyraźnej karni Bożej za odstępstwo, i aby ta karni jego pańska, tém jawniejszą światu była.”

Pomijam obszerne dysputy jakie w Padwie, dokąd go przewieziono celem uleczenia z tój niemocy, odbywał Spiera z doktorami, teologami i ludźmi uczonymi; na wszystkie ich argumenta że o swoim zbawieniu i miłosierdziu Bożem wątpić nie powinien, wciąż prawie jedno odpowiadał: „chce tego Bóg, abych ja to karanie za grzech cierpiał, chce mnie dla was wystawić na przykład gniewu swego, znam to iżem jest potępion, znam, iżem już na śmierć skazan i więtszy jest mój grzech niż miłosierdzie Boskie.”

„A zaiste (powiada autor) była żalonna rzecz, patrzeć na człowieka tak poważnego i już letniego (bo tedy miał około pięćdziesiąt lat) przytem znać w nim wielki rozum, niepoślednią naukę, pamięć niepospolitą, wymowę dziwną, a przedsię go słyhać, a on sam siebie potępia, wymową rzadko słychaną, przeciwko sobie wywody czyni i cokolwiek kto, by namędrzyi, ku jego pociesze przywodzi, to on na swe złe, s wszystkich podziwieniem obraca, ani się ten naiduie, ktorego by on mowy przeciwko sobie nie obrócił.”

Jak widzimy, dążność w rozpowszechnieniu tój książki była jasna, aby przyjmującym nową naukę wykazać, jak niebezpieczną było rzeczą powracać do starych błędów, i jak Bóg przykładem na Spierze chciał okazać, w jaki sposób tego rodzaju odstępstwa karać umie, nawet w życiu doczesném.

Dziś, kiedy umilkły namiętności religijne, pisma tego rodzaju za ledwie posiadają podrzędne historyczne znaczenie, ale je wysoko podnosi język jakim były pisane.

Już Lelewel zauważył że dzieła polskie z XVI wieku tak oryginalne jak i tłumaczone, dla języka nie małego są interesu i z tego powodu bywają mocno poszukiwane <sup>1)</sup>.

Wiszniewski zaś mówiąc o Seklucyanie i *Postylli* przez niego wydanej w 1556 r. uważa, że ta *Postylla* nie zdaje się być dziełem Seklucyana, czego nietylko z dziwnie pięknej polszczyzny (a Seklucyan w niej nie celuje) domyślać się można, ale i sam powiada, że tylko niektóre na święta kazania przydał." W inném zaś miejscu dodaje: „że język tój *Postylli* jest równie czysty a nickiedy piękniejszy od języka Skargi” <sup>2)</sup>.

Otóż ten dziwnie piękny język spotykamy w *Historji o Spierze* ułożonej przez Murzynowskiego, bardzo więc prawdopodobne, że jego utworem są owe *Postylle*, których język tak wielkie pochwały wywołał u Wiszniewskiego.

A chociaż Budny wysoko podnosząc tłumaczenie królewieckie *Nowego Testamentu* przez Murzynowskiego, dodaje, że szkoda iż tłumacz nie mógł go drugi raz przepatrzyć a wydać, bo acz po polsku grubo mówił i pisał, aleby to był czas wypolerował gdyby nie śmierć zawczesna <sup>3)</sup>; my jednak z tém zdaniem Budnego zgodzić się nie możemy, bo ani on, który pisał później (1570) ani współcześni w dziełach swoich oryginalnych i tłumaczonych, nie wytrzymają porównania z polszczyzną Murzynowskiego.

Zamieściliśmy w całości przedmowę i opowiedzieliśmy *Historję Spiery* mniej więcej wyrazami samego tekstu, ażeby z tych wyjątków sam czytelnik mógł ocenić jak pięknym, czystym i wyrobionym językiem pisał Murzynowski, i że to jego dziełko, bez zaprzeczenia, zaliczone być powinno do najcenniejszych pomników mowy ojczyściej, z czasów Zygmuntofskich.

G. Z.

<sup>1)</sup> *Bibliograficznych ksiąg dwoje*, tom I, p. 136.

<sup>2)</sup> *Historja literatury polskiej*, tom IX, str. 231.

<sup>3)</sup> *Historja literatury polskiej* Wiszniewskiego, tom VI, str. 586 i 7.

PRZEMYSŁ CUKROWNICZY  
W KRÓLESTWIE POLSKIM \*).

PRZEZ

*Antoniego Wrotnowskiego.*

XIV.

Kwestya znaczenia drogich metali nie wyczerpywała przecież przedmiotu i nie miała téj doniosłości, iżby sama jedna pociągnąć mogła umysły ku systematowi wolnej międzynarodowej zamiany. Żądając zniesienia wszelkich ceł prohibicyjnych i protekcyjnych musieli Smith usprawiedliwiać, iż one są dla dobrobytu społeczeństw absolutnie szkodliwemi, a tém samem przenieść dyskusyą na szersze i ogólniejsze pole. Korzystając zaś z przygotowanego dla siebie przez Fyzyokratów gruntu, chociaż się z nimi w poglądach abstrakcyjnych i spekulatywnych wcale nie zgadzał <sup>1)</sup>, stawiał przedewszystkiem ten

\*) Dokończenie— patrz zeszyt za m. listopad r. b.

<sup>1)</sup> Quesnay (autor dzieła: *Le tableau économique*, wydane w r. 1760) z liczną pleadą uczonych, którzy jego poglądy rozwijali, wytworzył był oddzielną szkołę fizyokratów, nietylko ekonomiczną, ale i filozoficzną, a nawet polityczną zarazem. Wychodząc z założenia, że światem rządzą jednocześnie prawa i fizyczne i moralne, utrzymywał, iż idee pokoju, prawa i braterstwa między ludźmi nie opierają się wyłącznie na dogmacie nieśmiertelności duszy i życia poza grobem, ale także na poszanowaniu i stosowaniu się do owych praw naturalnych, których gwałcenie nie przechodzi na téj ziemi bezkarnie. Badanie przeto tych praw, poczytując za rzecz konieczną i najbardziej pożyteczną, a na ludzi żyjących w społeczeństwie, zapatrując się głównie jako na konsumentów i producentów, fizyokraci oceniali naukowo co jest dla każdego najbardziej użytecznym.

Te zaś idee odnosząc do ekonomii, przyjmowali za punkt wyjścia, iż główną cechą bogactwa jest materya; wartość przeto i użyteczność pracy mierzyli ilością materyi surowej, jaką taż praca zdoła zawładnąć. Skutkiem czego charakter produkeyjnośc przyznawali tylko rolnictwu, poczytując inne gałęzie przemysłu za bezowocne, chociaż im nie odmawiali pewnej użyteczności; przed wszystkiemi zaś klasami ludności przyznawali pierwszeństwo właścicielom ziemi. W konkluzyi więc dowodzili, że oprócz czystego dochodu, jaki dają ziemia po opłaceniu kosztów uprawy rolniczej i utrzymania właścicieli,

pewnik, iż do podniesienia każdego państwa z najniższego stopnia barbarzyństwa do najwyższego stopnia zamożności, nic innego nie potrzeba, oprócz pokoju, umiarkowanych podatków i znośnego (*tolérable*) wymiaru sprawiedliwości, gdyż resztę sprowadzi sam naturalny bieg rzeczy. Z tego wychodząc założenia, rozwinął był Smith szereg poglądów, przyjmowanych przez liczny zastęp ekonomistów społecznych i późniejszych. Te poglądy uzupełnione teorią Jana Chrzyciciela Say, o znaczeniu miejsc zbytu (*débouchées*) <sup>1)</sup>, dają się streścić jak następuje.

Trzy są główne czynniki produkcji: ziemia, dostarczająca materii, praca człowieka, która też materią zużytkowuje i kapitał, two-

społeczeństwo innego dochodu niema, że więc jest najbardziej zainteresowane, iżby czysty dochód z ziemi wzrastał; od tego bowiem wzrostu zależy potęga każdego państwa, a nawet postęp cywilizacji. Różniąc się z obrońcami systematu merkantylnego w pojęciach o znaczeniu drogich metali, kapitałom obsługującym rolnictwo, fabryki i handel, nadawali fizyokraci znaczenie *uposażenia* tych gałęzi przemysłu, bez której to *dotacji*, jak się wyrażali, nie byłoby ani bogactwa, ani właścicieli ziemi. Zyski zaś na produkcji fabrycznej i na handlu poczytywali za wydatki, które są nieuniknionym ciężarem społeczeństwa, lecz zupełnie nieprodukcyjnym dla interesu ogólnego tegoż społeczeństwa, które przeto należy ograniczać przez dopuszczenie swobodnej konkurencji. Uważali wreszcie, iż każdy podatek spada ostatecznie na produkcję rolniczą i dlatego żądali zniesienia wszystkich podatków pośrednich, a ustanowienia jednego podatku od dochodu z ziemi, tylko bowiem temu podatkowi przyznawali prawowitość.

<sup>1)</sup> Say, ekonomista używający wielkiej w Europie sławy, wykazując także (w dziele już zacytowanym), że mylne były pojęcia twórców systematu merkantylnego o znaczeniu drogich metali, dowodził: że każda *praca użyteczna* jest zarazem pracą *produkcyjną*. Każdy bowiem produkt, bez żadnego wyjątku wyobraża bądź *użyteczność nową* przed jego wytworzeniem zupełnie dla społeczeństwa nieistniejącą, bądź *powiększenie użyteczności już istniejącej*, nadane rzeczom, a nawet i samym ludziom, a będące owocem pracy wykonanej w tym celu. Objasniał dalej, iż właśnie postęp przemysłowy polega głównie na zwiększeniu na przyszłość stopnia współudziału, jaki w dziele produkcji niesą człowiekowi *czynniki naturalne*, a zwłaszcza *siły samej przyrody* dla każdego dostępne; ten bowiem współudział, nowonabyty lub powiększony, każdą produkcją czyni płodniejszą, nie wymagając na to więcej pracy; płynąca zaś ztąd użyteczność staje się dziedzictwem ogółu (*tombe dans le domaine commun*). Poczytując zaś *miejsca zbytu* za jedną z najistotniejszych użyteczności, jakie są właśnie przystępnymi dla każdego, a więc jakie idą na pożytek tegoż ogółu i stawiając te *débouchées* w rzędzie najpożyteczniejszych czynników naturalnych, do rozwoju produkcji dopomagających najskuteczniej, a służących każdemu darmo, Say pierwszy sformułował regułę: *que les nations ne payent les produits qu'avec les produits, et que toutes les lois qui leur défendent d'acheter les empêchent de vendre*.

rzący się przez gromadzenie produktów surowych lub przerobionych. Każdy z tych trzech czynników jest w dziele produkcji zarówno potrzebnym, obfitość przecież kapitałów szczególniej wyróżnia narody bogate od ubogich, skoro przy braku kapitałów, nawet ziemia nie jest uprawiana, jak należy, suma pracy krajowej zmniejsza się, a przynajmniej nie może być powiększaną, a więc ekonomiczna działalność nie może nabrać odpowiedniego rozwoju i żadne udoskonalenia możliwemi nie są, bez pomocy bowiem kapitału nie mogą być czynionemi. Postęp w rolnictwie lub w przemyśle, w żadnym momencie historii nie przekracza przeto granicy zakreślonej sumą kapitału w każdym z tych momentów istniejącą; kapitały zaś bez różnicy postaci, jaką przybierają, powiększają się nieinaczej, jak przez oszczędność. Należy więc ocenić, który z dwu systematów: ograniczeń, czy pełnej swobody ruchu, protekcyjny czy wolnej zamiany, więcej sprzyja czynieniu oszczędności?

Otóż, społeczeństwo usiłujące kierować handel zewnętrzny na drogi sztucznie przez siebie oznaczone i w tym celu ułatwiające przywóz materyałów surowych (*matières premières*), a wywóz fabrykowanych jest w błędzie gdy mniema, że tym sposobem wpływa na powiększenie i sumy swęj pracy i swego kapitału zarazem. Społeczeństwo bowiem, tak samo jak jednostka, bez względu na istniejący systemat cłowy, kupuje wszystkie produkta nieinaczej jak za inne produkta i sprowadzając z zagranicy przedmiot, którego potrzebuje, musi dać w zamian inny przedmiot odpowiedniej wartości. Jest zaś widocznem, iż nic innego dać nie może, jak to co wyprodukowało samo, lub co zostało dlań wyprodukowanem gdzieindziej. Ze zaś wartości zamienne ustalają się przedewszystkiem wedle sumy pracy włożonej w przedmiot wystawiony na sprzedaż, więc i zamiana produktu na produkt nie jest czem innem, jak zamianą pracy za pracę i będzie zawsze rzeczą dla działalności społecznej obojętną zamieniać z zagranicą materyały surowe na fabrykowane, lub *vice versa*, skoro w każdej z tych hipotez zamienia się tylko suma pracy za odpowiednią sumę pracy.

Z tego punktu zapatrywania nie należy w stosunkach międzynarodowych obawiać się zamiany z narodami stojącymi na wyższym stopniu rozwoju przemysłowego, ona bowiem wychodzi właśnie na pożytek społeczeństwa mniej rozwiniętego pod względem produkcji fabrycznej, skoro tym jedynie sposobem korzysta ono z *taniści* wyrobów zagranicznych. Społeczeństwo mniej w przemyśle rozwinięte daje tym narodom mniej swych produktów, a więc mniej swęj pracy za to, czego potrzebuje i tym sposobem czyni oszczędność, idącą na powiększenie pracy krajowej, zupełnie tak samo, jak kupiec wywożący wartość 100 gotowizną, płodami rolniczymi, lub wyrobami fabrycznymi zwiększa swą korzyść, gdy otrzymuje w zamian produkta zagraniczne, które na miejscowych targach może spieniężyć za 105 lub drożej.

Otóż systemata ograniczeń (prohibicyjny i protekcyjny), zmuszając całe społeczeństwo płacić drogo za to, co ono mogłoby mieć od za-

granicy tanio, przeszkadzają czynieniu oszczędności lub zmniejszają jej sumę, utrudniają lub opóźniają tworzenie się kapitałów, tamują postęp fabrykacji miejscowej, a produkcje najwłaściwsze naturze ziemi lub geniuszowi każdego narodu pozbawiają naturalnych miejsc zbytu i poświęcają interesa wielkiej liczby mieszkańców interesowi klas uprzywilejowanych. Rzeczone systemata zwracają wprawdzie ku pewnym gałęziom przemysłu więcej rąk i kapitałów, niżby to miało miejsce w kraju przy naturalnym biegu rzeczy (t. j. przy wolnej zamianie z zagranicą); czynią to przecież z widoczną tegoż kraju szkodą, skoro pracę i kapitały odwracają od innych kierunków, mogących dlań przynieść większy pożytek. Jakoż inicjatywa jednostek wszędzie oceni najlepiej, jaki rodzaj produkcji da zyski największe; że zaś wątpliwości nie ulega, iż ogół korzyści danego społeczeństwa na jego międzynarodowej zamianie składa się właśnie z sumy zysków otrzymywanych przez wszystkie jednostki w jego skład wchodzące, taki więc wywóz i przywóz produktów, który najbardziej bogaci owe jednostki, bogaciły zarówno kraj i państwo.

Wszystkie te poglądy przyjęte zostały przez całą szkołę ekonomistów francuzkich bez żadnych modyfikacji lub zastrzeżeń. Liczni uczeni, których nazwiska stały się powagami, różniąc się między sobą w innych kwestjach ekonomicznych, pismem i słowem stale i jednomyślnie utrzymują, że zniesienie ceł protekcyjnych leży zarówno w interesie i konsumentów i producentów; że zapewniłoby pierwszym *taniość*, drugim zwiększenie korzyści, czyli *wzrost dobrobytu*. I to swe przekonanie podnieśli ekonomiści do wysokości dogmatu naukowego, w obronie którego w swych pismach, wychodząc z granic umiarkowania, często wyrażają się z lekceważeniem o każdym, kto ich teorii bezwarunkowo nie podziela, jak gdyby ta teoria była jedną z prawd ewangelicznych lub miała znaczenie dogmatu religijnego; a tak przecież nie jest <sup>1)</sup>.

Że w tym kierunku poszła cała falanga uczonych, zgrupowanych około sztandaru z godłem: *laissez faire, laissez passer* i *przeciwnych*

<sup>1)</sup> Dowodem tej namiętności jest także wydawnictwo pod każdym zresztą względem szacowne: *Dictionnaire de l'économie politique* (2 tomy, Paryż 1854 r.). 38 słynnych ekonomistów szkoły francuzkiej przyjęło w tém wydawnictwie czynny udział: Bastiat, Baudrillart, Cherbuliez, Chevalier, Clement, Cuvier, Fausher, Garnier, Molinari, Pariou, Passy, dwaj Say'e, Vivien, Wolowski i w. i. Pisząc o autorach i statystach lub o dziełach przeciwnych systematowi wolnej międzynarodowej zamiany nie ograniczali się oni na przedstawieniu obiektywném, ale każdego autora lub statystę i każde dzieło krytykowali surowo za to, iż nie podziela zdania krytykujących. Całe wydawnictwo byłoby przeocież pożyteczniejszém, gdyby nie przeistaczając się w środek propagandy jednej teorii, jednego systematu, nie było odbiegło od metody dla każdej encyklopedyi najwłaściwszój i obiektywnie dawało o każdym przedmiocie bezstronne objaśnienia.

wszelkiemu mieszaniu się społeczeństwa i jego rządu w rzeczy rozdziału owoców pracy, można to tłómaczyć nastrojem umysłów we Francyi, usiłującym z każdej zasady abstrakcyjnej wyciągnąć wszystkie konsekwencye logiczne i wprowadzać je w życie *quand même*. W tym samym przecież szeregu przeciwko cłom protekcyjnym stanęły także wszystkie szkoły socjalizmu <sup>1)</sup>, a nawet ci z ekonomistów, którzy wychodząc z założenia, iż najgłówniejszém zadaniem ludzkości, wśród wszelkich jej przeobrażeń dziejowych, jest właśnie zapewnianie sprawiedliwszego rozdziału owoców pracy, żądają, iżby to zadanie podjęły rządy i załatwiały je za pomocą wzajemnych między sobą porozumień <sup>2)</sup>. Dopuszczają więc mieszanie się rządu w działalność ekonomiczną; tak samo jak rzeczone szkoły żądają, by on regulował nawet warunki konkurencyi miejscowej; jedna tylko zamiana międzynarodowa ma zostać poza wszelkim z jego strony wpływem i odbywać się wedle reguły, *laissez faire, laissez passer*, przeciwko której przecież w stosunkach miejscowych jednocześnie powstają.

Wobec téj zgodności zdań w rzeczy ceł protekcyjnych, zgodności nie zawsze jak widzimy wytkómaczyć się dającej, było rzec można oznaką dobrego tonu zaliczać się do obrońców teoryi wolnego handlu. Wywierała téż ona przeważny wpływ, jak każda nowość lub moda. Pod koniec zwłaszcza panowania Ludwika Filipa, zaraz po owéj reformie Roberta Peel, tyle dobrobytu i taniości zapowiadającej, nikt niemógł się we Francyi za systematem protekcyjnym odezwać, bez narażenia się na zarzut obskurantyzmu i wstecznictwa. I w istocie możnaby mniemać, iż umysły pociągane były urokiem wyrazu *wolność*, niezdając sobie sprawy, że ta wolność idąc na korzyść narodów, rozporządzających większą siłą produkcyjną, może się stać wolnością, przywilejem i protekcyją tylko dla przemysłu zagranicznego. Wśród takiego usposobienia umysłów, rozpoczęły się były rządy Napoleona III, przychodzącego właśnie z tradycją tym usposobieniem wprost przeciwną.

Jakoż w ciągu naszego opowiadania, już mieliśmy sposobność wskazać poglądy Fr. Aug. Ferrier na warunki międzynarodowój zamiany. Poglądy te były wierném odbiciem myśli samego Napoleona I, dobrze znanéj z dziejów, a uwydatnionej w jego pamiętnikach z wyspy S-téj Heleny <sup>3)</sup>. Anglia wyjednałszy w r. 1786 zgodzenie się Francyi

<sup>1)</sup> St. Simon'a, Owen'a, Fourier'a i t. p.

<sup>2)</sup> Hieronim Adolf Blanqui, dyrektor akademii rzemiosł i profesor ekonomii w konserwatorium sztuk i rzemiosł, deputowany, w dziele: *Précis élémentaire d'écon. polit.* (2-e édit. Paris, 1842 r.); Jan Sismondi ze Szwajcaryi w dziele: *Nouveaux principes d'économie polit., ou de la richesse dans ses rapports avec la population* (2-e édit. Paris, 1827).

<sup>3)</sup> Czynniki bogactwa narodowego dzielił Napoleon I w tym sposobie: „1) *L'agriculture*; l'âme, la base première de l'Empire. 2) *L'Industrie*; l'aisance, le bonheur de la population. 3) *Le Commerce extérieur*; la surabondance, le bon emploi des deux autres.”

na traktat handlowy dla produkcyi angielskiej dogodny, usiłowała po zawarciu pokoju w Amiens do zasadowego traktatu powrócić, grożąc ponowieniem kroków wojennych w razie nieprzyjęcia tego jéj żądania. Nie zgodził się na nie Napoleon I, niechcąc, jak pisze, oddawać przemysłu francuzkiego w niewolę angielską <sup>1)</sup>. Cóżby powiedział dziś ten wielki wojownik, a jeszcze większy prawodawca, organizator i administrator kraju, wobec statków parowych i dróg żelaznych, które obniżając fracht produktów, pozbawiają produkcją krajową nawet téj protekcyi, jaką dawniej przy znacznych kosztach przewozu zapewniała sama odległość.

Nie tak energicznie i w nie tak stanowczy sposób oświadczały się za systematem protekcyjnym rządu starszej linii Burbonów. Minister handlu w gabinecie Martignac'a, de Saint-Cricq, wobec opinii publicznej, systematowi Adama Smith coraz bardziej przychylniej, odpierając w Izbie zarzuty opozycyi, zajął był inne stanowisko. Rozwijane przezeń poglądy rządu na przedmiot dają się streścić jak następuje.

Narody są w dobrobycie i powiększają swą konsumacyą tylko przez pracę. Głównym jéj czynnikiem, zwłaszcza w kraju tak rozległym i tak ludnym jak Francya, jest niewątpliwie *handel wewnętrzny*, ustalający wartość wszystkich naturalnych bogactw krajowych i plonów

„L'agriculture n'a cessé de gagner durant le cours de la Révolution. Les étrangers la croyaient perdue chez nous. En 1814, les Anglais ont été pourtant contraints de confesser qu'ils avaient peu ou point à nous montrer. L'industrie ou les manufactures et le commerce intérieur ont fait sous moi des progrès immenses. L'application de la chimie aux manufactures les a fait avancer à pas de géants. J'ai imprimé un élan qui sera partagé de toute l'Europe.

„Le commerce extérieur, infiniment au dessous dans ses résultats aux deux autres, leur a été aussi constamment *subordonné* dans ma pensée. Celui-ci est fait pour les deux autres; les deux autres ne sont pas faits pour lui. Les intérêts de ces trois bases essentielles sont divergens, souvent opposés. Je les ai constamment servis dans leur rang naturel, mais n'ai jamais pu ni dû les satisfaire à la fois.” (*Memorial de S-te Hélène*).

<sup>1)</sup> „Nous avons à présent le secret du traité de commerce de 1786. La France crie encore contre son auteur, mais les Anglais l'avaient exigé sous peine de recommencer la guerre. Ils voulurent m'en faire autant après le traité d'Amiens; mais j'étais puissant et haut de cent coudées. Je répondis qu'ils seraient maîtres des hauteurs de Montmartre que je m'y refuserais encore, et ces paroles remplirent l'Europe.

„Ils en imposeront un aujourd'hui, à moins que la clameur publique, toute la masse de la nation ne les force à reculer; et ce *servage* en effet serait une infamie de plus aux yeux de cette même nation, qui commence à posséder aujourd'hui de vrais lumières sur ses intérêts” (*tamże*). Zapominać zaś nie należy, że przytoczone wyżej zdania Napoleona I, będące wyrazem zasad na najwyższe zasługujących uznanie, niemają nic wspólnego ze słynną *blokadą*



rolniczych, wszystkich produktów miejscowego przemysłu fabrycznego i wszystkich kapitałów nagromadzonych w kraju. Zbadanie, w jakich warunkach najlepiej i najpożyteczniej rozwijać się może ten główny czynnik pracy krajowej, ten handel wewnętrzny we Francji, jest więc pierwszorzędnym zadaniem jej rządu. Rząd nie miał przekonania, a raczej wątpił czy tenże handel mógłby się należycie rozwijać w ówczesnym stanie produkcji francuzkiej, w razie gdyby Francya kupowała gdzieindziej to, co zagranica mogłaby jej dostarczyć taniej niż przemysł miejscowy, chociażby nawzajem przedawała innym narodom to, co one produkowały, drożej. A obliczając ceny kosztu produkcji różnych towarów i wyrobów francuzkich i porównyując je z cenami handlowymi, miejscowymi i angielskimi, de Saint-Cricq wykazywał, iż wobec taniości tychże towarów i wyrobów zagranicą, Francya porzucając systemat protekcyjny, weszłaby na drogę zaopatrywania się zagranicą w prawie wszystkie artykuły żywności, a we wszystkie przedmioty fabrykowane, dające właśnie zajęcie największej liczbie rąk, a więc i sposób do życia dla największej liczby mieszkańców. Niemogąc dopatrzeć jakim sposobem dałyby się wytworzyć inne zarobki dla ludności krajowej, dotychczasowych pozbawionej, zwracał się do owego pewnika ekonomicznego, wedle którego produkta płać się tylko produktami; wyznając iż ten pewnik nie jest dla rządu zaspakajającym, skoro narody tak samo jak jednostki, mogą żyć i kupować kosztem kapitału i tak samo jak one dochodzić do ruiny. Nie przecząc wreszcie, iż wysokie cła oddziałują na podrożenie różnych przedmiotów, tamują rozwój handlu morskiego i utrudniają wywóz niektórych wyrobów produkcji francuzkiej; de Saint-Cricq poczytywał te następstwa za konieczność, której Francya poddać się musi dla zadosyć uczynienia swym interesom wyższym, ogólnym.

Zwracając z kolei uwagę na to, że ceny produktów miejscowych muszą się obniżać w miarę postępu przemysłowego, czyli w miarę ulepszeń fabrykacji, samą konkurencją miejscową wywoływanych, że udoskonalenia i wynalazki pociągną za sobą rozwój przemysłu krajowego, ten zaś rozwój dostarczy statego zajęcia marynarce i rozszerzy zarazem miejsca zbytu dla płodów rolniczych; de Saint-Cricq zaafirmował, iż poświęcać wszystko dla samój taniości, byłoby to narażać się na niebezpieczeństwo kupienia od zagranicy w ciągu krótkiego czasu tak wiele, a przedania w zamian tak mało, że *niestarczyłoby wreszcie środków ani do kupowania, ani do przedawania* <sup>1)</sup>. Gdy główniejsze

*kontynentalną*, użytą przez tegoż monarchę za broń przeciwko Anglii, a słuszenie uznaną przez historyków za błąd i polityczny i ekonomiczny zarówno. Skutkiem zaś wprowadzenia w czyn powyższych zasad, doszła była Francya za pierwszego Cesarstwa do wielkiego dobrobytu materialnego.

<sup>1)</sup> „Sacrifier au bon marché, c'était courir grand risque d'avoir, en peu d'années, tant acheté et si peu vendu qu'il ne nous restât plus de moyens d'acheter ou de vendre.” Amé, *loc. cit.* t. II, str. 492.

gałęzi przemysłu francuzkiego, konkludował minister, idąc drogą postępu, odpowiedniego nabiorą rozwoju, niechaj wtedy Francya przyjmie, a nawet wywoła walkę konkurencyjną z zagranicą; ale nim to nastąpi, niechaj dla własnego przemysłu zachowa własne a wspaniałe targowisko krajowe i niechaj Izba, nieprzyjmując wniosków opozycyi, poczyta za rzecz udowodnioną, iż *należy kupować u innych jak najmniej tego, co jesteśmy w możności produkować sami* <sup>1)</sup>).

Nie uznawał przeto w tój materyi żadnych zasad absolutnych, nie przyjmował żadnego systematu *à priori*, ale żądał, iżby praca krajowa niebyła pozbawioną opieki wynikającej z poboru ceł, bez poprzedniego obliczenia i porównania się każdej z osobna ważniejszej gałęzi przemysłu tych krajów, które mają sobie czynić konkurencyą, a więc, iżby wyczekiwać chwili, w której zniesienie lub obniżenie tych ceł nie mogłoby już na żadne niebezpieczeństwo narazić istnienia żadnej z tych gałęzi przemysłu francuzkiego. Wszelki przeto krok na drodze reformy cłowej czynił zależnym od ścisłego rachunku następstw, mającego determinować jój pożytek dla kraju i przekonać, że na nią nadszedł czas właściwy <sup>2)</sup>).

Żaden z mówców rządowych we Francyi nie opuszczał już późniéj stanowiska, jakie zająłbył de St. Cricq, względem teoryi wolnego handlu i każdy z nich w obronie systematu protekcyjnego poprzestawał na rozwijaniu tych samych co on argumentów. To samo da się powiedzieć o pismach ekonomistów, nie opuszczających sztandaru protekcyjnego, chociaż niektórzy z nich, utrzymując, iż teoria Smitha jest absolutnie niemożliwą, usiłują utrzymać samą zasadę, zamianie swobodnej międzynarodowej bezwarunkowo przeciwną.

Mianowicie zaś też same poglądy rozwijał (między 1840—1851) słynny ekonomista niemiecki Fryderyk List <sup>3)</sup>, uznawany jak już wspomniano, za twórcę *zollcereinu*. Dzielać historią każdego narodu na trzy okresy: barbarzyństwa, wzrostu i rozwoju, potęgi zresztą i siły, dowodził, iż wolność handlowa jest dla każdego narodu potrzebną w okresie pierwszym, skoro bez niej trudnoby mu przyszło wyjść ze stanu barbarzyństwa; że systemata zakazowe i protekcyjne są koniecznymi w okresie drugim, skoro bez nich żaden naród nie mógłby ani rozwinąć przemysłu fabrycznego, ani wytworzyć marynarki handlowej. Dopiero więc w okresie trzecim pełnego rozwoju działalności ekonomicznej i w stanie wielkiego dobrobytu, naród w pełni swój siły może

<sup>1)</sup> „Ténon pour établi qu'il ne faut acheter aux autres que le moins possible de ce que nous pouvons produire.” (Tamże tenże tom, cytacya na str. 493).

<sup>2)</sup> Il invoqua surtout des questions d'opportunité et de force relative entre les industries rivales.” Amé, *laco citato*, t. II, str. 491.

<sup>3)</sup> *Friedrich List's gesammelte Schriften*, Stuttgart, 1850. Patrz: *Die Freiheit und die Beschränkungen des auswärtigen Handels, aus dem historischen Gesichtspunkt betrachtet*, i *Das nationale System der politischen Oekonomie*.

stopniowo obniżać cła i zbliżać się do teorii wolnego z zagranicą handlu <sup>1)</sup>. Profesor Perin należy także do rzędu tych, którzy nieuznając ani absolutnej protekcji, ani absolutnej wolności handlu z zagranicą, mniemają, „iż każdy człowiek rozsądny przyjmuje pierwszą z nich pod warunkiem, by niewychodziła z granic sprawiedliwości i by stosowaną była w sposób zmuszający produkcją krajową do rozwoju i postępu, zamiast popierać jej zastój w bezowocnej rutynie <sup>2)</sup>).

Z pomiędzy zaś ekonomistów stojących przy zasadzie protekcji absolutnej, należy się szczególniej wzmianka wicehrabiemu Augustowi de Saint Chamans, radcy stanu i deputowanemu przed r. 1830 <sup>3)</sup> i Juliuszowi Le Bastier <sup>4)</sup>.

Ale i pomiędzy ekonomistami należącymi do obozu przeciwnego, bardzo wielu i to najświetniejszych mistrzów nauki, schodzi się z poglądami ministra de St. Cricq. nie przecząc bynajmniej ani temu, iż protekcja dobrze zastosowana może być na pewien czas użyteczną dla kraju, ani temu, iż nawet przechodząc do systematu wolnego handlu istnieje konieczność zachować wielkie umiarkowanie i oględność, iżby przez zniesienie lub obniżenie ceł protekcyjnych, od bardzo dawna istniejących, nie narazić na upadek tych gałęzi przemysłu krajowego, które się pod

<sup>1)</sup> Szanowny profesor uniwersytetu w Louvain, Karol Perin, *loc. cit.*, t. I, str. 505, tak ocenia poglądy Lista: „un célèbre économiste allemand, List, a fondé sur le principe de la solidarité nationale une théorie des échanges internationaux, qui apporte aux principes absolus du libre échange des restrictions considérables. Pourvu que l'on conserve aux principes de cette théorie leur caractère essentiellement relatif et qu'on évite d'en induire ce qui ne s'y trouve point contenu, le principe d'une protection absolue et immuable du travail national, on reconnaîtra que le système de List repose sur une donnée d'une vérité incontestable.”

<sup>2)</sup> *Tamże*, tenże tom, str. 506 i 512. Na téjże stronicy czytamy trafne ocenienie absolutnej wolności handlowej: „mais dans notre temps de hardiesse, ou pour mieux dire d'extravagances sociales, il s'est formé une école, qui tend à une application radicale et absolue du libre échange. Les principes de cette école sont tels que, si jamais ils pénétraient dans le monde des affaires, ils auraient pour effet de désorganiser la production et de ruiner les classes qui vivent du travail de leurs bras. Cette école tient de plus près qu'on ne croit aux théories de matérialisme et d'individualisme qui forment le fond de toutes les doctrines révolutionnaires de notre temps.”

<sup>3)</sup> Autorowi dzieła: *Du système d'impôt fondé sur les principes d'économie politique*. (Paris, 1820), poczytywanego za najbardziej wyczerpującą obronę ceł protekcyjnych.

<sup>4)</sup> W cytowanym dziele: *Théorie de l'équilibre économique*. Zasady absolutnej protekcji bronili także: Temistokles Lestibondois deputowany, w dziele: *économie politique des nations, ou système économique applicable aux différentes contrées et spécialement à la France*, (Paris, 1847); Lequién w dziele: *du libre échange et des prohibitions douanières*, (Paris, 1850) i t. d.

ich osłoną rozwinęły. Jakoż sam nawet Smith wyraźnie przyznawał, że w dwu przypadkach przemysł krajowy *powinien być*, w dwu zaś innych *może być* protegowanym przeciwko przemysłowi zagranicznemu. Mianowicie zaś za dwa przypadki *konieczności* ceł protekcyjnych pochytywał: *a)* bezpieczeństwo kraju, ważniejsze dlań od najszerzego dobrobytu, skutkiem czego uważał, iż należy pewnemi dogodnościami zachęcać każdą gałąź miejscowego przemysłu, potrzebną dla obrony, lub dania siły krajowi i z tego właśnie względu usprawiedliwiał *Akt żeglugi Cromwella* z roku 1651, acz oparty na idei monopolu i cłach zakazowych, a więc zadający kłam najdonioślejszym wynikiem nauki <sup>1)</sup>; *b)* opodatkowanie na rzecz skarbu narodowego daną gałąź miejscowego przemysłu, skutkujące podrożenie jej produkcji odpowiednie wysokości tegoż podatku; przyznawał bowiem że należy wtedy dać téjże gałęzi opiekę przeciwko konkurencyi takiegoż przemysłu zagranicznego i tym sposobem przywrócić równowagę, z zastrzeżeniem jedynie dokładnego zbadania, w jaki sposób i do jakiego stopnia podatek obciąża tęż produkcją. Przypadki znowu, w których cła protekcyjne *mogą* być pożytecznemi dla kraju są: *a)* gdy zagranica za pomocą praw zakazowych lub protekcyjnych, utrudnia wywóz swych produktów a przywóz angielskich, można przeciwko nię użyć odwetu, ilekroć jest nadzieja, iż tym sposobem zmusi się ją do porozumienia i *b)* gdy pod osłoną ceł protekcyjnych potworzyły się w kraju zakłady fabryczne; nie możnaby bowiem bez wielkich dlań niedogodności pozbawiać je téjże protekcyi nagle, ale postępować należy bardzo powoli i z wielką oględnością <sup>2)</sup>.

Fryderyk Bastiat, autor głośnych w swoim czasie *sosfizmów ekonomicznych*, oświadczał wyraźnie, że się zgadza na protekcyą umiarkowaną <sup>3)</sup>, niemniej od Bastiata gorliwy obrońca teoryi wolnego handlu Michał Chevalier uprzedza przecież, że dalekim jest od téj myśli, iżby przemysł francuzki pozostawić bez obrony w walce z warsztatami angielskiemi, które większemi rozporządzają siłami i dlatego sam żąda rewizyi taryfy francuzkiej <sup>4)</sup>. I w ogólności wszyscy ekonomiści liczący się z faktami, z rzeczywistością, z potrzebami danéj chwili,

<sup>1)</sup> Prawo Cromwella z roku 1651, modyfikowane wielokrotnie przez parlament (w latach 1825 i 1826) zostało całkowicie zniesioném dopiero w roku 1849. Parlament uznał wtedy, iż ono już się przeżyło i już swemu zadaniu przestało czynić zadosyć, ale podstawom tegoż prawa nie stawiał zaprzeczenia.

<sup>2)</sup> W cytowaném dziele: t. II, ks. IV, rozdz. II.

<sup>3)</sup> „Je n'ai pas de répugnance à dire quel est mon voeu... Je voudrais que l'opinion fût amenée à sanctionner une loi de douanes, conçue à peu près en ces termes: les objets de première nécessité paieront un droit ad valorem de 5%, les objets de convenance 10%, les objets de luxe 15 ou 20%” (*Sophismes économiques*, 3-e édit., Paris, 1847, str. 9).

<sup>4)</sup> *Examen du système commercial connu sous le nom de système protecteur* (str. 202—213). To zdanie jest zresztą wynikiłością uznania solidarności narodowej: „Le principe de la solidarité nationale une fois reconnu,”

przyjmują teorią wolnego handlu za ostateczny cel, ku któremu narody dążyć powinny stopniowo, bez narażania na upadek tych gałęzi przemysłu, które się rozwinęły pod systematem protekcyjnym. Ilekroć zaś dla którego z piszących wstrętnym jest sam wyraz *protekcya*,

czytamy tamże: „il reste à savoir quelle en sont les conséquences légitimes et si parmi ces conséquences figure le système protecteur, notamment avec les caractères qu'il a reçu de nos protectionnistes. En s'étayant de la solidarité nationale, on allègue en faveur du système protecteur que, pour tout grand corps de nation, une fois l'âge de la maturité arrivé, c'est une nécessité dans l'intérêt de sa civilisation même, d'acclimater chez soi chacune des principales branches de l'industrie; qu'il ne suffit pas d'être agriculteur, qu'il faut être commerçant et manufacturier; qu'il faut avoir non seulement quelques manufactures spéciales, mais chacune des grandes catégories manufacturières; qu'il faut être navigateur. Jusque, là le programme est judicieux.” Uznawszy następnie potrzebę przyswojenia wielkich gałęzi przemysłu każdemu organizinowi państwowemu (patrz cytacyą w rozdz. XIII tego studyum); i objaśniwszy, że sama natura zakreśla pod tym względem granicę, że np. Anglia i Północne Niemcy nie mogą produkować wina, autor tłumaczy swą myśl jak następuje: „Les limites que la nature elle-même pose à l'extension de l'industrie de chaque peuple, ces sortes d'interdits à l'esprit d'entreprise de chaque grande nation, laisse encore ouvert un espace immense, la majeure partie du domaine des manufactures. On peut remarquer encore que ces limites naturelles ne sont pas absolument fixes, que le progrès des sciences et des arts tend à les reculer sans cesse. L'Europe est parvenue à faire rendre à son propre sol des substances qu'on aurait crues réservées aux regions tropicales; le sucre en est le plus frappant exemple. Mais tous les bons esprits reconnaitrons qu'à chaque instant il est sage d'accepter ces limites telles qu'elles sont marquées par les connaissances humaines au moment dont il s'agit. Sous ces réserves” (a przyjmie je bez wątpienia każdy); „nous tenons pour établi qu'il est bon à toute agglomeration nationale, à un groupe d'hommes tel que celui qu'offre la France, ou les îles Britanniques, ou l'Allemagne, ou la Russie, d'aspirer à s'appropriier la plupart des grandes industries et de s'y appliquer effectivement. Ainsi je me garderai bien de blâmer le désir qu'eurent Colbert en France, Cromwell en Angleterre de susciter, chacun dans sa patrie une puissante marine commerciale. Je tiens pour excellente la pensée que, plus récemment, ont eue des hommes d'Etat éminants, chez tous les grands peuples de l'Europe, de faire naître autour d'eux les divers industries manufacturières, ce qui ne veut pas dire qu'il convienne de louer sans distinction les mesures qu'ils prirent pour atteindre leur objet. J'irai même plus loin dans la voie des concessions, je le puis en toute sûreté de conscience. Eu égard au temps dans lequel vivaient Colbert et Cromwell, et même des souverains ou des ministres beaucoup moins éloignés de notre âge, et postérieurement jusqu'à l'époque qui précède la nôtre, on peut soutenir avec avantage, que la protection douanière fût alors légitime et opportune, sans que de ce précédent on puisse aucunement s'autoriser pour l'époque actuelle.”

jako przeciwstawienie wyrazu *wolność*, ten cła protekcyjne zwie *kompenzacyjnymi* i już potem nie zaprzecza, iż za ich pomocą należy *wyrównywać* na korzyść przemysłu krajowego warunki produkcji z przyjaźniejszymi gdzieindziej warunkami produkcji zagranicznej <sup>1)</sup>). Tym sposobem doktryna większej części ekonomistów zbliża się w praktycznych swych konkluzjach do stanowiska zajętego przez ministra de St. Cricq i jego naśladowców. Do tych zaś, którzy nie zwracając uwagi na wyższość sił przemysłu zagranicznego i nie licząc się z rzeczywistością, żądają absolutnego wprowadzenia systematu wolności handlowej, bez żadnego względu na jego następstwa dla kraju, można w istocie zastosować przytoczone wyżej zdanie profesora Perin'a.

I ci jednak niechęcy w swych pismach nic poświęcić z logicznych wyników teorii, posuwanych do krańcowości (*logiciens à outrance*), działają wprost przeciwnie temu co piszą, ilekroć im przychodzi kierować finansami, lub wpływać na ekonomią krajową; wtedy bowiem, jak to zauważono nie bez pewnej dozy soli atyckiej, sztandar swój chowają natychmiast do kieszeni <sup>2)</sup>).

Żaden też naród na kontynencie nie opuścił dotychczas systematu protekcyjnego i żaden rząd nie widział się być upoważnionym poświęcić rzeczywistość dla uczynienia zadosyć wynikom nauki, przywiązującej zamało wagi do faktów, które same jedne mogły być tymże wynikiem należytej dodać powagi. Żaden rząd niemógł przyjąć reguły, wedle której produkta płacą się produktami w tém znaczeniu, jakie do niej przywiązywali ekonomiści; nie tylko bowiem można za produkta

<sup>1)</sup> Tak czyni Leonce Laverne, jak świadczy cytacja str. 179 i 180 w tylokrotnie powoływaném dziele de St. Rémy.

<sup>2)</sup> „Lorsqu'il arrive, ce qui n'est pas sans exemple, que les vicissitudes de la politique portent à la tête de nos finances quelque économiste de profession, le premier soin du pauvre homme, c'est de mettre son drapeau dans sa poche, d'enfermer ses principes dans son tiroir et d'agir comme s'il n'avait jamais rien dit, ni rien écrit,” pisze książę Wiktor de Broglie (*Considérations sur la liberté commerciale*. Revue de deux mondes, z dnia 15 czerwca 1879 r., str. 848). Pomiedzy zaś kilku przykładami, jakie na dowód przytacza, najwybitniejszym jest przykład barona Louis, pierwszego ministra finansów we Francyi, po upadku Napoleona I, męża stanu wielkich zdolności i wielkiej siły charakteru. Objął on był wydział finansowy w chwili złamania przez Anglią systematu kontynentalnego, wtedy właśnie, gdy Francya uszczuplona w swych granicach, niemiała jeszcze ani komór, ani straży granicznej i gdy towary i produkta wchodziły do niej zewsząd, wolność zaś była właśnie w modzie do pewnego czasu przynajmniej, miał więc sposobność wprowadzić system wolności handlowej na podstawach jak najszerszych. A jednak Baron Louis, acz najgorliwszy uczeń Adama Smith i najzarliwszy zwolennik jego teorii, natychmiast zaprowadził we Francyi systemat protekcyjny, zrazu nieśmiało, za pomocą kilku środków rządowych, a wkrótce jawnie, przez prawo z dnia 17 listopada, 1814 r.

płacić z kapitału i wtedy kraj idzie do ruiny pod ekonomicznym względem, ale co jeszcze ważniejsza, sama materya, będąca przedmiotem przemysłu i pracy, jest w każdym kraju co do swęj ilości ograniczoną i nie mnoży się w nieskończoność. Gdyby więc skutkiem napływu produktów zagranicznych upadło kilka ważniejszych gałęzi przemysłu krajowego, zajęta przez nie ludność niemogłaby się zwrócić ku innęj pracy w pozostałych kierunkach działalności ekonomicznęj, już dostatecznie obsłużonych, a w nieskończoność mnożyć się niedających; nie miałyby więc ani pracy, ani zarobków. Każdy przeto rząd na kontynencie, zamiast oceniania naukowęj wartości tego, lub innego systematu cłowego, ma raczęj obowiązek zbadać, czy każda z ważniejszych gałęzi przemysłu krajowego (o któręj zachowanie dba), już dobrze obsługiwana przez klimat i naturę ziemi, przez nawyknięcie ludności pracującęj, przez wyrobienie jęj zdolności i przez nagromadzone kapitały, może nadal istnieć i pomyślnie się rozwijać bez potrzeby dalszęj osłony taryf cłowych <sup>1)</sup>).

To właśnie pytanie podjąwszy w r. 1860, rząd Napoleona III polecił przedewszystkiém wyższęj radzie rolnictwa, handlu i przemysłu zebrać dane i na ich podstawie uznać, iż w ówczesnym stanie produkcji francuzkięj można było odstąpić od zbytnięj surowości ówczesnęj taryfy cłowęj bez szkodliwych następstw dla kraju <sup>2)</sup>. Zniesiono zatém istniejące jeszcze bezwarunkowe zakazy wprowadzania do Francyi niektórejch produktów zagranicznych <sup>3)</sup>; zwolniono od cła wszystkie materyały surowe (*matières premières*); cła zaś protekcyjne od przedmiotów fabrykowanych utrzymano w wysokości 30% *ad valorem*. Wszystkie te zmiany objęte zostały traktatami handlowemi, zawartemi między Francyą i Anglią, a rozciągniętemi następnie do Belgii i kilku innych krajów <sup>4)</sup>.

<sup>1)</sup> Anglia nie pobiera żadnych ceł od przedmiotów fabrykowanych (Amé, *loc. cit.* t. II, str. 521); jest bowiem przeświadczoną, że żadna produkcya zagraniczna niemoże konkurować z angielską. Zanim jednak tego przekonania nabrała, trzymała się Anglia systematu protekcyjnego, od którego odstępując powoli i stopniowo, statyści angielscy objaśniali przy każdęj sposobności, iż chcą zawsze godzić potrzeby budżetowe z protekcyą przynależną przemysłowi krajowemu (Duc Victor de Broglie, *loc. cit.* str. 856 i 857). Kwestya zaś zbożowa i artykułów żywności, stała zawsze w Anglii poza obrębem systematu cłowego, a jęj rozwiązanie wchodziło w zakres *polityki*, która nad teoryami ekonomicznymi nigdy dominować nie przestanie.

<sup>2)</sup> To zbieranie danych (*enquête*) trwało od 1 maja do 24 sierpnia 1860 r. Minister handlu pytał o zdanie nietylko przedstawicielei każdęj gałęzi przemysłu krajowego, ale także i znakomitości przemysłowe z Anglii, Belgii i Szwajcaryi w celu poznania stosunków produkcji krajowęj w jęj konkurencyi z zagranicą (Amé, *loc. cit.* t. I, str. 311).

<sup>3)</sup> Wymienia je Amé, *loc. cit.* w przypisku str. 287, t. I.

<sup>4)</sup> Amé, *loc. cit.* t. I, roz. XIII. Ludwik Wolowski, *loc. cit.* str. 48.

Czy te zmiany przeprowadzone w kierunku teorii wolno handlowej przyniosły Francji lub Belgii więcej pożytku niż szkody, o tém cudzoziemcy niemają kompetencji wyrokować <sup>1)</sup>; mogą tylko zaznaczyć, iż w samej Francji i Belgii zdania są pod tym względem bardzo podzielone <sup>2)</sup>. Godzi się wszakże zwrócić uwagę na to, iż jednym z pozytywnych następstw zastosowania wolności handlowej, miała być wedle ekonomistów *taniość* wszelkich artykułów pierwszych potrzeb, a tymczasem drożyzna wszystkich artykułów żywności, czyli tego co każdy musi kupować codziennie, przybrała wszędzie przerażające rozmiary właśnie po roku 1860, a staniały w nieznacznym stosunku tylko takie przedmioty, które (jak np. perkale) każdy kupuje raz na rok; że więc pod względem zaprowadzanej taniości, próba uczyniona w kierunku teorii wolno handlowej zrobiła widoczne *fiasko*. Spodziewać się należało, iż wobec takiego niepowodzenia, podkopującego ten właśnie argument, który najsilniej przemawia do klas pracujących, ekonomiści stawiać zaczęły teorią wolności handlowej w sposób mniej absolutny. Publiczność bowiem interesuje się jedynie cenami istniejącymi w handlu detalicznym, nie zaś naukową wartością teorii abstrakcyjnych i po-

<sup>1)</sup> Sądy niektórych naszych dzienników o świeższej reformie cłowej przeprowadzonej w Niemczech w kierunku protekcyjnym, były zadorywcze i przedwczesne. Powtarzamy, że cudzoziemcy nie są kompetentnymi do oceniania już dziś téj reformy, z objaśnień zaś składanych parlamentowi niemieckiemu przez mówców rządowych dałby się raczej wyprowadzić ten wniosek, że wobec upadku przemysłu niemieckiego, niemogącego widać wytrzymać konkurencji z krajami Zachodu, książe kanclerz uznał konieczność pójścia w ślady Colbert'a i Cromwella, lub wzięcia za przykład silnie protekcyjne prawodawstwo Stanów Zjednoczonych Ameryki. Kwestya ceł zbożowych, acz mogąca oddziałać na drożyznę artykułów żywności, także niemoże być dostatecznie ocenioną bez danych, dla cudzoziemca jeszcze niedostępnych. Gdy jednak jest wiadomém, że Niemcy w latach normalnego urodzaju produkują tyle zboża, ile potrzebują na konsumacyą wewnętrzną i gdy z drugiej strony jest do przewidzenia, że w latach anormalnych nieurodzaju, dekret cesarski zawiesi pobór cła od zboża zagranicznego na czas, dopóki deficyt nie zostanie pokrytym i w téj przeto kwestyi wypadałoby powstrzymać się z sądami i oczekiwać na fakta wykazujące rezultat rzeozonej reformy w praktyce.

<sup>2)</sup> Czego dowodem ciągle w obu krajach dyskusye w ciałach prawodawczych i nieustające spory w druku za i przeciw systematowi protekcyjnemu, np., pismo miesięczne wychodzące w Brukselli: *L'économie nationale des peuples* jest jednym z objawów trwania téj walki. Główny redaktor tego czasopisma Juliusz Borain wydał w Brukselli 1878 r. książkę p. t.: *Les énormités du libre échange anglais*, książkę z powodu namiętnego stylu graniczącą z pamphletem i wprawdzie niemającą żadnej wartości naukowej, zawierającą przecież mnóstwo cyfr i danych statystycznych w celu wykazania, że utrzymanie teorii wolno handlowej w stosunku z Anglią, musi spowodować ekonomiczny upadek kraju, nawet tak przemysłowego jak Belgia.



żytek lub szkodliwość każdego systematu podatkowego lub cłowego mierzy wyłącznie taniością, lub drożyzną w tymże handlu. Ekonomisci przecież, jak słusznie zauważono, stają w obronie absolutnej wolności handlowej, dla honoru chorągwi <sup>1)</sup> i temu bezwątpienia przypisać należy, iż właśnie po roku 1860 zwrócili się nawet przeciwko cłom *fiskalnym* <sup>2)</sup>.

Prawowitość ceł fiskalnych nie była poprzednio zaprzeczana przez żadną szkołę; jeżeli bowiem podatki źle oparte, lub wydatkowane nieprodukcyjnie, są w imię i nauki i polityki i moralności potępianymi przez wszystkich myślicieli, wszyscy przecież bez różnicy obozu, do którego należą, zgadzają się na to, że podatki ustanowione dobrze, rozłożone sprawiedliwie i użyte produkcyjnie, przynoszą społeczeństwu więcej niż mu zabierają, iż są one właśnie najenergiczniejszym wyrazem idei stowarzyszenia ludzi w organizmy narodowe i najsilniejszą dźwignią działalności społecznej. Jakoż narody, któreby odmawiając podatków nie wytwarzały środków potrzebnych do ciągłego udoskonalania całego swego przyrządu społecznego, szłyby niewątpliwie prostą drogą do upadku. Postęp moralny, naukowy i ekonomiczny, wymiar sprawiedliwości, bezpieczeństwo na wewnątrz i na zewnątrz tym jedynie zapewnia się kosztem. Wiemy z własnego doświadczenia, iż nie dające się obliczyć, a najsmutniejsze następstwa i kara wymierzona z największą lichwą spada w bliżkiej przyszłości na każdy naród, który kiedykolwiek poskąpi podatku na czynienie zadosyć tym wszystkim potrzebom swego interesu ogólnego. To niebezpieczeństwo jest znaniem wszystkim ekonomistom bez różnicy ich poglądów na teorią wol-

<sup>1)</sup> „On dispute pour l'honneur du drapeau.” Victor duc de Broglie, *loc. cit.* str. 859.

<sup>2)</sup> Wiadomo, że cła są *ab initio* fiskalnymi, gdy padają na takie przedmioty z zagranicy sprowadzane, których kraj u siebie niema i których sam nie produkuje, jak np., od wina lub jedwabiu w Królestwie Polskim. Cła zaś pobierane od takich wyrobów, które są już przedmiotem produkcji krajowej (*industries similaires*), przestają być protekcyjnymi i przeistaczają się w cła także fiskalne, ilekroć nie osłaniają do tego stopnia miejscowego przemysłu wobec konkurencji zagranicznej, iżby on mógł mieć za swe wyroby cenę dozwalającą mu nadal istnieć, *prix rémunérateur* zwaną. Udeterminowanie tej ceny jest wprawdzie trudnym, gdyż koszta produkcji (*prix de revient*) w żadnej gałęzi przemysłu nie są ani stałe, ani we wszystkich fabrykach jednakowe. Wysokość ich bowiem jest zależną od miejscowości, rozmiarów i środków komunikacji każdej fabryki, od ilości jej rocznej produkcji, od stosunku jej własnego kapitału obrotowego, lub stopnia łatwości kredytu, wreszcie od znajomości rzeczy administratora fabryki i zdolności, z jaką prowadzi jej interesa. W każdej przeto gałęzi przemysłu taż sama cena może bogacić jedną, a rujnować drugą fabrykę. W rzeczy podatku i ceł należy więc brać w rachubę cenę *przeciętną*, jako najbliższy, acz tylko przybliżony wyraz dla całej gałęzi danego przemysłu.

ności handlowej, żaden z nich zasadzie podatków przeciwnym nie jest; z pomiędzy zaś wszystkich podatków, cła fiskalne są niewątpliwie opłatami najsprawiedliwszemi i najmniej uciążliwemi. To też w chwili najgorętszej walki przeciwko systematowi protekcyjnemu, toczącej się we Francyi pod koniec panowania Ludwika Filipa, Bastiat krytykując podstawę ceł protekcyjnych, najwyraźniej uznawał prawowitość ceł fiskalnych <sup>1)</sup>. A jednak gdy Léonce de Lavergne poddał był w r. 1868 pod rozbiór paryzkiego Towarzystwa ekonomistów pytanie, czy cła zniesione jako przyrząd protekcyjny, mają być utrzymanemi w charakterze przyrządu fiskalnego? nie otrzymał odpowiedzi twierdzącej i chociaż dowodził, że cło jest podatkiem najmniej uciążliwym, że pożyteczniej jest obciążać opłatami na rzecz skarbu produkta zagraniczne niż krajowe i lepiej żądać sto milionów więcej od ceł, a jednocześnie umniejszyć w zamian o sto milionów inne podatki uciążliwsze; większość ekonomistów na posiedzeniu obecnych uznała, iż pobór ceł fiskalnych będzie zawsze protekcyą ukrytą, pozwalającą krajowcom przedawać produkta po cenach wyższych niż te, któreby istniały wobec konkurencyi zagranicznej, niczém nie krępowanej <sup>2)</sup>.

Przyznając prawu solidarności narodowej znaczenie donioślejsze i stanowisko dominujące nad prawem solidarności rodu ludzkiego, przyjmujemy zarazem poglądy statystów francuzkich, przeciwne doktrynie międzynarodowej zamiany nieregulowanej cłami protekcyjnymi; a nawet nie wahamy się wyrazić, że dopóki świat nie przestanie się składać z organizmów narodowych lub państwowych, a każdy z nich mieć będzie właściwe sobie prawodawstwo i podatkowość, dopóty każdy z nich mieć będzie zarazem swój odrębny interes, bardzo często sprzeczny z interesem innych takichże organizmów; skutkiem czego znajdzie się w konieczności osłaniać cłami te gałęzie swego przemysłu, w których istnieniu upatrywać będzie jeden z warunków rozwoju swej kultury lub swojej cywilizacyi. Każdy z tych organizmów będzie usiłował rozwijać swą międzynarodową zamianę w stosunkach z organizmami w przemyśle słabszemi, tak samo jak to dziś czyni Anglia; ale żaden z nich nie zechce znieść ceł protekcyjnych w stosunkach z organizmami mającemi produkcją więcej rozwiniętą i silniejszą. Te bowiem cła będą zawsze jedynym środkiem równoważącym warunki w konkurencyi przemysłu krajowego z przemysłem zagranicznym.

1) „La douane peut être une machine fiscale aussi bonne qu'une autre. Je suis si loin de demander la suppression des douanes, que j'y vois pour l'avenir l'ancre de salut de nos finances.” (*Sophismes économiques*, 3 éd. Paris. 1847, str. 8).

2) Sprawozdanie z posiedzenia rzeozonego Towarzystwa, odbytego d. 5 marca 1868 r., na którym rozbievano pytanie przez Léonce'a de Lavergne wniesione: *La douane en disparaissant comme instrument de protection, doit-elle être maintenue comme instrument fiscal?*

A porównyując warunki produkcji Królestwa Polskiego w ogólności, w szczególności zaś fabrykacji cukru w témże Królestwie, jako bezpośredniego przedmiotu tych studyów, jesteŃmy w konieczności przyznać, że ona stoi na protekcyi ceł i nie mogłaby nawet u siebie w miejscu wytrzymać konkurencyi z przemysłem nietylko angielskim lub francuzkim, ale nawet z produkcyami narodów sąsiednich.

Zwracając się zaś do pytania konkretnego podjętego przez nas w rozdziale poprzedzającym, czyli odnosząc zestawione wyżej poglądy do przemysłu Cesarstwa w ogólności, a w szczególności do fabrykacji cukru z buraków, poważamy się te uczynić uwagi, że naród, jak uczą jego właśni historycy, rozpoczął był swą karierę ekonomiczną dopiero od Piotra W., który do dziś uznaje jeszcze potrzebę oznaczania u siebie rejonów i czynienia między niemi różnicy w rzeczach podatkowych i który na kartach swych dziejów nie zapisał dotąd nazwisk równoznaczających z nazwiskami Colbert'a i Necker'a, ma przed sobą pilniejsze i ważniejsze zadania ekonomiczne, niż podejmowanie próby systematu wolności handlowej, nie przyjętego dotychczas przez żaden kraj kontynentu.

Ogromne przestrzenie zamknięte granicami Imperyum i jego 80 milionowa ludność, czynią z jego targów jedno z większych, a w przyszłości uczynić z nich mogą jedno ze wspanialszych miejsc zbytu (*débouchée*). Są one głównym bodźcem niezaprzeczonego zresztą rozwoju przemysłu krajowego, w ciągu zwłaszcza ostatnich lat 20-tu; zadaniem statystów jest więc te miejsca zbytu obrócić na pożytek własnego organizmu państwowego; zachować je dla miejscowych produkcji, jako jedną z dźwigni przemysłu krajowego i ogólnego dobrobytu. Otworzenie zaś rzeczonych targów dla produkcji zagranicznych byłoby właśnie temu zadaniu przeciwném. Nieustające usiłowania Prus i Niemiec, zagarnięcia tych targów są najwyraźniejszym tego dowodem. Imperyum jest zresztą w tém szczęśliwém położeniu, iż bez względu na wysokość swęj taryfy nie potrzebuje się bynajmniej obawiać, iżby jego zboże i inne materyały surowe miały nie być kupowanemi przez zagranicę, która bez tego zboża i bez tych materyałów obejść się nie jest w możności; długiego zaś szeregu lat jeszcze na to potrzeba, ażeby miejscowy przemysł rozwinął się do tego stopnia, iżby dlań miejscowe targi okazały się być zaszczupłemi. Wobec czego ciągły rozwój ekonomiczny i wzrost ogólnego dobrobytu byłyby właśnie niewątpliwemi, gdyby zbliżanie się do systematu wolności handlowej było stanowczo zaniechaném. A nawet, gdy przemysł krajowy rozwinie się do tego kresu, że już wszystkie potrzeby mieszkańców zaspakajać potrafi, jeszcze i wtedy mógłby on nie troszczyć się o pozyskanie dla swych produkcji miejsc zbytu na Zachodzie, mając przed sobą cały Wschód, któremu najskuteczniej nieść może cywilizacyą, właśnie za pomocą stosunków handlowych.

Systemat protekcyjny będzie więc dla Imperyum na bardzo długo oczywistą koniecznością i dlatego w materyałach przygotowawczych

do nowej ustawy o podatku od cukru spodziewaliśmy się wyczytać wnioski o podwyższenie cła, podwyższeniu akcyzy odpowiednio i o przywrócenie różnicy między drogą lądową i morską. Cła bowiem wszędzie i zawsze są w ścisłym związku z podatkowością; dotychczasowe rubel 1 kop. 50 od puda, jak to wyżej wykazano rachunkiem, zaledwie nazwać się mogą protekcyjnymi; z chwilą zaś podwyższenia akcyzy o 200%, a przynajmniej o 100%, *przeistoczą się one w cła czysto fiskalne*. Co znaczy, iż względem przemysłu cukrowniczego, Imperyum wejdzie (być może bezwiednie) na drogę wolności handlowej. Krok bardzo ważny, jak nas uczy historia podatkowości krajów Zachodu; a jednak w odczytanych przez nas materyałach i źródłach nie dostrzeżliśmy ani żadnych wniosków, ani żadnych w tej materii objaśnień.

## XV.

Ze wszystkich przeto trudności, stających w poprzek na drodze dalszego rozwoju cukrownictwa w Królestwie, a potęgujących się co lat kilka, najdonioślejszemi są: podatkowość w swój zasadzie wadliwa i systemat cłowy w swych celach chwiejny.

Tym wszystkim trudnościom stawiając czoło, znalazła wprawdzie ta gałąź przemysłu przypadkową pomoc w upadku waluty rosyjskiej; pomoc bez zaprzeczenia rzeczywistą i skuteczną, ale nie téj trwałości, iżby braną być mogła za podstawę do pozytywniejszych wniosków na przyszłość. Jak to bowiem już nadmieniono, rubel kredytowy może wrócić do kursu, po jakim był przyjmowany w Europie pod koniec roku 1863, a tém samém obalić wszelkie rachuby, jakieby fabrykacya cukru czynić chciała na podstawie dzisiejszych ceduł giełdowych. A w téj pomocy, wynikającej z upadku waluty rosyjskiej, już mieszczą się zarazem i ułatwienie zapewnione fabrykom przez skarb w rodzaju francuzkiego *drawbaku* i rozkaz pobierania cła w złocie, a nawet korzyść z wyjątkowego zapotrzebowania tutejszego cukru przez zagranicę, wywołanego anormalnym nieurodzajem buraków na Zachodzie. Jakoż przepis o zwrocie podatku od cukru wywożonego zagranicę, wydany jeszcze w r. 1872, acz w zasadzie roztropny i pożyteczny, pozostawał przecież martwą literą, aż do początku zawikłań wschodnich, które obniżyły kurs rubla kredytowego i fabryki znalazły się w możności zeń korzystać dopiero wobec *agio* 65 do 75% na kurancie pruskim<sup>1)</sup>. Pobieranie znowu cła w złocie równa się jego podwyższeniu, dopóki rubel kredytowy nie wróci do swój wartości. Wykazaliśmy zresztą rachunkiem, że nawet podrożenie cukru we Francyi, owym nieurodzajem buraków spowodowane, nie byłoby dozwoliło fabrykom Królestwa przedawać swe cukry zagranicę, gdyby jednocześnie nie był przyszedł upadek waluty rosyjskiej.

<sup>1)</sup> Zwrot podatku od cukru wywożonego zagranicę, zapewnionym został poraz pierwszy postanowieniem komitetu ministrów z d. 5 marca 1872 r. (*Dokład. str. 59; Obzor. str. 148 i 150*).

Nie zaprzeczając bynajmniej doniosłości téj pomocy, musiał przecież przemysł cukrowniczy szukać w samym sobie środków, mogących go zasłonić przed niebezpieczeństwem, jakie mu groziło ze wszystkich stron razem i rzeczywiście rozwinął we wszystkich kierunkach działalność, przynoszącą świadectwo rozumu i energii.

Jakoż w celu zapewnienia sobie buraków, zawierających największy, o ile można, procent słodczy, fabryki same dostarczają bezpłatnie plantatorom nasienie buraczane, sprowadzane z zagranicy, zobowiązując ich, iżby nie używali innego <sup>1)</sup>. W celu zaś postawienia plantatorów w możności dopełniania odpowiedniej uprawy buraków, fabryki czynią im zaliczenia dwojakiego rodzaju: jedne bez hypotecznego zabezpieczenia po 20 rubli na każdą morgę, wydawaną w połowie na wiosnę a w połowie na jesień; drugie za zabezpieczeniem hypotecznym, czynione w sumach znacznych (po kilka, kilkanaście, a nawet po 30,000 rubli), wypożyczanych na procent w stosunku 6% rocznie, zwracanych w ciągu lat kilku, przez odpowiednie co rok potrącania z ceny za dostawione buraki. Właściciele ziemscy w tych okolicach, w których istnieją cukrownie, mają przeto kredyt łatwy i tani i korzystają w szerokim zakresie z tego położenia wyjątkowo dogodnego <sup>2)</sup>.

Fabryki pomyślały jednocześnie o udogodnieniu odstawy buraków. Niezależnie przeto od pobudowania dróg żelaznych lub bitych, łączących fabrykę z najbliższą stacją drogi Warszawsko-Wiedeńskiej lub Bydgoskiej, pourządzały zarazem komunikacye drogami bitymi między różnemi miejscowościami i fabryką lub jej składami buraków, istniejącymi w znacznych od niej odległościach. Słowem, acz we własnym, dobrze zrozumianym interesie, fabryki cukru zapewniły rolnictwu krajowemu bezporównania większe ułatwienia i dogodności, niż każda inna gałąź przemysłu, która od niego kupuje materiały surowe, lub która jest z niem w stosunku.

W obec znowu podrożenia buraków o 100% w stosunku do cen płaconych przed r. 1850 i konkurencyi fabryk ukraińskich i podolskich, płaćcych tyle za berkowiec 480 funtowy, ile fabryki Królestwa płaćą za korzec 300 funtowy, nie mogły one swego istnienia zabezpieczyć inaczej, jak przez podniesienie procentu wydajności cukru. Pilnie

<sup>1)</sup> Koszt zakupu tego nasienia, ponoszony przez fabrykę, wynosi przeszło 5,000 rubli rocznie; drukowane sprawozdania towarzystw akcyjnych są tego dowodem; por. np.: *Sprawozdanie Warszawskiego towarz. fabr. cukru za rok 1877/8*, str. 7, wykazujące, iż w tymże roku fabryki: Walentynów i Tomczyn wydały na ten cel 5,044 rubli 65 kop., Ostrowy zaś 6,966 rubli 95½ kopiejek.

<sup>2)</sup> Zaliczenia hypoteczne na uprawę buraków wynosiły z d. 31 lipca 1878 r. w Warsz. towarzyst. fabryk cukru rub. 262,076 kop. 54½; w fabryce Józefów rub. 117,684 kop. 79; w fabryce Dobrzelin rub. 54,673 kop. 24 (porów. *Bilanse tychże Towarzystw*, zamieszczone w drukowanych *Sprawozdaniach za rok 1877/8*). W ciągu r. 1878/9 sumy tych zaliczeń znacznie wzrosły w tych fabrykach.

badając techniczną stronę fabrykacji we Francji, w Belgii i w Niemczech, korzystały one z każdego wynalazku, podnoszącego tę wydajność i niezwłocznie zaprowadzały u siebie nowe urządzenia fabryczne, nie szcędząc na to kosztów. I rzeczywiście, zamiast 5 lub 6 funtów (jak przed r. 1850), otrzymują one 9 funtów cukru z centnara buraków <sup>1)</sup>; gdy tymczasem fabryki Cesarstwa pozostały przy wydajności normalnej, zaliczanej do akeyzy; co poświadcza urzędowe źródło <sup>2)</sup> i co zresztą wykazują drukowane ich sprawozdania. Bez tej powiększonej wydajności nie mogłaby już istnieć żadna fabryka cukru w Królestwie.

Większa wydajność nie byłaby sama jedna równoważyła podrożeń buraków i jednoczesnego obniżania się cen cukru; fabryki przeto zwróciły swe usiłowania ku oszczędnościom na innych kosztach produkcji. Droższą pracę ludzką zastąpiły maszynami, ilekroć i gdzie było to możliwem. Wobec rosnących cen drzewa, zwróciły się do węgla kamiennego, a następnie do miatu węglowego i w tym celu powiększyły liczbę kotłów, zaprowadziły ruszty i inne odpowiednie urządzenia ognisk i rur w taki sposób, iżby przy używaniu najtańszego z materiałów opałowych, otrzymywać zeń największą siłę ognia i najwięcej pary, tę zaś ostatnią zużytkowywać kilkakrotnie tak długo, dopóki się da. Na tej jednej kategorii opału otrzymano już bardzo znaczne oszczędności wydatku <sup>3)</sup>. Z uwagi, że każda najmniejsza oszczędność na produkcji z centnara buraków, chociażby wyrażająca się w setnych ułamka kopiejki, pomnożona przez liczbę centnarów przerabianych w każdej kampanii, tworzy poważną rubrykę, fabryki studyują troskli-

1) Wedle ksiąg fabryki Hermanów, wydajność cukru z centnara buraków w latach od 1838/9 do włącznie r. 1867/8 wyniosła przecięciowo po 6<sup>1</sup>/<sub>4</sub> funt. Wydajność ta wzrastała następnie jak następuje: w r. 1868/9 8,84 funt.; w r. 1869/70 8,65 funt.; w r. 1870/1 8,80 funt.; w r. 1871/2 9,34 funt.; w r. 1872/3 8,91 funt.; w r. 1873/4 9,03 funt.; w r. 1874/5 9,59 funt. Można więc za podstawę rachunku przyjąć 9 funt., czyli 9<sup>0</sup>/<sub>0</sub>. Wedle znowu ksiąg fabryki Krasiniec (w gub. Płockiej), też wydajność wynosiła: w r. 1868/9 8,<sup>11</sup> funt.; w r. 1869/70 7,<sup>85</sup> funt.; w r. 1870/1 8,<sup>28</sup> funt.; w r. 1871/2 7,<sup>90</sup> funt.; w r. 1872/3 7,<sup>70</sup> funt.; w r. 1873/4 8,<sup>23</sup> funt.; w r. 1874/5 9,<sup>22</sup> funt.; w r. 1875/6 9,<sup>10</sup> funt.

2) *Kratkij oczerk...* str. 227 „tolko na zawodach Carstwa Polsk. w wychodach sachara (w widzie peska ili rafinada) okazywałos poczti postojannoje przewyszenije (za weśma nemnogimi iskluczenijami), czto, kak i bolszyje wychody utfolia, ukazywajet na bolije tszczatelnuju ich rabotu.”

3) W fabryce Ostrowy opał kosztował w r. 1875/6 rub. 113,566 kop. 88; w r. 1877/8 rub. 80,102 kop. 55. Jeszcze znaczniejszą oszczędność wykazują drukowane sprawozdania fabryk: Walentynów i Tomczyn, które wydatkowały na opał: w r. 1873/4 rub. 125,589 kop. 14; w r. 1874/5 rub. 95,719 kop. 58<sup>1</sup>/<sub>2</sub>; w r. 1875/6 rub. 82,401 kop. 85<sup>1</sup>/<sub>2</sub>; w r. 1876/7 rub. 76,089 kop. 84; w r. 1877/8 rub. 59,357 kop. 32, czyli o połowę mniej niż przed 5 latami.

wie każdą pozycję kosztów fabrykacji i czynią wszelkie możliwe usiłowania, by każdą z nich obsłużyć mogły taniej.

Wszystkie w powyższych celach czynione wydatki, acz bardzo znaczne, były zawsze wydatkami produkcyjnymi, skoro wpływały na doskonalenie fabrykacji i warunkowały postęp przemysłu cukrowniczego. Znaczne przecież kapitały wydatkowały także fabryki na maszyny i urządzenia nie polepszające fabrykacji, lecz tylko ją przyspieszające, śpieszniejsza bowiem fabrykacja była koniecznością wobec dotychczasowego systemu podatkowego i często podwyższanych norm akcyzy dziennego przerobu; te zaś wydatki, jak wykazano w ciągu tego studyum, były dla ogólnej ekonomii kraju widocznie bezowocnymi.

Fabryki poświęciły znaczne kapitały nawet w ostatniem trzechleciu na cele wyżej wymienione <sup>1)</sup>. Ileżto milionów wydaty wszystkie

<sup>1)</sup> Fabryka Hermanów wydatkowała w ciągu lat 10 (1865/6—1874/5) na wydoskonalenie swój fabrykacji rub. 176,886. Fabryka Józefów wydatkowała na też cele: w r. 1874/5 rub. 47,741 kop. 89; w r. 1875/6 rubli 33,436 kop. 68; w r. 1876/7 rub. 36,376 kop. 60; w r. 1877/8 rub. 7,703 kop. 15, czyli razem w ciągu 4-ch lat rub. 125,258 kop. 32; niezależnie od wydatków na odnowienie zużywających się przyrządów, czyli tak zwane rekonstrukcje, wynoszących w ciągu tychże 4-ch lat rub. 15,942.

Fabryka Dobrzelin powiększona i przerobiona w r. 1873 kosztem przeszło 200,000 rub. wydatkowała na nowe urządzenia w r. 1874/5 rub. 12,402 kop. 11; w r. 1875/6 rub. 4,164 kop. 69; w r. 1876/7 rub. 4,465 kop. 1; w r. 1877/8 rub. 16,645 kop. 74 i wyznaczono na tenże cel na r. 1878/9 rub. 30,000, razem rub. 67,677 kop. 35.

Fabryka Ostrowy wydatkowała na nowe urządzenia w r. 1875/6 rubli 41,139 kop. 6; w r. 1876/7 rub. 11,102 kop. 98<sup>1</sup>/<sub>2</sub>; w r. 1877/8 rubli 14,437 kop. 26<sup>1</sup>/<sub>2</sub> i wyznaczono na tenże cel na rok 1878/9 rub. 30,000, razem rubli 96,679 kop. 31.

Fabryki Walentynów i Tomczyn wydatkowały na tenże cel w r. 1872/3 rub. 36,000 kop. 78; w r. 1873/4 rub. 50,496 kop. 34<sup>1</sup>/<sub>2</sub>; w r. 1874/5 rub. 4,406 kop. 22<sup>1</sup>/<sub>2</sub>; w r. 1875/6 rub. 22,602 kop. 39; w r. 1876/7 rubli 13,480 kop. 47; w r. 1877/8 rub. 27,594 i <sup>1</sup>/<sub>2</sub> kop. i wyznaczono na rok 1878/9 rub. 30,000; razem w ciągu lat 7-iu rub. 184,580 kop. 21<sup>1</sup>/<sub>2</sub>; niezależnie od wydatków rekonstrukcyjnych rub. 22,607 kop. 24<sup>1</sup>/<sub>2</sub>.

W drukowanych sprawozdaniach, z których powyższe cyfry są wypisane, niema rozróżnienia wydatków nieprodukcyjnych na samo przyspieszanie fabrykacji, od wydatków na jej udoskonalenie; rozróżnienie to byłoby niewątpliwie pouczającym w kwestyi oddziaływania systemu podatkowego na przemysł cukrowniczy.

Objasnić jeszcze należy, że wszystkie wymienione wyżej fabryki, pod względem urządzenia i zaopatrzenia we wszystkie przyrządy fabryczne są niewątpliwie pierwszorzędnymi w kraju. Mogłyby przeto iść bez nowych nakładów, gdyby nie potrzeba zaprowadzania nowych ulepszeń i wynalazków, a w części nie konieczność takich przyrządów i maszyn, które pozwalają na przyspieszanie fabrykacji.

razem na doskonalenie fabrykacji przez cały czas istnienia w Królestwie tój gałęzi przemysłu.

Ta przecież praca, połączone z tyłu nakładami, nie pozostała bezowocną, skoro jednocześnie z powiększeniem wydajności cukru, koszta jego fabrykacji znacznemu uległy pomniejszeniu <sup>1)</sup>. W tym zaś podwójnym rezultacie szukać należy odpowiedzi na pytanie, jakim sposobem przemysł cukrowniczy w Królestwie zdołał dotychczas uniknąć upadku wobec tyłu trudności, jakie zewsząd gromadziły się na jego drodze.

Era wynalazków nie jest jeszcze zamkniętą; fabryki więc nie przestaną bezwątpienia i w przyszłości łożyć koszta celem zapewnienia sobie dalszego postępu technicznego. Stać bowiem w miejscu, gdy fabrykacja doskonali się gdzieindziej, gdy albo dochodzi do większej wydajności cukru, albo mniejsze ponosi koszta przerobu buraków, znańczyłoby (jak zresztą w każdym przemyśle), cofać się wstecz i zbliżać do upadku. Nieustanne przecież zmiany norm podatkowych, pociągają fabryki do wyrzucania przyrządów i maszyn acz nie pozostawiających nic do życzenia i funkcjonujących dobrze i do zastępowania ich innemi. Te zmiany są zazwyczaj bardzo kosztownemi, skoro maszyny i przyrządy wychodzące z użycia, przedawać wypada po cenach starego żelaztwa i miedzi. Takiż bezpośredni skutek norm podatkowych, mających od września 1880 roku zastąpić normy dotychczasowe, będzie wkrótce dla każdego widocznym, przed tym bowiem terminem fabryki prasowe przeistoczą się niewątpliwie na dyfuzyjne.

Nowsze fabryki cukru w Królestwie urządzone były wedle systemu dyfuzyjnego, przedstawiającego pewne ułatwienia w samej fabrykacji. Nie przeistaczano przecież fabryk prasowych, będących jeszcze w stanie zupełnie dobrym; praktyka bowiem przynosiła przekonanie, iż one nie ponoszą bynajmniej ani większych kosztów fabrykacji, ani nie otrzymują mniejszej wydajności cukru, ani wreszcie pod względem wysokości corocznych czystych zysków, nie stoją niżej od fabryk dyfuzyjnych. W celu zaś przeistoczenia swego systemu prasowego na dyfuzyjny, każda fabryka byłaby w konieczności ponieść jednorazowy wydatek mniej więcej 60,000 rs.; wydatek, wobec dotychczasowych rezultatów fabrykacji na prasach, widocznie tylko *pour l'a-*

<sup>1)</sup> Koszta fabrykacji cukru, odniesione do stu funtowego centara buraków, w fabrykach Walentynów i Tomczyn (wprawdzie łącznie z kosztami przerafinowania tegoż cukru) wynosiły: w r. 1873/4 po rubli 1 kop. 20; w r. 1874/5 po rubli 1 kop. 15<sup>1/2</sup>; w r. 1875/6 po 96,<sup>07</sup> kop.; w r. 1876/7 po 97,<sup>35</sup> kop. w r. 1877/8 po 90,<sup>46</sup> kop.

Takież koszta w fabryce Ostrowy wynosiły w r. 1875/6, po 97,<sup>79</sup> kop.; w r. 1876/7 po 91,<sup>5</sup> kop.; w r. 1877/8 po 89,<sup>10</sup> kop. W fabryce zaś Dobrzelin: w r. 1873/4 po rub. 1 kop. 15,<sup>18</sup>; w r. 1874/5 po rub. 1 kop. 10,<sup>72</sup>; w r. 1875/6 po kop. 99,<sup>60</sup>; w r. 1876/7 po kop. 92,<sup>40</sup>; w r. 1877/8 po kop. 91,<sup>61</sup>.



*mour de l'art* i bez żadnego pożytku. Wobec wysokości przyszłych norm do obliczenia dziennego przerobu na prasach, każda z pierwszorzędnych nawet fabryk prasowych musiałaby wyrabiać cukier z widoczną swą stratą; każda z nich przeto będzie w konieczności przeistoczyć się w dyfuzyjną przed rozpoczęciem kampanii 1880/1 roku i poświęcić w tym celu znaczny kapitał <sup>1)</sup>.

## XVI.

Nadejdzie przecież chwila, w której wszelkie dalsze usiłowania fabryk, wykazane w rozdziale poprzedzającym, do ostatecznego dojdą kresu. Chociażby w skutek przyszłych wynalazków i dalszego rozwoju mechaniki dawała się wydobywać z buraka i ta część cukru, jaka dotychczas pozostaje w wytlokach; i ta przecież część nieskończoną nie jest, lecz jak każda materya ma właściwą dla siebie granicę, która udaremni wszelkie dalsze usiłowania. Dowodzić zaś nie ma potrzeby, iż dalszemu zmniejszeniu kosztów fabrykacji cukru położy kiedyś kres sama natura rzeczy.

Nie da się dziś ani przewidzieć do jakiego stopnia owe usiłowania fabryk będą jeszcze możliwemi i skutecznemi, ani bliżej oznaczyć kiedy właśnie nadejdzie ów moment, w którym cukrownictwo zaprzestanie oczekiwać dalszego powiększania wydajności cukru, lub dalszego zmniejszania kosztów fabrykacji; ani wreszcie ocenić, jak będą się stawiać te oba czynniki produkcji w każdym ze stadyów, przez które przechodzić mu przyjdzie, zanim do rzeczonoego dojdzie kresu. Każdy przeto statysta ma obowiązek brać w rachunek dzisiejszą wydajność cukru i dzisiejsze koszta jego fabrykacji, czyli za punkt wyjścia przy-

<sup>1)</sup> Stosunek podwyższenia podatku dla każdej fabryki, któraby nie zmieniała liczby i wielkości dotychczasowych pras, podatku, jaki musiałaby płacić w skutku nowych norm, zatwierdzonych na dwa okresy: 1880/83 i 1883/6, objaśnia tablica następująca:

wymienienie fabryki	liczba pras użytych obec- nie do fabr.	w kampan. 1878/9		wedle nowych norm			
		przyjmo- wan. do rachunku ake iż przer- nie do fabr. na dobę berk.	placilla więc akcyzy za ka- żdy dobę fa- brykacji po rubli	poczytywać się bę- dzie, iż przerobiła w ciągu każd. dob. berk.		musiałaby więc płacić akcyzy za każdą dobę fabryk., rubli	
				w okr. 1880/3	w okr. 1883/6	w okr. 1880/3	w okr. 1883/6
Ostrowy ....	8	544	326 k. 40	1305, <sup>6</sup>	1568, <sup>64</sup>	757 k. 25	909 k. 81
Walentynów.	2	210	126 —	613, <sup>48</sup>	736, <sup>40</sup>	355 „ 82	427 „ 11
Tomczyn....	2	210	126 —	404, <sup>02</sup>	484, <sup>08</sup>	234 „ 33	281 „ 29
Dobrzelin...	3	315	189 —	919, <sup>5</sup>	1104, <sup>6</sup>	533 „ 73	640 „ 67

mować dane istniejące, wiadome. Na ich zaś podstawie czynione obliczenia prowadzą do wniosku, iż wobec norm na dwa trzechletnie okresy (1880/3 i 1883/6) bardzo znacznie podwyższonych, fabryki gospodarczo-rolnicze i mniejsze, a zwłaszcza nie mające środków do przeistoczenia się na fabryki dyfuzyjne, zaczną upadać z początkiem kampanii 1880/1 r.; cały zaś przemysł cukrowniczy zginie z chwilą, w której cło od cukru zagranicznego przestanie być skutecznie protekcyjnym.

Stoi więc ta gałąź przemysłu wobec dwu alternatyw: jednę, już dziś niewątpliwą, a której ostatecznym wyrazem będzie zmniejszenie liczby fabryk cukru w Królestwie; drugą, jeszcze niepewną, ale obecnie powstrzymaną samym jedynie kursem rubla, grożącą zupełnym upadkiem wszystkich fabryk, w razie gdyby statysci, ulegając urokowi teorii wolnego handlu, odstąpić mieli od systematu protekcyjnego. Obiedwie oddziaływać będą ujemnie na ekonomią Królestwa i dobrobyt jego mieszkańców; w szczególności zaś staną się szkodliwymi dla rolnictwa krajowego.

Jakoż koniecznym warunkiem ogólnego dobrobytu w dzisiejszych zwłaszcza społeczeństwach jest zachowanie różnorodności kierunków działalności ekonomicznej, czyli istnienia każdej z główniejszych gałęzi przemysłu, której sprzyja klimat i natura gleby, a której nie są przeciwnymi charakter, usposobienie lub nawyknięcia mieszkańców kraju. Każdy zresztą pojmując, do jak smutnego stanu musiałby dojść naród nawet rolniczy, gdyby poprzestając na samej uprawie ziemi i hodowli zwierząt, wyrzekł się wszelkiej produkcji fabrycznej i pozostał odłogiem dziedzinę przemysłową, tak troskliwie obsługiwaną gdzieindziej. Nie potrafiłby on wtedy ani podnieść, ani zachować nawet swój kultury rolniczej; musiałby pozostać za innymi nawet pod względem cywilizacji i cofać się wstecz wtedy, gdy inne społeczeństwa idą wytrwale naprzód.

Cukrownictwo należy właśnie do rzędu tych gałęzi przemysłu, które stają się wszędzie dźwignią ogólnej kultury krajowej, dodatni bowiem wpływ przemysłu na ogólny dobrobyt potęguje się, ilekroć przedmiotem tegoż przemysłu jest właśnie przerób krajowych płodów rolniczych. Tę właściwość cukrownictwa uwydatnia urzędowe źródło, przyznając fabrykom cukru znaczenie kolonizatorów, roznoszących w Rosyi światło pod względem technicznym i handlowym <sup>1)</sup>. Wobec zaś rezultatów z ubiegłych lat czterdziestu i nabytego doświadczenia, dodatni wpływ tej gałęzi przemysłu na rolnictwo nie może już nawet być podawany w wątpliwość, skoro uprawa buraków nie tylko nie zmniejszyła nigdzie produkcji zboża, ale właśnie dopomogła do jej wzrostu <sup>2)</sup>. Wszędzie bowiem przynosi skuteczną pomoc i staje się rzeczywistym ułatwieniem dla kultury rolniczej.

<sup>1)</sup> *Razsudnikow miestnaho komerczeskaho i techniczeskaho obrazowanija. Trudy...* str. 3.

<sup>2)</sup> „Nous pouvons affirmer d'une manière générale et absolue,” pisze

Chcąc to pojąć i ocenić, należy mieć na pamięci warunki wzrastania i rozwoju roślin, wykryte i dokładnie zbadane przez chemików. Uczą oni mianowicie, że rośliny tak samo jak twory organiczne od chwili rzucenia ziarna w ziemię, przechodzą wszystkie stopnie swego rozwoju, za pomocą właściwego pożywienia, tak samo dla nich koniecznego, jak karm dla ptastwa lub zwierząt; że tém pożywieniem dla roślin są materje powstające z nieustannego łączenia się pomiędzy sobą różnych pierwiastków, istniejących w częściach składowych i atmosfery i roli, czyli z tak zwanych *związków* między rzeczonymi pierwiastkami; że rośliny pochłaniając wytwory powstające z tych związków, ogołacają rolę z części rzeczonych pierwiastków, czyniąc ją przez to mniej urodzajną; gdy zaś nie wszystkie pierwiastki odnawiają się wskutek działalności samej przyrody, lub jęj działalność nie odnawia ich w stosunku potrzebnym do należytego wyżywienia roślin na roli w ten sposób zubożonej następnie sianych, wynika więc ztąd konieczność zbogacania tęjże roli za pomocą nawozów, których działalność polega właśnie na tém, iż wytwarzają inne związki między wzmiankowanymi pierwiastkami, a więc i nowe materje na pożywienie roślin i tym sposobem zastępują tę część siły rodzajnej gruntu, jaką rośliny poprzednio na nim rosnące już mu były zabrały.

To wzbogacanie roli nawozami, połączone ze staranną i umiejętną jęj uprawą, jest wszędzie wyrazem i treścią kultury rolniczej, bez której ziemia ubożona i pozbawiana corocznie części rzeczonych pierwiastków, musiałaby dziczeć i prędzej lub później zamienić się w jałową.

Wytwarzanie nawozów jest przeto jednem z główniejszych, a nawet najgłówniejszém z zadań każdego rolnika. W dzisiejszych warunkach produkcji rolniczej w Królestwie Polskiem, a témbardziej w Cesarstwie, wzbogacanie ziemi nawozami sztucznymi, chemicznymi, a bardzo drogiemi, niemogłoby jeszcze wytrzymać rachunku i jako opłacające się w rzadkich, a bardzo wyjątkowych warunkach, jest jeszcze niedostępném dla ogółu rolnictwa krajowego <sup>1)</sup>. Stoi więc ono na nawozach bydłęcych, które chociaż wytwarzane własnymi siłami w każdym

---

Delamarre w dziele *La vie à bon marché* „qu'en supposant le quart d'un grand domaine cultivé en betteraves, tout le sucre retiré est profit, et les trois autres quarts de la terre produisent autant de bénéfice net, qu'en aurait donné l'ensemble, s'il n'y avait point eu de culture de betteraves. Il est acquis d'un autre coté, que la culture de la betterave a beaucoup contribué aux progrès remarquables de l'agriculture dans les départemens du Nord.” (Porównaj Amé, *loco citato*, przypisek na str. 114, tom II).

<sup>1)</sup> *Głos profesora Jakóba Natansona na konferencji rolniczej o nawozach sztucznych, odbytej w dniu 25 września 1874 r.* (Warszawa, druk Sikorskiego) str. 10 i 15.

majątku ziemskim, są zawsze jednym z kosztowniejszych czynników produkcji rolniczej<sup>1)</sup>.

Sama *ilość* nawozów, czyli stosunek między liczbą morgów umierzwionych corocznie w każdym warsztacie rolniczym do ogólnej jego przestrzeni, nie jest jeszcze wyłączną miarą jego kultury; bogactwo bowiem roli zależnym jest jednocześnie i od *jakości* kładzonego nawozu. Rolnik przeto zadaniu swemu czyni wtedy zadosyć, gdy jest w możności żywić swe inwentarze pokarmami skoncentrowanymi (otrębami, makuchami i t. p.), czyli inaczej, gdy części składowe roślin, a zwłaszcza mineralne, w tych pokarmach pozostające, przejdą w nawóz i wraz z nim będą zwracane roli w zamian za owe materje pochłonięte przez też rośliny w ciągu poprzedniego ich rozwoju i wzrostu<sup>2)</sup>. Ze względu na *jakość* nawozów bydlęcych, gospodarstwo rolne, któreby mogło przerabiać u siebie wszystkie swe plony i spieniężać je w postaci już przerobionej, zachowując na karm dla inwentarzy otręby, makuchy, wywar i wszystkie pozostałości, przedstawiałoby ideał warunków dla racjonalnej i doskonałej kultury rolniczej. Istnienie każdej gałęzi przemysłu, która pozwala rolnikowi zbliżyć się, a chociażby iść w kierunku tego ideału, jest więc pożytecznym dla rolnictwa krajowego i wpływa dodatnio na jego rozwój.

Jedną z takich gałęzi przemysłu jest właśnie cukrownictwo. Majątkom plantującym buraki, ułatwiają fabryki kulturę rolniczą przez zwracanie wytlóków, będących pożywym pokarmem dla zwierząt, przez oddawanie odchodów defekacyjnych wraz z innymi pozostałościami fabrycznymi, będących bogatym nawozem, a nawet przez samo wprowadzenie uprawy tej rośliny do systematu rotacyjnego. Przy pomocy wytlóków rolnik jest w możności trzymać większą liczbę inwentarza<sup>3)</sup>, a więc wytwarzać większą ilość nawozu, który zawierając części składowe buraka w wytlókach pozostające, wzbogaca rolę. Wzbogacają ją także odchody wapienne i inne pozostałości fabryczne; samo zaś wprowadzenie buraków do rotacji zasiewów zmusza rolnika do używania lepszych narzędzi, do staranniejszego spulchniania roli i do takiej uprawy gruntu, która idzie na pożytek innych roślin, na tymże gruncie później sianych.

W porównaniu z rolnikami na Podolu i Ukrainie, rolnicy w Królestwie Polskiem są pod względem plantacji buraków w warunkach widocznie przyjaźniejszych, skoro otrzymują wyższe za swój produkt ceny,

1) Profesor Jakób Natanson w powyższej publikacji (str. 12) oblicza na 10 kop., koszt wytworzenia centnara nawozu bydlęcego.

2) Tamże str. 10. *Części składowe* roślin dzieli profesor Natanson na *organiczne* i *mineralne*: do pierwszych zalicza głównie węgiel, wodór, tlen i azot; do drugich zaś kwas fosforowy, potaż, wapno i magnezję (str. 2 i 5).

3) „Dans la culture de la betterave rien n'était perdu, car la pulpe qu'on retirait des presses constituait une excellente nourriture pour les bestiaux” (Amé, *loc. cit.*, str. 113, t. II).

ponoszą zaś mniejsze koszta uprawy <sup>1)</sup>. Ceny płacone za buraki przez tutejsze fabryki są też wyższymi od cen płaconych w Niemczech <sup>2)</sup>.

Tak się stawia porównanie korzyści *pośrednich*, otrzymywanych przez plantatorów w Królestwie i w krajach sąsiednich. Stosunek przecięz korzyści *bezpośrednich*, a mianowicie czystego zysku rolników z każdego plantowanego morga wypada zupełnie inaczej. Przecięciowy bowiem plon buraków z 300-prętowego morga podaje urzędowe źródło na 65 berkowców przy urodzaju średnim, na 82½ przy urodzaju dobrym; na Ukrainie zaś na 75 berkowców przy urodzaju średnim, na 125, a nawet 150 berkowców przy urodzaju dobrym <sup>3)</sup>. Wiadomo zaś że w Niemczech morga magdeburgska (180 prętów) daje po sto korcy buraków.

To porównanie, wykazujące niższą rodzajność naszej gleby w stosunku do gleby ukraińskiej, niższy zaś stan naszej kultury rolniczej w stosunku do gospodarstw niemieckich, stawia się w rzeczywistości jeszcze gorzej. Chociaż bowiem są u nas gospodarstwa produkujące po 100 do 150 korcy buraków z 300-prętowego morga, poczytywać je wszakże należy za wyjątki, skoro fabryki z całej liczby corocznie kontraktowanych morgów otrzymują nie po 65 berkowców, ale po 65—70 korcy i na tej ostatniej liczbie, jako rzeczywiście przeciętnej, opierają rachunek każdej rozpoczynanej kampanii. Ta zaś ostatnia cyfra jest właśnie dowodem, iż chociaż plon buraków wynosi po 100, a nawet po 150 korcy z morga w niektórych plantacjach, w innych wszakże czyni zaledwie po korcy 50 lub mniej.

<sup>1)</sup> Wedle urzędowych źródeł, koszt plantacji dziesięciny (blisko 2 morgów 300-prętowych) wynosić ma w Królestwie od 40—60 rs. (*Ekonomiczeskija usłowija...* str. 145), w gub. kijowskiej od 70—80 rub., w podolskiej od 140—160 rub. (tamże str. 132 i nast.). Rzeczywiste koszta uprawy i sprzętu 1 morgi 300-pręt. folwarku buraków w Dobrzelinie wyniosły w r. 1875 po rub. 29 kop. 10, a mianowicie: orka pierwsza rub. 2, orka druga z pogłębiaczem rub. 3, dwukrotne zabronowanie rub. 1 kop. 50, odwrócenie ziemi na wiosnę rub. 2, następne zabronowanie kop. 75, wyoranie redlin rub. 1, zasianie morgi kop. 30, pierwsze pielienie rub. 1 kop. 60, drugie pielienie i przeorywanie rub. 3, trzecie pielienie rub. 2 i poprawka ostateczna rub. 1 kop. 50; wykopanie rub. 6; przegony i końcowanie redlin kop. 45; odstawa buraków do fabryki rub. 4 (z materyałów J. Blocha).

<sup>2)</sup> Fabryki w Królestwie, jak wyżej objaśniono, płacą w przecięciu tyle za 300 funtów buraków, ile fabryki na Ukrainie i Podolu płacą za 480 funtów, przy dalszej i trudniejszej odstawie buraków do fabryki po 15—20 wiorst, drogami niezwirowanemi (*Ekonomiczeskija usłowija...* str. 134). Fabryki w Niemczech płaciły w r. 1875 za sto funtów buraków wagi cłowej, jedną markę, czyli licząc *puri* po 30 kop., że zaś sto funtów w. c. = 122,<sup>13</sup> funtom rosyjskim, cena przeto za tutejszy centnar wynosiła 31 kop.

<sup>3)</sup> *Ekonomiczeskija usłowija...* str. 126 i 144.

Każdy dostrzeże, że wobec obliczonych wyżej na rs. 30 kosztów uprawy, sprzętu i odstawy buraków z 300-prętowego morga, korzyść rolnika z produkcji 50 korcy lub mniejszej odpowiednią nie jest; w tym zaś niefortunnym dlań rezultacie tkwi przyczyna skarg i zarzutów, podnoszonych ze strony niektórych plantatorów przeciwko fabrykom, ilekroć one zamykają kampanią z wyraźniejszą swoją korzyścią. Nie użala się bowiem ten, któremu morga wydając od 100 do 150 korcy, zapewnia czystego dochodu od 60—110 rs., już po opłaceniu kosztów uprawy, sprzętu i odstawy i pokryciu odpowiedniej części podatków, ciężarów publicznych i kosztów ogólnych gospodarstwa, na tęż morgę z rozliczenia spadających.

Obniżenie ceny o kilka kopiejek na centnarze, które wobec pogorszonych warunków produkcji cukru przez nowe normy podatkowe przewidywać się daje, może wprawdzie zmniejszyć ów czysty dochód, nie do tego przecież stopnia, iżby stawał się nieodpowiednim do pracy, kosztów i sprawiedliwych oczekiwań rolnika; kiedy przeciwnie nawet podwyższenie téjże ceny o kilka kopiejek na centnarze, wobec tego co wyżej powiedziano, już przewidywać się nie dające, jeszczeby nie zwiększyło do tego stopnia czystego dochodu plantatorów, sprzętających po 50 korcy buraków z morga, iżby ich oczekiwaniom stawało się zadosyć.

Pieniężne rezultaty uprawy buraków, tak samo jak każdej innéj produkcji rolniczej, mogą być dostatecznie powiększonymi nieinaczej, jak przez powiększenie rodzajności roli, a więc przez jój wzbogacenie nawozami i doprowadzenie do możliwego stopnia kultury, a właśnie do tego celu fabryki cukru niosą rolnictwu pomoc pośrednią. Bezpośredniej bowiem musi ono szukać wyłącznie we własnej energii i we własnych zasobach i dla zwiększenia siły produkcyjnej warsztatu rolniczego pod względem liczby ziarn plouu czynić na mniejszą skalę to, co cukrownictwo czyniło dla zwiększenia siły produkcyjnej swych przyrządów fabrycznych, pod względem otrzymania większej liczby funtów cukru z centnara buraków.

Wzbogacenie ziemi jałowój, lub z owych pierwiastków wytwarzających dla roślin pożywienie znacznie zubożonej, będące dziś powszechnie uznawaną koniecznością, nie jest wprawdzie zadaniem łatwém. Większej i średniej własności utrudnia je mianowicie brak zasobów pieniężnych, ta bowiem własność jest, jak wiadomo, znacznemi obciążona długami <sup>1)</sup>. Wobec plonów małych, wysiewom nieodpowiednich, większa część rolników zaledwie jest w możności pokryć z dochodu roczne podatki i ciężary gruntowe, koszta prowadzenia gospodarstwa i procenta od długów dziś istniejących; w ogólnej przeto regule wzbo-

<sup>1)</sup> Własność ziemską jest we wszystkich krajach obciążoną długami, ziemia bowiem jest codziennie przedmiotem sprzedaży, działów spadkowych i innego rodzaju umów, z których powstają zobowiązania pieniężne ze strony właścicieli majątków ziemskich.

gacanie roli za pomocą zaciągania nowych długów byłoby lekarstwem niebezpiecznym. Rozprzedać część obdłużonego majątku, spłacić długi otrzymanymi za nią pieniędzmi i jeszcze wytworzyć fundusz na kulturę warsztatu rolniczego, do szczuplejszych zredukowanego rozmiarów; byłby to środek niewątpliwie racjonalny i być może jedynie skuteczny, stoją mu przecież na przeszkodzie służebności włościańskie. Tylko gospodarstwa w bliskości fabryk położone mogą wzbogacać rolę, a więc zwiększać swą kulturę bez konieczności uciekania się do tak radykalnego i trudnego środka; dla każdego z nich więc upadek bliższej fabryki cukru będzie niewątpliwą klęską.

## XVII.

Na rok przed rozpoczęciem kampanii 1885/6 r., prawdopodobnie więc w końcu 1883, lub w początkach 1884 r., statyści przystąpią znowu do projektowania podatkowości na przyszłość <sup>1)</sup>. Zarówno w interesie przemysłu cukrowniczego jak i rolnictwa krajowego, zarówno ze względu na dobrobyt, jak i na ogólną ekonomią krajową, życzyć należy, iżby odstępując od metody dotychczasowej, a utrzymanej jeszcze na lat sześć, metody której wadliwość sami uznają, dali wówczas pierwszeństwo jednemu z systematów podatkowych, niepociągających upadku fabryk cukru, ale raczej sprzyjających dalszemu rozwojowi tej pożytecznej gałęzi przemysłu.

Ta zaś zmiana metody, nawet zamierzeniom fiskalnym wyszłaby na użytek.

---

<sup>1)</sup> Nowy przepis o poborze akcyzy od cukru na przyszłość od r. 1886/7 zapowiada zdanie rady państwa pod dniem 15 maja 1879, zamienione w prawo (*Gazeta Polska* z sierpnia 1879, nr. 181 i numeru poprzedzające).

NASI POECI  
W LITERATURZE POWSZECHNEJ \*).

PRZEZ

*Feliksa Jezierskiego.*

II.

Poprawka w obrazie autora rozprawy angielskiej: *O literaturze polskiej.*—Wspomnienie odwiedzin wejmarskich r. 1829 p. Kurtzmann'a.—Ludwik German, tłumacz *Maryi Stuart* Juliusza Słowackiego.—Słowo p. G. o naszej literaturze dramatycznej.—Saturday Review o Matejce i Siemiradzkim.

W poprzedniem sprawozdaniu podaliśmy czytelnikom głos krytyka angielskiego o naszych poetach; autor przytoczonego tam obrazu *Piśmiennictwa polskiego* postanowił sprostować błędny sąd ziomeków swoich o literaturze naszej, albo raczej odnowić w ich pamięci żywe niegdyś, ale od pewnego czasu zacierające się wrażenia. Odpowiedniem do tego celu zdawało mu się skreślić dzieje *poezyi* polskiej, stanowiącej podług niego, prawą stronę naszego ruchu literackiego. Obojętniejsze nieco obejście się autora z naszą prozą, zapewne pochodziło z téj ogólnej przyczyny, że utwory natchnienia prędsze i szersze dają odgłosy wśród piśmienniczej wszechspołeczności—*sermo pedester*... Szczególném zrządzeniem losu, energiczne sprostowanie nastąpiło na drugiej półkuli świata angielskiego.

Oto w pięknym artykule swoim p. Sygurd Wisniowski (*Bluszcz*, nr. 44 i 45) opowiada nam, że podczas odwiedzin swoich, złożonych Longfellow'owi, sędziwemu śpiewakowi *Elsyi*, a jeszcze bardziej (tego jesteśmy pewni) jako śpiewakowi *Puławskiego*, podał pomienioną wyżej rozprawę z rozległym od siebie komentarzem o prozie polskiej. Serdecznie dziękujemy p. Sygurdowi Wisniowskiemu za to, że *spełnił obowiązek*. A nic niema świętszego nad spełnienie świętego obowiązku, dobrze jest opinią o swoich przytrzymać w locie, nim się rozchodzić pocznie, dobrze jest ostrzedz obcych, że ona wprawdzie nie była fałszywą, ale w każdym razie jest tylko *pół-opinią*.

Podając zdanie prasy angielskiej o naszych znakomitościach, nie możemy pominąć wielce pochlebnego jój głosu o wielkim poecie pędzla. Z powodu wystawy monachijskiej, czytamy w *Saturday Review*: „Panu-

\*) Patrz zeszyt listopadowy Bibl. Warsz.



jąca opinia o przeżyciu się sztuki w Austrii, znalazła potwierdzenie na wystawie monachijskiej, gdy z drugiej strony widocznem jest, że wcielone królestwa, uposażone młodzieńczą siłą żywotną (Węgry, Czechy, Tyrol, Kraj Polski), zdolne są począć nową i rodzącą się sztukę. Uderzającym przykładem takiego świeżego i żywotnego rozwoju jest: Jan Matejko." Również donośnie odzywa się to pismo o Siemiradzkim.

Wracamy do poetów pióra.

Z powodu półwiekowej rocznicy „odwiedzin wejmarskich” (d. 28 sierpnia), J. Kurtzmann poświęca sympatyczny obrazek literacki Mickiewiczowi (*Magaz. Liter. d. Auslandes* nr. 35) i Getemu, p. t.: *Stosunki Getego do poetów polskich*, przyczynek do literatury Getowskiej. „Poczet pielgrzymów, udających się niegdyś do Wejmaru dla odwiedzenia Getego, polacy powiększyli kontyngensem wprawdzie nielicznym, ale wielkiego imienia. Był tam Mickiewicz i Odyniec, hr. Fredro, Andrzej i Edward Koźmianowie i Wincenty Pol.” P. Kurtzmann skłania się ku mniemaniu, że poemat *Dziady* w pewnym względzie jest i antytezą Fausta i Wertera. Ubolewa p. Kurtzmann, że *Dziady* w przekładzie niemieckim dotąd ogłoszonymi nie zostały. Czytelnicy zechcą przypomnieć sobie, że nadmieniliśmy już o znakomitym przekładzie *Glossy Świętej Teresy* Zygmunta Krasińskiego, dokonanym przez Zygryda Lipinera. Otóż ten młody, świetną przyszłość rokujący pisarz, przełożył jedno z najpiękniejszych miejsc w *Dziadach*. Przytęm z pisma p. Kurtzmann dowiadujemy się, że istnieją dwa niemieckie tłómaczenia *Dziadów*, jak dotąd zostające jeszcze w rękopismach, a mianowicie: dr. Weiss'a w Gumbinie i młodego księcia Lippe-Szaumburg. O obszernym rozbiorze *Dziadów* p. Blumenstocka później pomówimy; wiadomo zaś czytelnikowi, co w swoim wyrzekła George Sand o tym poemacie.

Mamy tu również, dokonane przez Paumanna, tłómaczenie znanego wiersza albumowego. Pół wieku minęło, jak dostojny wieszcz umieścił go w książce pamiątek przyszłej towarzyszki doli i niedoli. Podajemy tu obok pierwotworu przekład, bo zewszecmiar na to zasługuje.

„Die Werbung beginnt: schon seh' ich die Shaaren  
Daher ziehen des Fussvolks, Uhlanen, Husaren;  
Voraus ihre Nahmen gleich Fahnen sie tragen,  
Im Stammbuch ein buntes Lager zu schlagen.  
Und bin ein Held einst, im Kriege ergraut,  
Der traurig zurück auf den Lebenslenz schaut,  
Dann mögen alle Kamraden hier lesen,  
Dass stets ich als Flügelmann treu dir gewesen.”

Zaczyna się werbunek, widzę zdala, goni  
Ogromna ciżba pieszych, ułanów, huzarów,  
Niosąc imfona nakształt rozbitych sztandarów:  
Chcą w Albumie założyć obóz różnej broni.

Stanie się, będę wtenczas siwym bohaterem  
 I z zalem rozmyślając o mych lat poranku,  
 Opowiem towarzyszom, że na prawym flanku  
 Jam w tej armii pierwszym był grenadyerem.

Poświęciwszy serdeczne wspomnienie W. Polowi, p. Kurtzmann podaje w końcu, już jako przyczynek do dziejów Getego, wiadomość o liście Zeltera, pisanym do Getego w d. 28 września 1829 r. W liście tym Zelter, mówiąc o rozrzutności poety i nazywając go „złym gospodarzem,” wspomina o przesłanych 50,000 guldenach do Polski. Jeden z magnatów polskich miał ofiarować Getemu podarunek pieniężny, ale poeta nie przyjął ofiary, odstępując ją na rzecz polskich tłumaczy jego utworów.

Jako dopełnienie do dziejów literatury Mickiewiczowskiej zagranicą kraju podajemy, tymczasowo, wzmiankę o artykule p. t.: *Niedokończony traktat Mickiewicza o Bajronie i Getem*. Obszerniejszą wiadomość odkładamy do jednego z następnych zeszytów Biblioteki.

Przechodzimy do oceny równie doniosłego faktu, przekładu *Maryi Stuart*, o którym poprzednio daliśmy byli przedwstępną wiadomość. Oceniając fakta podobnego rodzaju, czuje się cały ciężar warunków obowiązujących sprawozdawcę

Przygluszać tu w sobie przychodzi najszczerze tętna, potłumiać wrażenia, na których sformułowanie zapewne i wyrazówby brakło, a pozostaje ocenić jedynie: stopień przejrzystości tej nowej powłoki i orzeknąć: czyli pod nią ocalał majestat obliczów pierwowzoru naszego.

O jedno tylko ustępstwo upraszamy czytelnika w chwili, kiedy mamy przed oczyma przekład *Maryi Stuart* Juliusza Słowackiego, o prawo dotknięcia w krótkości tak zwaną kwestyją jego *bajronizmu*. Jeśli wśród nas pomieniony stosunek stał się już prawie przysłowiowym, cóż dziwnego, że obcy dziejopisarze piśmiennictwa, chórem go jednozgodnym powtarzają. Czyż ten stosunek naprawdę da się postawić tak nieomylnie, aby jakiś tam niemiecki elementarz literatury w skutek tego poważył się utwórcę dramatu *Maryja Stuart* nazywać aż naśladowcą? Zgodnież to z powagą, z dumą tego olbrzymiego ducha, aby zbierać miał pióra odpadłe ze skrzydeł orła, z taką naiwnością, z jaką Rachelą powtarza (w *Zydówce*) słowa Grety (Getego) konającej w więzieniu?

„Smutna to rzecz być wnukiem,” jak powiada czeladnik *Fausta*, a poezya Bajrona jestto jak owa *Księga żywota*, w której każdy odnaleźć może wszystko, czego tylko zapragnie. Ileżto takich pawich piórek ukazaćbyśmy mogli u dramatyków obecnej chwili (np. angielskich), którzy podczas pierwszych dopiero wzlotów Słowackiego, jeszcze w najlepsze pisali pensa w szkole Iteńskićj, a tak mocno, tak dotykalnie go przypominają? albo czy przypuścić mamy, że czytali *Maryję Stuart* Słowackiego? Ale czemuż i w poważnym, energicznym studyum Lipnickiego (którego bynajmniej nie zaliczamy do rzędu krytyków,

protekcynie traktujących piśmiennictwo polskie, t. j. *nieznających go z urzędu* w studium jego: *Bohaterowie romantyzmu polskiego* (*die Helden der polnischen Romantik*) czytamy? „Słowacki (obok powołanego z epoki klasycznej dowcipu i satyry) ze szczególnem zamikowaniem maluje takich bohaterów, którzy stoją w sprzecznościwie ze stosunkami świata rzeczywistego. Są to istoty nieszcześliwe dla siebie, zagubne dla innych <sup>1)</sup>, one to zapewne snuć się musiały przed wyobraźnią filozofa „Bezwiedności,” kiedy w swojej etyce zapisał to zdanie: „tylko mąż o silném miłosierdziu jest zdolnym do silnej rozkoszy okrucieństwa...” „Botwel, mówi dalej autor pomienionego studium, występuje w *Maryi Stuart* Słowackiego, jak Bajronowski bohater, z obliczem bladym, z uśmiechem na ustach wzdurliwym, piekielnym.” Jakto? więc już i poblednąć i uśmiechnąć się gorzko niewolno, aby nie ściągnąć na siebie poszlaki naśladowania Bajrona? Że Botwel, że Mindowe należą do sfery demonicznej, na to się zgadzamy, że Botwel jest wcieleniem złego, zgadzamy się i na to, bo tém on jest rzeczywiście, dziejowo. Ależ takim samym jest Botwel w kolosalnej tragedyi Swineburne'a. Owszem, gotowiliśmy więcej jeszcze przyznać na rzecz opinii autora, a mianowicie, że Słowacki przyrzekł „w powieściach swoich mało zatrudniać czytelnika sobą i swojemi uczuciami, a w dziełach scenicznych jeszcze usilniej nie dać widzieć siebie, kryjąc się za osoby działające,” ale zapowiedzi swojej wiernym nie pozostał; że „założywszy sobie być niezależnym od otoczenia swojego wieku, wbrew Dantemu, Wolterowi, Bajronowi, a natomiast mieć przed oczyma Szekspira, jako bezprzykładną potęgę, stojącą obiektywnie, niezależnie, na wysokości człowieka i jego rysów, jakoby władzą Bożą malowanych i stworzonych <sup>2)</sup>,” nie mógł jednakże, bo i nie powinien był przesięgnąć poza święty okrąg położenia i warunków swojego czasu i stanął do chóru w napót-przejrzystej obstonie. Wszystko to przyznajemy, ale taka postawa zacerpaną została z dalszego ogólniejszego zbiornika typów, aniżeli Bajronizm. W świecie myśli, który tak obszernym jest, „że można w nim wyciągać nieodparte granicami ramiona <sup>3)</sup>,” rzecz taka sama, nie jest rzeczą *tyż* samą. Nie każdy, co mówi o widzeniu *przed oczyma duszy* jest Szekspiryanistą; ani Bajronistą nie jest Horacyusz, przeto że nazywa człowieka: prochem i cieniem; ani klasykiem jest Edgar Poe, chociaż w jego elegii kruk siada na popiersiu Minerwy. Słowacki i Bajron są to dwie siły o równym stopniu, to znaczy, że z równem nateżeniem myśl ich przyciąga pierwiastki ze wszystkich krańców, do tworzenia potrzebne, a z drugiej strony z równą gwałtownością uderza tam, gdzie tak w życiu ludzi jak i w życiu światów zaczyna się warstwa nieprzejrzysta, zagadkowa. Nie, Słowacki nie jest

<sup>1)</sup> Botwel, Mindowe, Bielecki, Balladyna, Gwinona. Wkrótco otrzymamy studium p. Eugen. Lipnickiego: *Historja romantyzmu polskiego*, będzie to zapewne całość, z której dotąd znaliśmy tylko ustępy.

<sup>2)</sup> <sup>3)</sup> Wyrazy Słowackiego o sobie samym.

naśladowcą, a przede wszystkim w *Maryi Stuart*. Tego, co wszechmocnie rozdaje skrzydła ptakom powietrza, skrzele rybom wód, a typy duchowe ludziom i ludom ziemi, Tego sprawą jest, że tchnął w obu jednaki rodzaj i jednakową moc zasięgania na rzecz sztuki pierwiastków dobrego i złego.

Zwracamy się do zadania głównego. Jestto przekład rymem, z silnie akcentowaną miarą, zwykle sześciostopowy: w pewnych, odpowiednio zadaniu miejscach, spotykamy i pięciomiar. Rozmaitość w taktach, zacięcia początkowe, to jambowe, to trochaiczne, z ręcznie tu i owdzie wybiegająca stopa daktyliczna, udatne przefamiwanie wiersza w dyalogu, zawisnięcie na poważnej, długiej nucie, zgoła użycie wszelkich sprężyn złudzenia dźwiękowego, nadają przekładowi znamiona doskonałej formy zewnętrznej. Na równi z formą, utrzymanym jest i duchowy tok utworu. Po każdym odczuciu się pozuwamy, czyje to serce bije. Słowacki zmartwychwstał w przekładzie. Co dalej orzeknie krytyka niemiecka pod względem specjalnym, jako o utworze swojego piśmiennictwa, to już rzecz nie nasza. Dla pokazania czytelnikowi wierności przekładu, niekiedy aż dostownej, z rzadką parafrazą, zestawimy niektóre ustępy tłumaczenia z pierwowtorem, a to kierując się najgłówniejszymi sprężynami: scenicznością, charakterem, uczuciowością w różnych jej odstępach. Dla skrócenia, przytaczając ustępy, odwoływać się będziemy do stronic książki przekładowej.

W 8-jej scenie aktu trzeciego <sup>1)</sup>, kiedy Douglas, ukrywający się dotąd za krzesłem królowej, naciera ze sztyletem na Rizia, Marya chce go powstrzymać groźbą, że kat oderwie mu ostrogi i spoliczkowaniem shańbi go wobec ludu na rusztowaniu. W odpowiedzi na *próżną* groźbę Maryi, Douglas odpowiada groźbą rokoszu wasalów, albo odplynięciem do Francji, gdzie potrafi zostać *harfiarzem* (jak Rizio).

„Tam, mówi tłumacz, otulę się w jego płaszcz jedwabny, z temi piórami strusiem, z tym mieczem złotym wyglądać będę jako wtórobraz podstępnego włocha i wnet zbiorą się naokół mnie błazny francuzkie i wnet znajdę fałszywe zaloty na dworze... zyskam łaskę możnych i brzdąkać będę na arfie; może tylko poznają mię po krwi na rzesach, piórach zgniecionych, zbrukanój szacie. Giń, włochu... Nie! Sztyletem ręka ta robić nie umi, nie wprawiała się nigdy.” Słowacki mówi:

„Mogę się w ten płaszcz jego jedwabny zawinać,  
Wezmę te strusie pióra, wezmę ten miecz złoty;  
Podłego włocha dobrze nauczę się roli:  
Wnet mię zgraja francuzkich trefnisiow okoli,  
Na dworze królów zdradne rozpoczną zaloty...  
Wkradnę się w łaski możnych, harfiarzem zostanę,

<sup>1)</sup> W przekładzie stron. 51, 52.

Chyba mię zdradzi kropla krwi na mojem czole,  
Lub te szaty splamione, pióra połamane.  
Giń, włochu! Nie! sztyletem nie mogę uderzyć:  
Nigdy nie zabijałem sztyletem.

Królowa grozi, nakazuje, błaga, aby oddalił krwawe obrazy: ona nigdy krwi nie widziała. Na to Douglas (u tłumacza):

„O! bodajby tu dokoła były ściany ze zwierciadeł, abys na śmierć jego patrzeć mogła tysiąc razy. Niech jego rżenie śmiertelne (To-desroecheln) brzmi tobie w tysiącu chórów, abys je po tysiąc razy słyszała.”

Słowacki:

„Chciałbym, żeby tu były zwierciadlane ściany,  
Abys śmierć jego mogła widzieć tysiąc razy!  
Chciałbym, żeby jęk Rizia, echem powtarzany  
Zabrział, abys go mogła słyszeć tysiąc razy.”

Kiedy Darnley chce, aby wyniesiono trupa Rizia, Douglas odpowiada na to ponurym lakonizmem, który pomimo drobnego przesunięcia głównej myśli nic nie stracił w przekładzie (str. 53).

„Ja tu przyszedłem mordować, a nie psuć rzemiosło grabarzem.”

Słowacki zaś mówi:

„Przyszedłem zabijać, lecz nie wynosić zwłoki: wołajcie grabarzy.”

W monologu (koniec aktu III-go), ściśle dotrzymaną jest myśl Botwela; powiada on sobie, że nie zrozumieć napomknien Maryi o mężu, dopóki nie powie: „zabij króla!” ale w ostatnim wierszu tłumacz nieco ją ochłodził.

„Chce, żebym myśl jój odgadł? nie, ja nie rozumiem,  
Aż mi powie: Botwelu! zabij, zabij króla!  
Za mniejszą cenę nie chcę zabijać: nie umiem.” (Słowacki).

Tłumacz zaś tak kończy (str. 56):

„Chce, abym odgadł? ja nie rozumiem, aż mi jawnie powie: zabij go! Za inną cenę, o, Pani, to się nie stanie!”

W pierwszej scenie aktu IV (Marya i Botwel) mamy jeden z tych rysów, co to w naszym poecie-młodzieńcu, już lwią potęgę zapowiada; w ręku Słowackiego już tu widać ów skalpel psychologiczny, który go tak jaskrawo spokrewnia z Shelley'em. Jestto rozmowa dwojga zbrodniczych kochanków przed portretem męża Maryi, pod którego Botwel podsadził już mię.

„Słuchaj mię Botwelu! kobieta-ż to działać się odważy? Patrz, ten obraz na ścianie, podobny, aż do przemówienia (*wie zum Sprechen ähnlich*). Jak dobrze trafione są rysy Henryka: jego blade oczy ścigają mię, znieść nie mogę, upatrują mię one, w serce mi się wciskają i dręczą. Sztuka nigdy nie zdoła dopiąć oddania wyrazu tego oblicza: *moję to myśl* wniosło piekło w ten obraz” (str. 59).

## Słowacki:

„Słuchaj, słuchaj, kobieta na cóż się odważy?  
 Patrz, Botwelu! ten obraz wiszący na ścianie,  
 Jak w nim dobrze trafiona blada twarz Henryka!  
 Ściga za mną oczyma. Nie zniosę twój twarzy!  
 Patrz, za mną się obraca, wzrokiem mię przenika;  
 O! ten wzrok nie jest dziełem ludzi i malarzy:  
 Na obraz szatan przeniósł myśl moją...”

W całej tej scenie, w arcydziele psychologii, gdzie dwie siły szatańskie idą z sobą na bój wzajemnymi skrytościami o to, kto pierwszy wymówi fatalny wyraz, tłumacz wychodzi zwycięzko; żałujemy tylko, że ta ciągłość piekielna wypruwających się nawzajem myśli dwojga kochanków, zluźnioną została, skoro Marya zamiast powiedzieć: ja chciałam zgonu obrazu (jak jest w pierwowzorze), powiada u tłumacza (str. 60): „tak, ten obraz *zniszczyć*—tak, tak, tego chciałam.”

W akcie I-ym scenie 5-jej, Nick, błazen Henryka, ubolewając nad położeniem króla, smutnie zapowiada sobie: „Nicku, śmiać się nie będziesz, *wesołość zabilem*.” Tłumacz kładzie w usta błazna prawie toż samo: „Teraz radość moja *umarła* i mój śmiech jasny <sup>1)</sup>,” ale szkoda nam tego wykrzyknika o zabiciu wesołości, gdyż Słowacki wyraźnie zamierzył tu sobie aluzję do znanych słów Makbeta: „Makbet zabił sen.”

Zwróćmyż się teraz do sytuacji, rzeczywiście Szekspirowskim rylcem rzeźbiącej ów pogrom duchowy, zwany w etyce codzienniej wyrzutem sumienia, a psychicznie znaczący: rozstąpienie się istoty ludzkiej na dwie połacie, z których jedna sili się uprzedmiotnić sobie drugą i zgnieść ją naciskiem. Mamy takich sytuacji kilka w *Maryi Stuart*. Oto scena 2, aktu IV-go, znów pomiędzy Henrykiem królem i jego błaznem. Nick stara się uspokoić w Henryku budzące się co chwila wybuchy sumienia, z powodu zabicia Rizia, ale Henryk nie słucha go: obraz zamordowanego staje mu wciąż przed oczyma. Przekład (stro- na 66), wyjawszy jedno tylko pociągnięcie pióra, nieco zwiczniję, nie tu nie pozostawia do życzenia. Król mówi do Nicka:

„Patrz, tam stoi w dłuższej szacie śmiertelnej, jak gdyby chciał mi otworzyć tajemnicę zgonu. Niemy, krwawy, blady, mnie żądać się zdaje. Widziałem, jak sztylety krwawo rozpruły jego ciało, a oto z trumny znowuż przychodzi *zdrowy i świeży*... Precz, Rizio, bo mi z ran zablźnionych krew płynie. Wszystko dałbym w ofierze, aby ciebie ożywić. Nie skarż się, odejdz, aby mię nic we śnie nie trapiło. Chcesz mojego snu? w grobie śnić nie możesz spokojuić? Czyż i tam snu nie-ma?...”

U Słowackiego *zdrowy i świeży* brzmi tak:

„A on wstał z grobu, świeży, jak z *kołyski* dziecię.”

<sup>1)</sup> W przekładzie str. 11.

Zdarza się niekiedy naszemu przekładzcy zarównać myśl pierwowtoru tam, gdzie jest jęj przytrudno wypętać się z krępujących form stylowych, albo gdzie poeta mniej zważał na te formalności. Paż, dla pogłaskania serca królowej wspomnieniem o Botwelu, opowiada, jak on rzucił się w pogoń na łodzi za kwiatkiem, który wypadł z włosów królowej:

„Nagle twarz jego pobladła, stanął przy sterze i w głębią spozierał; *widział* on tam, jak inniemam, straszliwe postacie, mroczne podstępne potwory” (str. 29).

Słowacki mówi: „Patrzył w głębinę wody, *jak gdyby* w tój wodzie...”

Podobnież udatném jest wyrażenie: „Ale pomiędzy śmiercią a hańbą jest tylko próg mały” (str. 42) i t. p.

Z kolei zwróćmy się tam, gdzie już nie groza, nie żar zemsty bucha, lecz słodka rzewność powiewa. Oto np. pożegnanie się umierającego Nicka z lubą, ale odległą chatą ojczystą. Jestto ostatnia scena aktu IV (str. 73), w której przed skonaniem swoim, dziecko umierające od trucizny, Nick, zrzuca maskę błazna, płacząc nad tém, że nędza zmusiła go do wdziania czapki z dzwonkami i śmiania się za szylingi, kiedy sercu nieraz na krwawy płacz się zbierało.

Nic rzewniejszego nad tę sielankę agonii, prawdziwy śpiew łębdzia. Serdecznie téż dotrzymał tłómacz każdej nuty; podkreślamy tylko jeden pół-wyraz, bo spółnik w wierszu ostatnim, z uwagi, że nie osłabia myśli, ale ją przeistacza zupełnie:

„Przed daleką podróżą, raz jeszcze chcę pobyć pod strzechą rodzicielską. Tam, w polu chatka uboga, podług starego zwyczaju ściany jęj poczerniały od dymu; w izbie obraz, a przed nim lampa. W bramie widzę psa na straży, tam wysoko sterczy dąb o mszystych gałęziach—O! Boże! Tam na progu widzę, jak mój staruszek ładuje ptug, a pochyla się nad pacierzem. Tam, we łzach, przedzie biędna matka i śpiewa pieśń, którą slyszalem w kolebce. Ach! kto byto myślał, że ztamtąd przyjdzie na świat istota, która się przyda *jedynie* do śmiechu.”

Nie to miał na myśli Słowacki, że owe dziecię na nic się nie przyda, tylko na błazna; owszem, uważał on za rzecz niewiarogodną, aby w przybytku nędzy urodzić się mogła istota *zdołna* do śmiechu:

„O! któżby, któżby sądził, że pod dachem nędzy,  
Urodzi się istota, co się będzie *śmiała*.”

Tak tedy, bezwiednie prawie, uniesieni ciągiem piękności przekładu, zatrzymaliśmy się najdlużej nad Nickiem—na dowód, do jakiego stopnia współczujemy temu zdaniu Leonarda Sowińskiego, że „ta postać jest może najwdzięczniejszą rolą w całym poemacie i najgłębszą naturą ze wszystkich figur w nim działających <sup>1)</sup>.”

<sup>1)</sup> *Rys dziejów literatury polskiej*, t. III, str. 337.

Zupełnie równolegle od tój sceny idzie przedostatnia scena dramatu (w przekładzie str. 91), gdzie Marya przed samym wybuchem miny, przemawia nad świeżym trupem swojego pazia i następnie pada na kolana przed krucyfiksem... zapewne dla modlitwy (zupełnie tak samo, jak w Botwelu Swineburne'a, gdzie dostojny biskup Ross zapewnia królowę, „że Bóg nie zapomni o niej w onęj godzinie i z grona dziełek swoich nie wyrzuci; a ciężar i kolor ziemskich jój grzechów, uczyni bielszym i lżejszym, niż jest śnieg i wlna.”)

Na zakończenie tóż powtórzymy głos sentymentalnej okrutnicy, w chwili kiedy paź omdlewa.

*Marya.* „Paziu, o mój drogi paziu! wymów słowo, wymów, mój luby, tylko słowo. O! niestety, czyliż i ta młoda dusza gnić ma w grobie, o nie! on umrzeć nie może.

*Paż* (wątłym głosem). Wkrótce znikną bolesti. Jestem śpiący; czy ty mię kochasz?

*Marya.* O! z całego serca. Wzbudź się, kochanku; napij się wina, tylko kropel kilka: może cię to wzmocni.

*Paż* (drżąc). Piłem wino przed chwilą. O! Maryo! moja droga. O! (umiera).

*Marya.* Paziu! życie moje! Wołam, proszę, budzę; już serce bić nie będzie. O! Boże, czyliż za grzechy moje to dziecię ma ginąć? Od zbrodniczego tchuienia mojego ludzie umierają dokoła. Niegodną jestem kary, ono zabić mię nie chce <sup>1)</sup> (klęka przed krucyfiksem).

„Paziu! moje życie!

Paziu mój! wołam, budzę, a on się nie budzi?

Boże! za moje zbrodnie skaraleś to dziecię,

Powiew zbrodni koło mnie już zabija ludzi,

A mnie zabić nie może, jak niegodną kary.”

Z przytoczonych ustępów nie wątpimy, iż przekonał się czytelnik do jakiego stopnia tłumacz wniknąć musiał we wszystkie tajniki pierwotworu, skoro go tak wiernie, tak niekiedy dosłownie powtórzył. Praca niniejsza, jak w ogóle znane nam tłumaczenia niemieckie naszych przodowników, dowodzą przytém jeszcze ogólniejszego faktu; pokazują one, do jakiego stopnia, pomimo dźwiękowej i składniowej różnicy, oba języki na podstawach *pojęciowych* są, powiedziéćby można, jednym i tym samym językiem; *są* nim, a nie stały się nim przez jakoweś historyczne podlegnięcie jednego pod drugi. Albo i w świecie pojęciowym istnieją, podobne jak w świecie organicznym, pewne rodzaje i rzędy; albo tóż istnieją tam pewne wyżyny, na których

<sup>1)</sup>

Page! mein Leben.

Ich rufe, bitte, wecke. Sein Herz will nicht klopfen,

O! Gott! für meine Sünden soll dies Kind verderben?

Von meinen frevlen Atem Menschen ringsum sterben,

Ich bin der Strafs unwürdig, mich kann er nicht tödten.



indywidualności, różnice, odmiany, koniec końcem zbiegać się muszą jako w punkcie zetknięcia.

Cokolwiek wyrzeknie krytyka niemiecka o téj pracy p. Ludomiła Germana, my przyjmujemy ją jako już należącą do naszego grona, gdyż w poważnych przekładach mistrzów naszych upatrujemy ów wspomniany na wstępie zadatek *szerzego*, istniejszego ich żywota, obiektywniej ich nieśmiertelności. Tyle o Maryi.

— Krytyk niemiecki p. G... (choć nie usuwamy przyłbicy, domyślamy się reszty zgłosek), daje nam krótki rzut oka na dramat polski, który tym razem, jako wychodzący poza ramy naszego planu, zostawimy bez obszerniejszego sprawozdania, ograniczając się na kilku rysach. Dramata Słowackiego uznając za utwory olbrzymie, w dramacie francuzkim Mickiewicza, krytyk widzi tendencyjność i to znamię podkreśla (i w tym właśnie względzie nie zgadzamy się z krytykiem). Ze współczesnych pisarzy komedyi wysoko stawia utwory K. Zalewskiego, „który dziś najzastużeniéj (*mit vollem Rechte*) władnie w świątyni Talii, a dotychczasowemi utworami swojemi wielką przyszłość rokuje.” „Obok niego stoi Bliziński, przez swoje rzeźwe obrazy życia.”

Z równem uznaniem odzywa się o Bałuckim, Sewerze, Lubowskim i innych, zamykając poczet imieniem Jubilata, jako twórcy komedyi: *Panie Kochanku*.

## PRZEGLĄD PEDAGOGICZNY.

Pisma treści dydaktycznej: 1) *Jak sobie dziatwa radziła*, opowiadania nauczające dla czytelników od lat 9—13, spisała Anastazyja Uzieduszycka 1877 r. 2) *Z dziedziny przyrody*, przez Annę Carey, przełożyła z angielskiego Anastazyja Dzieduszycka 1877. 3) *Świat zwierzęcy w obrazkach*, zebrany dla młodocianego wieku przez autorkę *Wieczorów czwartkowych* 1876. 4) *Mały i wielki świat dziecięcy*; spolszczył i zastosował Józef Grajnert 1876. 5) *Z domu i ze szkoły*; opracował według źródeł niemieckich i zastosował dla dzieci naszych Jozef Grajnert 1877. 6) *Ziemia i jej mieszkańcy*; opisy malownicze krajów, ludów i obyczajów, z najcelniejszych autorów ojczystych i cudzoziemskich, oraz własnych prac zebrał Stanisław Stroynowski 1877. 7) *Europa w obrazach*, opisy malownicze i t. d., zebrał Stanisław Stroynowski 1878. 8) *Znakomite niewiasty*, szkice opracowane przez Wandę Żelcuską 1877. 9) *Z rodzinnéj zagrody*, życiorysy; napisał K. W. Woycicki 1877. 10) *Pokój dziadunia*, opowiadania z dziejów przeszłości dla młodocianego wieku; napisał K. W. Woycicki 1878. 11) *Biblioteczka dziadunia*, zarys literatury polskiej w opowiadaniach dla dziatwy; napisał K. W. Woycicki 1879.

Niejednokrotnie słyszcć się dają narzekania na niepoliczony jakoby mnóstwo metod nauczania, z których każda stara się wywalczyć

sobie zwycięztwo nad poprzedniczką swoją, jużto nowym pomysłem, już też nową formą wykonania starego tematu. Co rok, powiadają, zjawia się jakiś nowy środek, czy sposób wpajania w umysły dzieci i młodzieży tych prawd i nauk, które dawniej z większą gruntownością jednym trybem wykładano; każdy nauczyciel ma pretensją do reformowania dydaktyki, krzyczy na zastarzałą rutynę, jako na śmiertelny jad trujący umysły dziecinne, zabijający rozwój ducha, tłumiący pojęcia samodzielne. Ten chce ukatwić naukę do tego stopnia, żeby uczeń wchłaniał w siebie rzeczy już doskonale przeżute, inny chce twarde owoc nauki przemienić na miąsgę łakotniczą, podstawiając zabawy w miejsce studyów; inny przeciwnie chce wyteżyć wszystkie władze wychowawca do najwyższej skali możliwej, albo i niemożliwej, byleby uczeń sam sobie zdobył prawdę, lub urojenie. Jeden chce wszystko okazać wychowankowi, jak jest w rzeczywistości i wątpa się z nim po wszystkich końcach miasta czy wsi, po wszystkich rękodzielniach i fabrykach, po wszystkich menażeryach i ogrodach, błądzi po skałach i lasach, przebiega gościńce i ścieżki. Drugi zamyka cały świat w obrazkach i na martwych malowankach pragnie obudzić poczucie żywej natury.

Jeżeli usuniemy z uwagi objawy szarlataneryi dydaktycznej w osobistościach niedowarzonych i niedouczonej; jeżeli marzeń pedagogicznych nie będziemy utożsamiali z wyrozumowanym szeregiem prawd, to w narzekaniach powyżej naszkicowanych odnajdziemy znaczną dozę przesady, wynikającej z niezrozumienia różnicy, jaka zachodzi pomiędzy zasadami dydaktycznymi, a sposobem ich stosowania. Zasady są w ogóle nieliczne i nie zmieniają się z roku na rok; na wyrobienie ich potrzeba nieraz długiego szeregu stuleci, ale zastosowanie ich w praktyce jest tak różnorodne, jak są różne usposobienia wychowawców i uzdolnienia nauczycieli. Pierwsze gruntowne podstawy dydaktyki nowożytnej rzucił wielki pedagog czeski wieku XVII, Jan Amos Komensky (Komenski, 1592—1671). Nieśmiertelną jego zasługą było zebranie w całość systematyczną przygłdnie dawniej wypowiedzanych maksym, dotyczących zarówno nauczyciela w stosunku do ucznia, jako też samych nauk i wychowawca. On-to w nauczaniu kazał zwracać baczną uwagę na różnicę usposobień w wychowawcach, on-to kazał działać jednocześnie na wszystkie zdolności jego, a więc nietylko na pamięć lub na uczucie, lecz także na rozum i wyobraźnię; on-to jest istotnym twórcą tak zwanój nauki o rzeczach zarówno pod względem teoretycznym, kiedy mówi, że oglądanie własnemu oczyma starczy za dowód, jak i pod względem praktycznym, kiedy pisze swój sławny *Orbis pictus* (1657).

W rozwinięciu tych zasad dwa stulecia zrobiły postęp ogromny, lecz same zasady zachowały dotychczas wartość niezachwianą. *Świat malowany* Komenskiego jest praojcem wszystkich dzisiejszych pism illustrowanych dla dzieci, wykładających czy to ogół wiadomości najpotrzebniejszych w życiu, czy też jakąś naukę specjalną. Praojciec ten

wygląda bezwątpienia bardzo patryarchalnie; strój jego razi już nasze oczy, a prócz tego ma on swoje przywyknienia, przesady i nałogi, któreby z dzisiejszemi pojęciami nie harmonizowały; w gruncie jednak porozumiałyby się niebawem ze swemi prawnukami, gdyż wspólna droga zdobywania prawdy doprowadziłaby ich do jęj świątyni.

Jak w sąsiedztwie, tak i u nas był *Orbis pictus* przez znaczny przeciąg czasu przewodnikiem w wykształceniu. Rady jego coprawda zasięgano zazwyczaj jednostronnie, to jest wypytywano go się o sposób uczenia języków tylko, gdy on przedewszystkiē mógł nauczyć czegoś o rzeczach. W dalszym postępie czasu zastosowano metodę językową do wykładu innych nauk, ale głównie uwzględniano opisy krajów i historią ojczyzną. Dopiero w czasach, niezbyt od chwili dzisiejszēj odległych, wciągnięto w ten zakres nauki przyrodnicze w całym ich rozgałęzieniu, tudzież nauki społeczne.

Rozpatrzmy się w tēj wiązance utworów, którēj dostarczyły nam trzy ostatnie lata, ażeby się przekonać, o ile zasady dydaktyczne są w nich uwzględnione, o ile zrobiliśmy postęp względem dawniejszēj doby. Przegląd ten wykaże nam jednocześnie, że pomimo całego hałasu o nowych i różnorodnych metodach, nie potrzebujemy się jeszcze obawiać chaosu, że owszem pożądanēm byłoby rozszerzenie naszych pojęć dydaktycznych.

Pani Anastazyja Dzieduszycka, którēj *Kilka myśli o wychowaniu i wykształceniu uciwiał naszych* (1871) sprawiło w swoim czasie tak wielkie zajęcie wśród ogółu i tyle wywołało dyskusyi w czasopiśmiennictwie, napisała przed trzema laty zajmującą książeczkę p. n.: *Jak sobie dziatwa radziła* i przeznaczyła ją dla czytelników od lat 9 do 13. Książeczka ta zajmuje środkowe stanowisko między powiastkami moralizującymi, a utworami dydaktycznymi w ściślejszēm znaczeniu tego wyrazu. Trzy pierwiastki w skład jęj wchodzą: opowiadanie, dziennik przedstawiający rozmowy dzieci ze stryjem i listowanie. W opowiadaniu przedstawia się osnowa powieściowa, polegająca na historii trzech rodzin; w dzienniku mieści się właściwa dydaktyczna strona utworu, w listach wreszcie częścią uwydatniają się charaktery dwu głównych postaci: brata i siostry, częścią rozwija się nauka moralności nie w suchych przepisach z wysokości katedry nauczycielskiēj, albo powagi rodzinnēj wygłaszanych, ale wysnuwanych przez same dzieci wskutek doznawanych wrażeń radosnych, a częściej smutnych.

W osnowie powieściowēj trudno się doszukać motywów całkiem nowych. Odkąd się zaczęła rozwijać nasza belletrystyka dziecięca, to jest od czasów Klementyny Tańsiēj, historia rodzin zubożałych, podupadłych, stawiała się już niezliczoną ilość razy tematem opowiadania, co, niestety, bardzo smutnie charakteryzuje nie tyle stopień pomysłowości naszych autorek i autorów, ile groźny w rzeczy samēj stan majątków ziemskich w kraju naszym. Ale, jak wiadomo, w powieściach dla dzieci nie idzie tak dalece o nowość i oryginalność treści opowiadania; starą treść można ożywić nową myślą, będącą wynikiem nowych poglą-

dów na sprawy społeczeństwa. W opowiadaniu p. Dzieduszyckiej silnie zaakcentowano tę stronę, która w pismach Tańskięj mimochodem i jakby przypadkowo tylko się napotykała. Członkowie zubożałej rodziny nie stają się tu ciężarem krewnych, nie wdrażają się do przykręj i wstrętnej roli rezydentów i rezydentek, ale dążą do zapewnienia sobie bytu pracą własną, wzięciem szczerzego udziału w pracy zbiorowej, społecznej. Jest wprawdzie i w opowiadaniu p. Dzieduszyckiej tradycyjny stryjasek z Ameryki, ale stryjasek ten nie przywozi ztamtąd gotowego już do puszczenia w kurs złota, lecz jedynie wytrwałość w pracy, poczucie obowiązku, umiejętność rachowania się we wszystkich okolicznościach życia, bez obracania jednakże tej rachuby w egoistyczne wyrachowanie. Przyklaskując całym sercem takiej zmianie roli stryjaska z Ameryki, muszę tu tylko zaznaczyć swoją wątpliwość co do konieczności sprowadzania go z tak daleka. Prawda, że Amerykanie są pod niejednym względem wzorem dla społeczeństw, potrzebujących naprawować swój materialny dobrobyt; byłoby to jednak zbyt smutno, gdyby się w kraju nie mógł znaleźć ani jeden człowiek uczciwy, lecz trzeźwo się na rzeczy zapatrujący. Gdyby wszakże tylko o smutek chodziło, moglibyśmy go w sobie strawić, przyznając, że był całkiem zasłużony. Zdaje się atoli, że nie należy nam poddawać się rozpacz i że możemy ideał obywatelski znaleźć w swoim gronie, nie potrzebując go sprowadzać zza morza. Uwaga ta była konieczna ze względu na łatwość, z jaką dzieci lubią uogólnienia na podstawie analogii; dla dorosłych mogłoby to być rzeczą obojętną, czy naukę pożyteczną odebrali od Amerykanina czy od Polaka w kraju swoim żyjącego; dla inteligencji formujących się dopiero jest to rzeczą w wielu razach decydującą o ich sympatyj i antypatyj, o ich usposobieniu moralnym względem najbliższego otoczenia.

Dziennik prowadzony przez Józia, to jest przez główną osobę wychowywaną w książce, jest małym traktatem o ekonomice i urządzeniach społecznych. Autorka na najmniejszej liczbie stron i w najkrótszych możliwie wyrazach chciała podać jak najwięcej wskazówek pożytecznych dla tych, co nie chcą być pasorzytami społeczeństwa. Ztądto poczynając od ustalenia w sposób przystępny, popularny, pojęcia kapitału, rozprawia o oszczędności, o pracy, o obowiązkach bogaczy, o komunizmie i socjalizmie, o powinności i poświęceniu, o cenie towarów, o podatkach i cłach, o pożyczkach i pieniądzech, o prawdziwym szlachectwie i o stowarzyszeniach i o innych mimochodem nasuwających się kwestyach, których życie tyle nam na każdym kroku do rozwiązania podaje. Jakkolwiek i w dawniejszej literaturze naszej dla dzieci pytania z dziedziny życia ekonomicznego i społecznego uwzględniano, to przecież na tę skalę, jak w książce p. Dzieduszyckiej, o ile mi wiadomo, dotychczas ich nie rozbiegano. Uznając ich ważność, niepodobna nie pochwalić samej myśli wprowadzenia w zakres dydaktyki dziecięcej wiadomości z ekonomiki; sądząc wszakże, iż właśnie ta nowość tematu popchnęła autorkę, tak wytrawną w rzeczach pedagogicznych, do prze-

brania miary w jego rozwijaniu. Trzeba sobie wystawić, jakie zamieszanie powstać może w umysłach dzieci po przeczytaniu niewielkiej książeczki, w której znajdą tyle nowych dla siebie pojęć, tyle wskazówek zaledwie naszkicowanych, tyle stosunków, które z samej natury swojej są zbyt zawikłane, ażeby wykład najjaśniejszy nawet mógł je dla myśli młodocianej uprościć. Jak wszędzie, tak i tutaj w wytwarzaniu pojęć nie tyle dbać wypada o ich wielką ilość, ile o gruntowność. A gruntowności wobec tak szerokiego programu, jaki sobie p. Dzeduszycka zakresliła, niepodobna było uczynić zadość; wiele pytań autorka zaledwie dotknęła, o wielu nader pobieżne dała pojęcie; czytelnik młody doszedłszy do końca książeczki, będzie wiedział, że o czémś czytał, czego dotąd nie znał, ale to coś przedstawi mu się w kształtach tak rozwiewnych, że nietylko komuś obcemu, ale nawet sobie samemu nie będzie mógł z tego „coś” zdać dokładnej sprawy. Lepiej było, zdaniem mojem, wybrać parę kwestyi i te ze wszystkich stron obejrzyć i roztrząsnąć, aniżeli kilkanaście zbywać stosunkowo sumarycznie. Nie należy się lękać, żeby wskutek tego powstała nużąca jednostajność; zdolne pióro umie obfitością przykładów nagrodzić jednostajność tematu, a przykładów takich i to bardzo zajmujących dostarcza zarówno obserwacya każdej jednostki uzdolnionej do spostrzegania, jak i wyniki wielu obserwacyi, zawarte w samej nauce ekonomii.

Listy Józia do Zosi i Zosi do Józia zarysowują nam charaktery nietylko piszących, ale i ich otoczenia. Józio nieodrazu dowiaduje się od rozsądnego stryja z Ameryki, że przestał być bogatym, ale odrazu widzi się zmuszonym do ubierania samego siebie i do nauki systematycznej, której za życia rodziców wcale nie znał. Stryj chciał z początku dać mu dobry przykład z drugiego zubożałego chłopca, Bolesia; ale gdy ten mając już nałóg do lenistwa, mógł być jedynie przykładem próżnowania i wyzyskiwania dobroci krewnych i znajomych; odkrył mu istotny stan rzeczy i pobudził do obrania kierunku realnego w naukach. Józio był w gruncie dzielnym chłopcem, przewyciężył więc niezbyt pożyteczne przyzwyczajenia, pracował wytrwale, z błędów się poprawiał i stawał się nawet w listach mentorem Zosi. Bo Zosia potrzebowała przewodnika koniecznie. Oddana opiece ciotki, żyjącej w wystawnem próżnowaniu, nie miała wśród najbliższych siebie przykładu pracy, chociaż umysł jej rzutki a niepospolicie uzdolniony rwał się do działalności jakiegokolwiek. Za poradą stryja i brata wyuczyła się rysunków i malarstwa, a potem nietylko miała z zajęcia swego utrzymywanie, ale nawet mogła poratować brata, który wyjechawszy zagranicę dla obejrzenia fabryk, zgrał się był z kretesem. Czwartą osobistością z młodocianego świata jest bogaty, hojny, a nawet rozrzutny Ludwiś, który tu potrzebny był jako przeciwstawienie do swych trojga niezamożnych towarzyszków; z jego to powodu są w książeczce rozprawy o obowiązkach bogaczy i o rozrzutności. Koniec historii jest naturalnym wynikiem pierwotnego założenia. Ci, którzy pracowali, nie wstydząc się rzemiosła, chociaż do szlachty należeli, dorobili się mienia,

a ten, co rozpróżniaczywszy się, wyzyskiwał tylko dobroć cudzą, zmarł haniebnie. Józio odkupił wieś dziedziczną, Zosia poszła za Ludwisia i chociaż nie będzie może uprawiała malarstwa jako środka do życia, niejedną chwilę uprzyjemni rodzinie talentem swoim. Bolesł pomimo talentu, nigdy nie mógł sobie zapewnić bytu niezależnego, gdyż nie miał „silnej woli;” pracował niekiedy dla grosza, trwonił go niepocziwie, gdy go posiadał, a potem cierpiał nędzę i po kilku lecach umarł. W oddaniu tych charakterów niema wprawdzie plastyki; sama forma listów pisanych przez dzieci stała temu początki na przeszkodzie, ale jest w nich dużo naturalności, dużo życia, tak że nie są one maryonetkami, nie są abstrakcjami, służącemi jedynie do uwydatnienia jakiejś prawdy moralnej.

Równocześnie z opowiadaniem nauczającym, *jak sobie dziatwa radziła*, przełożyła p. Dzieduszycka z języka angielskiego rozprawki Anny Carey, odnoszące się do zakresu mineralogii, fizyki i chemii. Na początku mieści się przedmowa (nie wiem czy autorki angielskiej czy polskiej), zasługująca na wyraźne odznaczenie. „Nauka początkowa, czytamy tu, powinna być nader ściśle, starannie i wcześniej podawaną dzieciom. Doszedłszy do lat dojrzałych, spostrzegamy, jak *niejasność* i *zawikłanie* w przedstawianiu nam nauk przyrodzonych, tłumaczeniu przedmiotów nas otaczających, zwolniło albo nawet wstrzymało postępy nasze w pobieranych później naukach.” Istotnie, niejasność pierwotnych wyobrażeń i mętność pojęć jest największą zawadą w późniejszym wykształceniu i prowadzi za sobą niejednokrotnie niemożność śledzenia postępów nauki. Słusznie też twierdzi autorka dalej: „Zdolność jasnego pojmovania przedmiotu, badania go z cierpliwością, rozpoznawania z pilnością, odznaczająca dojrzałe umysły, jest jednym z najdobroczynniejszych wyników prawdziwego naukowego wykształcenia. Gdybyśmy w innych działach myśli posiadali też same własności, szukalibyśmy prawdy ze spokojem, bez podejrzeń, wsrząśnień i nietolerancyi, cechujących dzisiejsze badania.” Łatwo zgadnąć, że książeczkę swoją p. Carey właśnie w tym celu napisała, ażeby naprzód: dać jasne wyobrażenie o niektórych przedmiotach, na które codziennie w życiu patrzymy, choć o ich istocie wiemy bardzo niewiele; a powtóre, ażeby wyobrażenie to było zgodne z obecnym stanem wiedzy przyrodniczej.

Autorka wzięła tylko pięć przedmiotów pod rozbiór, a mianowicie: 1) węgiel; 2) sól; 3) wodę; 4) żelazo i 5) krzemień, a rozpatrując ich własności, uczy zarazem o ich znaczeniu i zastosowaniu. Opowiadając np., o węglu, mówi o jego pochodzeniu ze świata roślinnego, objaśnia takie pojęcia, jak *ciało stałe*, *ciężar gatunkowy* i t. p., okazuje jego własności fizyczne. Podobnie mówiąc o wodzie, rozprawia zarówno o parze i chmurach, jak i o zastosowaniu pary do poruszania maszyn, a przytęm objaśnia siłę spójności, ciężenia i t. d. Przy opowieści o krzemieniu jest również wzmianka o robieniu szkła. A wszystkie te uwagi nie są bynajmniej luźnic i dogmatycznie podane, lecz wy-

nikają jedne z drugich w sposób naturalny i konsekwentny. Całość zaś rozprawek ujęta jest w formę opowieści fantastycznej; węgiel, sól, woda, żelazo i krzemień zachowują się jako istoty żyjące, obdarzone czuciem, rozumem, fantazyą, wolą i mową; one-to opowiadają własne dzieje zgromadzonym wokoło siebie dzieciom różnej płci i różnego wieku, przyczem wygłaszają mimochodem i nauczkę moralną, zastosowaną do usposobienia tego lub owego ze słuchaczy. Ztąd też pochodzą napisy pojedynczych rozdziałów: *Pamiętnik odłamku węgla*, *Życiorys ziarenka soli*, *Życiorys kropli wody*, *Życiorys zardzewiałego żelaza* i *Życiorys odłamku krzemienia*. Autorka nie tai bynajmniej, że myślała jęj przewodnią w wybraniu tęj formy dla swoich rozprawek była chęć wyrugowania, a choćby dopełnienia tylko powiastek fantastycznych ze sfery ludowej. Te opowiadania fantastyczne, oparte na gruncie ściśle naukowym, opowiadają nie o cudowności zmyślonej, ale o cudowności rzeczywistej, chociaż ta za rzecz cudowną zwykle się nie poczytuje.

Forma taka nie jest nowością w naszej nawet literaturze. Czytelnikom pism Tańskiej znane jest opowiadanie złotówki, mające na celu poczęści satyrę a poczęści naukę moralną. Dzieci lgną do takięj formy, gdyż odpowiada ona ich przyrodzonemu popędowi do ożywania wszystkiego, co wkoło siebie spostrzegają; wiadomo, jak dzieci do zabawek swoich przemawiają, jak się z nimi pieścżą lub się gniewają na nie. Rozumieją one dobrze, iż przedmioty te, ku którym mowę zwracają, nie mogą im odpowiedzieć, a mimo to lubią fantazyi swojęj wodze popuścić! Korzystać z tego usposobienia na rzecz nauki nie jest rzeczą zdrozną i celom pedagogicznym nieodpowiednią, a to tęp bardziej, że dzieci łatwo odróżnią stronę rzeczywistą od fantazyjnej w takiem np. *Opowiadaniu węgla*, który mówi rzeczy ściśle naukowe, chociaż on sam w zachowaniu się swojęm przenosi się w zupełnie inną sferę istnienia, bo w sferę ludzką.

Potrzeba atoli wielkiego talentu i wielkiego taktu pedagogicznego, ażeby się utrzymać we właściwych granicach; to jest, ażeby nie popaść w błąd pustęj allegoryi z jednęj strony, a niestosowności i niedorzeczności z drugięj. Zdaje mi się, że pani Carey nie ustrzegła się tych pomyłek; jęj *Węgiel*, *Woda*, *Żelazo* i t. d. przemawiają raz jako poważni profesorowie, a drugi raz jak pustaki. Jest w tęp nieraz humor ściśle angielski, ale bywa także koncept niesmaczny. „Bezwątpienia jestem ciałem stałem, powiada węgiel, ciekawym, ktoby nie był ciałem stałem, zniósłszy ciśnienie tak silne i długie, jak ja je znosiłem.” „Ależ ten biedny jegomość usprawiedliwia swe własności tak, jakby one były tyłomaż wadami, zauważyła Adelajda, zapewne dlatego, żeś go Edytka nazwała brzydką czarną bryłą.” W spostrzeżeniach tych trudno nie zauważyć subtelnego humoru; kiedy jednak tenże minerał „daje słowo honoru uczciwego węgla” (str. 18), to nie wiem, jak się to anglikom podoba, ale mnie wydaje się niepotrzebnym i niesmacznym konceptem. Podobnież wyrażenie, że „zardzewiałe żelazo chrząknęło kilka razy,

chcąc głos swój oczyścić," może wywołać śmiech w gronie działwy, a ponieważ śmiech ten jest zdrowy, nie można autorce zarzucać, że się przyczyniła do jego wywołania; trudno atoli zastosować też same uwagi do wyrażenia: „jestem żelazem, dobrém żelazem i tém się szczycę” (str. 83).

Ze świata minerałów przechodzimy do *Świata zwierzęcego*, w który wprowadza nas znana autorka *Wieczorów czwartkowych*. Autorka nie siliła się na obmyślenie formy nowej dla oddania wiadomości zoologicznych; nie starała się nawet o uprzyjemnienie swego opowiadania; krótko i węzłowato podaje zarysy zewnętrzne istot z rozmaitych gromad, dodając tu i owdzie szczegóły z ich obyczajów. Zdaje się, że autorka miała jedynie za zadanie objaśnienie licznych rycin, jakie pomieszczono na osobnych tabliczkach. Ryciny te wzięto zapewne z jakiegoś zagranicznego wydawnictwa i ułożywszy je w pewnym porządku, który odpowiada podziałom zoologicznym powszechnie przyjętym, dano autorce, ażeby tekst odpowiedni zamieściła. Ztąd poszto, że wybór istot, do opisania wziętych, zostawiono zupełnie pierwotnemu układowi rycin, ograniczając się na roli zwykłego cicerona, który niekiedy tylko zachowuje swoją samodzielność nie dając opisu tych żyjątek, jakie na rycinie widzimy, tam zwłaszcza, gdzie nazw polskich trudno było odszukać, jak to np. zdarzyło się z wymoczkami (str. 151), których na rycinie jest sześć a w tekście 2 tylko.

Dydaktycznych zasad w ugrupowaniu zwierząt, autorka z tego powodu przestrzegać nie mogła. Jakże bowiem rozpoczynać wykład od zwierząt domowych, najlepiej dziecięciu znanych, a zatem przez dydaktykę do dokładniejszego zbadania zaleconych, kiedy pierwsza zaraz rycina przedstawia mały najwyżej uorganizowane (goryla i orangutana). Jak zwracać uwagę dzieci na usposobienie, inteligencję i obyczaje zwierząt, kiedy na jeden obrazek przeznaczono jedną stronicę tekstu, a częstokroć na tym jednym obrazku jest sześć lub więcej osobników?

Trudno nawet powiedzieć, dla kogo przeznaczono tę książkę. Dzieci same nie mogą się nią bawić i z niej się uczyć zarazem, gdyż opisy krótkie, suche i czysto zewnętrzne nie mogą zaciekać i przywiązać do książki. Rodzice lub bony, nie znające zoologii, częstokroć nie wskażą nawet dziecku, który opis do którego zwierzęcia się odnosi, gdyż zaniedbano ponumerować okazy a wskazówki tekstu wiele pozostawiają do życzenia pod względem dokładności. Nauczyciele zaś, obeznani z nauką, pominią tekst, a co do obrazków, to przeniosą nad nie tablice większych rozmiarów, których autorowie więcej dbali o poprawność i estetyczność rysunku, niż ten, co rysował i malował ryciny użyte w *Świecie zwierzęcym*.

Zwróciwszy tu uwagę na dydaktyczną stronę książeczki, nie wdaję się już w szczegóły dotyczące samych opisów, naprzód dlatego, że to nie moja specjalność, a powtóre ze względu na to, iż wykazywanie błędów w i uchybień wtedy tylko mogłoby mieć praktyczne zastosowanie,



gdyby całość odpowiadała celom pedagogicznym. Nadmienię więc tylko, że ponieważ opisy odnoszą się zazwyczaj do strony zewnętrznej, niema w nich błędów rażących. Mimochodem zauważę, że tę klasę zwierząt, którą autorka *Wieczorów czwartkowych* mianuje *zestawnemi* (str. 8), nazywają u nas pospolicie *stawowatemi*.

— P. Ferdynand Hösick, księgarz i nakładca warszawski, powziął był przed kilku laty myśl wydawania *Biblioteki ilustrowanej dla młodzieży*, któraby mogła być dla pokolenia społecznego tém, czém była niegdyś dla wielu generacji *Biblioteka Campego*, albo *Pisma Klementyny Tańskiej*. Miała ona w przystępnej i zajmującej formie podawać wiadomości ze wszystkich niemal dziedzin nauki, zgodnie z dzisiejszym jej stanem. Zamiar sam był niewątpliwie godzien szczerzego uznania i poparcia. Powodzenie wydawnictwa zarówno moralne jak i materialne zależało od pierwszych kroków w przeprowadzeniu projektu do skutku. Tymczasem gdy z końcem 1875 roku, ale z datą następnego, ukazały się trzy pierwsze dziełka stanowiące zawiązek *Biblioteki* a mianowicie: 1) *Złota książka*; 2) *Mały i wielki świat dziecięcy* i 3) *Dobre dzieci—zadni ludzie*; krytyka zauważyła, że są to bardzo nieudatne przeróbki z niemieckiego, w których zaniedbano nawet wyrzucić to, co specjalnie dla Niemców mogło mieć interes, ale dla nas całkiem było obojętném; że dalej same te wzory niezawsze odznaczały się należytemi zaletami, będąc częstokroć suchém, niezbyt zrozumiałém przedstawieniem rzeczy i wypadków; że dopełnienia odnoszące się do spraw kraju naszego w większej części były nadzwyczajnie mierne. Prócz tego niemile raziła każdego ta okoliczność, że dla dzieci polskich drukowano książki w Niemczech, jakby za smutnych czasów Bogumiła Korna, że w ilustracyach były napisy niemieckie, że południe nazywało się: *Süd*, a północ: *Nord*, miód: *Honig* i t. d. i t. d. Słowem, w całym wydawnictwie wiał duch cudzoziemczyzny, mniejsza że niemili dla uczuć naszych, ale nader niekorzystny dla prawidłowego rozwoju umysłowości dzieci naszych. Że papier był ładny, druk czysty, ilustracje nieźle rysowane i dobrze odbite, to nie mogło przeciwważać ani niezbyt szczęśliwego wyboru treści, ani ducha nieswojskiego, ani okropnych błędów korektorskich, ani smutnych omyłek pod względem czystości języka ojczystego. Ceniąc dobre chęci wydawcy, niepodobna było nie zwrócić jego uwagi na niestosowność środków użytych do urzeczywistnienia tych dobrych chęci.

Spostrzegł to bezwątpienia i sam pan Hösick, to też w następnych tomach starał się wprowadzić pewne zmiany na lepsze. Z początku zmiany te były ledwie dostrzegalne; następnie ujawniały się coraz bardziej a w końcu wyraziły się trzema książkami, których treścią był kraj nasz własny. Podobnież i co do zewnętrznej strony. Pan Hösick drukował ciągle zagranicą, usunął tylko firmę drukarni lipskiej; wreszcie oddał ostatni z dotychczasowych tomów do drukarni polskiej. Nie wyrażamy z tego powodu wdzięczności dla wydawcy, gdyż w motywach, które go do tej zmiany spowodowały, musiał grać

niepospolitą rolę nizki stan waluty miejscowej; zaznaczamy jedynie fakt i wyrażamy opinią, że dobrzeby się stało, gdyby wydawca od samego początku w tenże sposób postępował.

Jeżeli się rozpatrzmy w wewnętrznym układzie *Biblioteki*, to łatwo zauważymy, iż kolejnym następstwem tomów nie kierowała wcale myśl wytrawna, zasadami dydaktyki przejęta. Przechadzkę wychowawczą rozpoczęto od odwiedzin wielkich lub wspaniałych grobowców, jakie potomność na cześć sławnych mężów w pamięci swój wystawiła; a następnie przebywszy ogromne koło wędrówek po całym świecie, zawrócono do rodzinnej zagrody i, jak dotychczas, rozpatrzono ją tylko z dziejowego stanowiska. Kto tylko choć troszkę obeznany jest z zasadami dydaktyki, odrazu oceni niewłaściwość takiego planu podróży. Pedagogowie każą nawet w nauce systematycznej rozpoczynać od zagrody rodzinnej i stopniowo rozszerzać zakres do powiatu, kraju, państwa, części świata i t. d.; pedagogowie każą zaznajamiać z płodami natury i zwierzętami z najbliższego naszego otoczenia, a nie podziwiać rajskie ptaki, studyować budownictwo Eskimów, florze podzwrotnikowej się przypatrywać i drżać na wspomnienie gór ognionosnych. *Bibliotekę* p. Hösicka każdy wychowawca musi sam porządkować według pewnego planu; a to będzie możliwem wówczas dopiero, gdy już wydawnictwo ukończy się w zupełności.

Tymczasowo wypada rozejrzeć się w publikacyi podług układu chronologicznego, jak pojedyncze tomy się ukazywały.

Wydawnictwo rozpoczęło się od życiorysów, których ogół można podzielić na dwie nierówne części: pierwszą i większą zarazem zawierają biografie ludzi, którzy wstawili się na polu nauki, sztuki i przemysłu; drugą zaś życiorysy tych, którzy czynami wojennemi lub zdolnościami politycznemi wybitne zaznaczyli ślady swój pielgrzymki ziemskiej. Wyszła następnie druga książeczka, która może się uważać za miniaturowe wydanie téj pierwszej; zawiera bowiem kilkadziesiąt krótkich opowiadań z życia ludzi mniej lub więcej historycznie znanych, a odznaczających się jakąkolwiek zaletą moralną. Starożytność uwzględniono tu bardzo słabo; plemieniu natomiast germańskiemu wydzielono zanadto miejsca i zanadto pochwał. Nad wartością tych książek nie będę się tutaj zastanawiał; uczyniłem to już dawniej na innem miejscu (*Gazeta Polska*, 1875, nr. 289, 290).

Podobnież o pierwszej części *Małego świata dziecięcego* wypowiedziałem tamże swe zdanie. Tu jedynie dla związku ze sprawozdaniem o części drugiej nadmienię, że jestto tak zwana *nauka o rzeczach*, ujęta w luźne opowiadania. Można się tu dowiedzieć o dawnym sposobie pisania, o drukowaniu książek, o cukrze, soli, gąbce, wełnie, jedwabiu, igle, drutach, drzewie, węglu, zegarze, kalendarzu, porach roku i t. d. i t. d., częstokroć bez żadnego innego związku, prócz praw zwykłego kojarzenia się wyobrażeń i pojęć. W końcu książeczki jest próba zamiany wyobrażeń na pojęcia; autor określa tu znaczenie przyrody i przemysłu, wskazując ich namacalne różnice i przedstawiając

twory natury kopalne, roślinne i zwierzęce, zawarte pomiędzy czterema ścianami pokoju; w dalszym ciągu tych uogólnień daje pojęcie o domu, o wsi i mieście, o państwie, częściach ziemi i świecie. Uogólniając treść zawartą w tym tomie, można się zgodzić z autorem, że się starał objaśnić tu dzieciom prawa astronomiczne i geologiczne w ich najprostszym kształcie, chociaż nie zaniedbywał również opisów ze świata roślinnego, zwierzęcego i ludzkiego.

Tom drugi *Małego i wielkiego świata dziecięcego* ma jeszcze napis oddzielny: *Z domu i ze szkoły*. W przedmowie wystosowanej do rodziców i nauczycieli czytamy, że zamiarem autora było: otworzyć głębinę *wewnętrznego* życia, o ile te występują na jaw w samych ludziach, w przyrodzie, w dziejach i baśni; ażeby tym sposobem wyrobić sumienie w młodych czytelnikach, będące „jedyną łódką ocalenia” wśród wzburzonych fal panoszącego się dziś materyalizmu etycznego. Autor niemiecki zapatrując się na normalne stosunki swojego kraju, wyprowadza wychowawca z rodziny do szkoły i pięknie określa stosunek, jaki pomiędzy nimi zachodzić powinien. Najbliższy krok z domu rodzicielskiego, powiada, prowadzi na podwórze i do ogrodu, na pola i łąki, jeżeli pod *zewnątrznym* jego względem według czasu i przestrzeni się mierzy. Przeciwnie dla wyższego, *duchowego* życia najbliższa i bezpośrednia droga prowadzi do szkoły. Szkoła bowiem w stosunku do domu rodzicielskiego nie jest bynajmniej czémś obcym dla dzieci i rodziców; wszakże i dom rodzicielski był także szkołą. Każdy krok w świat obcy, choćby nie wiem jak bliski, grozi dziecku niebezpieczeństwem, jeżeli nad niemi nie czuwa opieka rodzicielska lub nauczycielska. Przeciwnie szkoła, choćby była co do miejsca najdalszą, jest bliżką domu rodzicielskiego, gdyż się w tymże domu rozpoczyna. Stosunki między rodzicami i nauczycielami powinny być najgłębsze, najserdeczniejsze. Każdy prawdziwy nauczyciel jest właściwie ojcem; każdy ojciec jest właściwie nauczycielem, prawnym doradcą dzieci. Piękne te słowa mogły i powinny były znaleźć modyfikacją pod piórem tłumacza polskiego, któryby zwrócił uwagę na obecne stosunki szkolne, które w harmonii ze stosunkami domowymi niezawsze zostają. Pedagogika jest nauką praktyczną; to też wymagań swoich nie stawia jako rozkazów absolutnych ale jako rady, których zastosowanie od wielu okoliczności zależy. Niema wątpliwości, że ideałem jest wzajemne uzupełnianie się domu i szkoły, w celu harmonijnego wykształcenia charakteru dziecka; gdzie jednak uzupełnianie się to napotyka trudności nieprzeczwyciężone, tam dom musi zastępować niedostatki szkoły.

Co do samej treści książeczki, to autor zgodnie z wyżej zaznaczonym zamiarem zachęciwszy przedewszystkiem w sposób zajmujący, bo obrazowy, do uczęszczania do szkoły i wykazawszy w ogólnych zarysach, czego się tam nauczyć mogą, zapoznaje młodych czytelników z pięcioma częściami świata w następującym porządku: Europa, Ameryka, Afryka, Azja i Australia, usprawiedliwionym względem „ważno-

ścią” tych części; a następnie rozповіда o wodach i łądach. Stanowi to pierwszą grupę opowiadań. Druga grupa obejmuje w powieściowych zarysach najprzód opis samej szkoły, jako też ogródka dziecięcego, a potem wiadomości z życia roślin i zwierząt, przyczem występuje naturalnie i człowiek. Ten jednak stanowi jeszcze osobną grupę, w której pomieszczono niektóre ustępy z historii biblijnej, dano objaśnienia co do dziejów i podań, ilustrując wykład odpowiedniami przykładami.

Z tego zestawienia widzimy, że w układzie części przewodnicząca stała myśl, systematycznie, a jednak bez formalizmu zgarniająca pojedyncze ustępy w pewną zaokrągloną całość. Ale chcąc mieć pojęcie o sposobie przeprowadzenia tej myśli, należy pamiętać, że rzadko kiedy znajduje się tu suche wyliczanie albo definicya; zwykle natomiast ożywiono pogadankę przypowieściami, podaniami, wprowadzeniem osobistości ze świata dziecięcego, zwrotami porównawczemi, które przypominają wychowawcom rzeczy bliskie, dobrze im znane, ażeby dać wyobrażenie o rzeczach odległych, mniej znanych. Tak np. opis Afryki rozpoczyna się od następnego zestawienia: „Dzieci, które na południowym krańcu Europy w mieście Gibraltarze mieszkają, mogą codziennie nawet ze swych okien na modrawe zarysy gór spoglądać. Mają one tak bliską drogę od jednej części świata do drugiej, jak np. dziecko w Sochaczewie, które swą ciotkę w Warszawie pragnie odwiedzić. Ale morze jest tam w pośrodku; więc kto chce się dostać na tamtą stronę do Afryki, musi, ponieważ skrzydeł niema, pojechać tam okrętem; w kilka też godzin na miejsce przybędzie” (str. 15). Użył nadto autor żywiu fantastycznego w ten sam mniej więcej sposób co i p. Carey, to jest ożywił przyrodę martwą, rośliny i zwierzęta obdarzył mową i kazał im przemawiać do wyobraźni dziecięcej. Co tam z powodu życiorysów węgla, soli i t. d. powiedziałem, to i tu w znacznej części zastosować się daje. Główną różnicę stanowi tu wyobraźnia niemiecka, w której poetyczna rzewność przemienia się niekiedy w mdłą sentymentalność, a humor bywa częstokroć wymuszonym, wysmarzonym produktem a nie sokiem ożywym. Chętnie jednakże uznajemy, że są też miejsca wielką pięknnością się odznaczające. Gdy np. młodzianka jodełka uskarża się, że jej na choinkę nie ścięto i woskowemi świeczkami nie ubrylantowano, rozumne słonko tłómaczy jej, że dobrze się tak stało, gdyż nie zmarnowano jej na bezcelową zabawkę; a chcąc pocieszyć ją, promieniami swemi tak rozjaśniło każdą kropelkę wody na igłach jej kołyszącą się, że zaiskrzyły się wszystkie jedna czerwono, druga zielono, potem błękitnawo, żółto, złociście, srebrzyście—i mieniły się różnemi barwami. A było to w początkach wiosny. Od ciepłego słonka, ogrzewającego ziemię, ocknął się chrabąszcz, który pod kępką mchu przeżył swój sen zimowy. Gdy ujrzał drzewko pełne iskrzących się świeczek, sądził, że słonko wyprawia jakąś huczną biesiadę dla lasu całego; zawołał więc głośno na swych braciszków i na siostrzyczki śpiące. Wtedy zadrgnęły śpiochy zimo-

we, poczęły sobie przecierać oczęta i wyszły z pod bryłek ziemi. Zgiełk ten przebudził maika, który gniewnie zamruczał: „co to ma znaczyć? jeszcze się nie wyspał jak należy i całe ciało moje jeszcze ospałe i ciężkie; dlaczego nie dajecie mi spokoju i budzicie mię, kiedy śpię w najlepsze?” Ale gdy usłyszał, co się stało, sam wygramolił się z ziemi i innych śpiochów porozbudzał. Wtedy wszystkie istotki usadowiły się wkoło jodły i cieszyły się z jej blasku; ba, tak się nawet rozochociły, że niektóre z nich, co choć nie tak pięknie jak konik polny, ale przecież wcale nieźle mogły rzępolić i nawet skrzypeczki swoje pod pokryciem skrzydełek nosiły, zaoferowały się zagrać do tańca. Wprawdzie maik uważał za rzecz niewłaściwą, by już od rana wdawać się w hulankę; ale nasi muzykanci wysmarowawszy struny kalafonią, którą przy sobie na nóżkach nosiły, zagrały tak ochoczo a inne chrząszcze poczęły się tak żywo wkółko obracać, że nawet ociężałe maiki porwane zapałem tanecznym, zaczęły się kręcić wraz z innymi.

W ten sposób roztacza się ten miluchny obrazek budzącego się życia w naturze; nie braknie tu ani chmurek, ani ostrego wietrzyka, ani roztropnego jelonka, który dostrzegłszy w pobliżu szarego potwora w postaci ropuchy, trącił sąsiada swego różkiem i wywołał popłoch w całym ochoczym gronie; musiało się ono rozproszyć czempredziej i schować pod ziemię lub mech: ropucha markotna, że nie mogła się pożywić, wróciła, zkąd wyszła. Pod drzewkiem znowu zapanowała cisza, wszystko zdawało się obumarłym, tylko wiatr szeleścił po zeschniętych liściach, które na ziemi leżały.

Nie wszystkie jednak pomysły są równie udatne; najpospolitszą w nich wadą bywa zbyt duża, a więc nużąca rozwlekłość, spowodowana ciężkim i trudnym lotem wyobraźni, która musi się długo kotłować w powietrzu, zanim nabierze śmiałości do wędrówki. Do takich należy, między innymi, pielgrzymka liszki (str. 74—80). Gdyby jeszcze styl był żywszy, możeby wada ta niezbyt raziła; ale niestety, styl tu prawdziwie niemiecki, wedle tradycyjnego pojęcia o nim: pełno w nim zdań wtrąconych, pełno przymiotników i przysłówków, które ścisłości dodają, ale ujniają jedności. Tłómacz polski, starający się zresztą o zastosowanie tekstu niemieckiego do stosunków miejscowych, nie pomyślał jakoś o nadaniu okresom i zdaniom złożonym toku polskiego, lecz wiernie przekładał to, co w oryginale wyczytał. Któreżto dziecko w Polsce chętnie odczyta taki np. ustęp: „Gdy zaś nagle, *tak duży jak palec, mały gwarek na nitce, który był jego liną* (?) jakby ze studni został na wierzch wyciągnięty i zrazu wychylił *maleńką, ładnie pomalowaną* główkę *drewnianą*, a potem poruszając rękami i nogami zeskoczył z szybu, *natenczas* wszystkie dzieci zawołały radośnie: witaj, mały górniczku, witaj!” Ileżto potrzeba wysiłku, ażeby dzieci należycie ogarnąć mogły wszystkie własności następnego opisu: „Budynek szkolny stał na *dużym, pięknymi drzewami obsadzonym* i piaskiem *wysypanym* podwórzu, gdzie mali uczniowie w jednych godzinach, a małe uczennice w drugich biegali i oddawali się *różnym, krótkotrwałym* zabawom.”

Opis ten jest bardzo dokładny, ani słowa, ale jakże ciężki, jak trudny do głośnego odczytania.

To, co w książce: *Z domu i ze szkoły* stanowiło drobną jedynie częśćkę, rozszerzonem zostało w dwu sporych tomach, opracowanych przez Stanisława Strojnowskiego pod napisem: *Ziemia i jej mieszkańcy* tudzież *Europa w obrazach*. Stanisław Strojnowski, zmarły w roku 1878, znany był głównie ze swojej *Geografii fizycznej*, z mapy Europy i z artykułów pomieszczanych w *Encyklopedyi kościelnej*. Zamiłowanie miał wielkie do nauki wogóle, a do geografii w szczególności; to więc co podawał, pozostawało w zgodzie z badaniami umiejętnemi; talentu jednak pedagogicznego nie posiadał, jak się zdaje, w wyższym cokolwiek stopniu; do uczniów dojrzałych mógł przemawiać z korzyścią, ale zniżyć się do pojęcia dzieci nie umiał. Wydawca dzieł jego, wchodzących w skład *Biblioteki ilustrowanej dla młodzieży*, w ogłoszeniach swoich przeznaczają je dla młodzieży *dorastającej*; sam atoli autor w przedmowie do książki: *Ziemia i jej mieszkańcy* inaczej trochę przeznaczenie pracy swojej określił. Powiada on tutaj, co następuje: „Oczywiście nasze dzieło wymaga uprzedniej znajomości przynajmniej elementarnej geografii. Posiadającym taką, a zatem *całą prawie publiczność*, która szuka i znajduje rozrywkę w czytaniu, pochlebiamy sobie, że podamy szereg obrazów, mogących posłużyć do odcieniowania i ukolorowania tych rysów konturowych, jakie pozostają po wykładzie nauki elementarnej. Będzie to przeto uzupełnieniem wielkiej i ważnej nauki ziemioznawstwa, które *każdy myślący i żądny oświaty człowiek* pozyskuje przez czytanie opisów miejscowości i podróży, albo, co nierównie jest lepszem, lecz nie każdemu danem w dostatecznej mierze, badanie tego i sprawdzanie w podróżach i spostrzeżeniach własnych. W naszym dziele chcieliśmy zebrać i podać w jednej książce te opisy, które żądny takich wiadomości czytelnik odnajdywać musi po wielu bardzo dziełach i to w większej części obcych.”

Z tych słów przekonujemy się, że Strojnowski, pisząc swoje dzieło, miał na oku tak zwany ogół wykształcony, nie zaś młodzież w szczególności. Wynika to również z odparcia zarzutów, jakie, uprzedzając krytyków, autor sam sobie postawił. Usprawiedliwia się tu np. z tego, że opisy przezeń w dziele pomieszczone nie wyczerpują wszystkiego, co jest godnym poznania; to usprawiedliwienie się ma racją bytu jedynie w tym razie, gdy dzieło przeznaczone jest dla publikli; w stosunku zaś do uczniów byłoby rzeczą zbyteczną, gdyż im potrzeba podawać tylko rzeczy najważniejsze do rozważania.

Jakoż z przejrzenia, choćby kilku tylko, opisów łatwo się przekonać, że one nie dla dorastającej młodzieży, ale dla dorostej już publikli są przeznaczone. Rozmaita jest ich wartość, stosownie do talentu autora, jedne są piękne, inne tylko jasne i ścisłe, jedne szczegółowe, inne zwięzłe. Strojnowski zbierał te opisy dosyć starannie, korzystając najwięcej z autorów niemieckich; gdzie były dobre artykuły w naszym

piśmiennictwie, nie zaniedbał ich pomieścić; niektóre wreszcie skreślił sam.

Układ całego dzieła jest następujący. Najprzód napotykamy „obrazy ziemi w ogólności” w liczbie 29. Tu są objaśnione i opisane takie przedmioty i zjawiska, jak: ziemia, morze, burza i cisza morska, przyptyw i odpływ, prądy, działanie morza na brzegi, okręt, nurek, życie w morzu, budowle nawodne, trzęsienia ziemi, wulkany, wiatry, deszcze, trąby wodne i lądowe, lasy pierwotne, zorza północna, lodowce, świat roślinny i zwierzęcy w rozmaitych stronach ziemi, różnorodne środki pożywienia. Następnie idą opisy głośniejszych miejscowości w Azji, Afryce, Ameryce i Australii, przyczém uwzględnione są także zarówno szczegóły z geografii fizycznej jak i z etnologii: wulkany błotniste na Jawie, wylewy Nilowe w Egipcie, ofiary ludzkie w Dahome, życie Eskimów w Grenlandyi, obyczaje Indian w stepach Ameryki północnej, Botokudów w Brazylii, pastuchów w Australii są skreślone żywo i wyraziście. Daje się tylko dostrzegać pewną nierównomierność w traktowaniu części świata: Azja obrobiona została najobszerniej, gdy tymczasem Ameryka, jakby na przekór wyrażonemu zdaniu w książce: *Z domu i ze szkoły* o jej ważności, doznała upośledzenia. Niektóre opisy, pomimo usprawiedliwienia się autora w przedmowie, nie mogą ująć zarzutu, że są przestarzałe; tak np. *Damaszek*, którego opis wziął autor z pielgrzymki ks. Hołowińskiego do Ziemi Świętej, inaczej się już dzisiaj przedstawia według nowszych sprawozdań. Podobnie i pod względem etnologicznych danych, możnaby dokładniej sze wybrać szczegóły ze znakomitych dzieł Lubbocka i Tylora.

Forma życiorysów musi być szczególnie ulubioną dla wydawcy, bo jak rozpoczął wydawnictwo swoje od *Złotej książki*, tak też obszedłszy cały świat znany, kończy na teraz czterema tomami, w których żywioł biograficzny panuje. Istotnie, niepodobna zaprzeczyć, że życiorysy ludzi znakomitych są jedną z najpotężniejszych dźwigni w sprawie kształcenia charakteru młodzieży; w nich bowiem żywa forma przykładu rozbudza w duszach młodocianych szlachetną w tym razie żądę naśladowania wielkich uczuć, myśli i czynów, a podając nieraz środki do dopięcia celu prowadzące, zapala umysł, wzmacnia energię, ożywia siły do przewyciężenia trudności i przełamania przeszkód, na drodze życia napotykanym. Ażeby jednak podobne skutki wywołać, potrzeba pilnego a sumiennego w życiorysach wyboru z jednej, a umiejętnego i zajmującego obrobienia ich z drugiej strony.

*Znakomite niewiasty*, szkice opracowane przez p. Wandę Żeleńską, zawierają 16 krótszych i dłuższych życiorysów. Jestto, o ile wiem, pierwsza praca na szerszą skalę przez tę autorkę dokonana; zaleca się poprawnością stylu i czystością języka, lecz nie posiada zalet wewnętrznych, któreby ją piękną i prawdziwie pożyteczną książką uczynić mogły. P. Żeleńska, kładąc napis na swój książce, nie zdała sobie widocznie dokładnej sprawy z warunków, jakie od znakomitości są wy-

magane; to, co nazywamy zwykle słynnym, znanym lub osławionym nawet, ona znakomitem mianuje. Ztądto, obok istotnie znakomitych postaci niewieścich, takich jak: Jadwiga, królowa polska, Klementyna z Tańskich Hofmanowa, Elżbieta, królowa angielska, Joanna d'Arc, pani Staël, Angelika Kaufman, pomieściła także takie osobistości jak: Barbara Radziwiłłówna, Anna Jagiellonka, Marya Leszczyńska, Marya Stuart, Wiktorya Colonna, Krystyna szwedzka, które są wprawdzie niezmiernie często wspomniane, czyto z powodu piękności, czy nieszczęść, czy też dziwactwa swego; lecz mało kto dodaje im epitet znakomitości, zachowując go dla tych, co czynami swemi wielki wpływ na pokolenia całe wywierali. Nie spieram się tutaj o czyzy tytuł tylko, ale o rzecz ważniejszą, bo o wszczepianie w młodociane umysły pewnych pojęć, które w przyszłości mogą się i w postępowaniu zaznaczyć. Jeżeli młoda czytelniczka dowie się, że można zostać znakomitością będąc tylko piękną i uwielbianą przez adoratorów, a prześladowaną przez zazdrosne współzawodniczki (jaką się ukazuje Marya Stuart w zyciorysie, w książce tej pomieszczonym); jeżeli ideałem dla niej będzie Barbara Radziwiłłówna, to nic dziwnego, że później nie potrafi ocenić prawdziwej wielkości i że się o nią ubiegać nie będzie, mając tak ułatwioną drogę do sławy. Powierzchnownie pojmując powołanie niewieście, autorka usprawiedliwiać się zdaje swój wybór porównaniem kobiet do kwiatów. „Jeśli w pięknie utrzymanym ogrodzie, ogólną harmonią podnosi, ożywia różnaitość barw i woni, to na niwie dziejowej również rozliczne typy, odbijając się od siebie odrębnością indywidualną, zlewają się w jedną całość i dopełniają niejako. W książce tej spotykamy Joannę d'Arc obok Maryi Stuart, Jadwigę obok Krystyny szwedzkiej, Barbarę Radziwiłłównę obok Karoliny Corday; mimo sprzeczności charakterów i różnicy przebytych kolei, nie wykluczają się wzajemnie, gdyż każda z nich na swęj drodze odznaczyła się potęgą wpływu, talentu czy uroku.” Smak tylko estetyczny podyktował te wyrazy, a gdyby wykonanie odpowiadało naszkiemowanemu programowi, nic byśmy nie mieli do powiedzenia przeciw takiemu ugrupowaniu osobistości, pociągających różnorodną grą charakterów, chociażbyśmy książkę taką niekoniecznie dorastającym paniom polecali.

Wykonanie atoli nie odpowiada ani estetycznym, ani dydaktycznym wymaganiom. Najlepsze nawet zyciorysy, do których barw i wyrażzeń nawet dobiegała autorka z Szajnochy (*Jadwiga, Barbara Radziwiłłówna*) w skutek skrócenia pierwowzoru, a zatem nadmiernego nagromadzenia dat szczegółowych, a zupełnie tu zbytecznych, utraciły ten powab, jaki miały w pierwowzorze i zamieniły się na wyliczenie wypadków godnych pamięci. A cóż mówić o tych, do napisania których nie miała autorka tak dobrych, jak Szajnocha przewodników. Wyglądają one, jakby wyjęte z jakiejś większej Encyklopedyi, gdzie chodziło o zestawienie na szczupłej stosunkowo przestrzeni, znacznej liczby szczegółów. P. Żeleńska przedstawia zazwyczaj tylko strong



zewnątrzną życia tam nawet, gdzie ta ma podrzędne znaczenie, gdy tymczasem działalność umysłowa zajmuje miejsce pierwszorzędne. Opowiedziawszy np. życiorys Klementyny z Tańskich Hofinowej na 5 kartkach, kończy go następującymi słowy: „Nad znaczeniem i ważnością jej dzieł, *zbytecznym* byłoby więcej się rozwodzić, gdy weszły niejako w krew i życie kilku pokoleń” (str. 89). Mnie się zdaje, że właśnie dlatego, iż imię i nazwisko Tańskiej tak często jest wspominanem, należało wykazać jej rzeczywiste zasługi, ażeby czytelniczki nie powtarzały tylko za panią matką ogólników w tym rodzaju: „Rozchwytywano jej dzieła; wyjście nowej książki, stanowiło epokę dla myślących kobiet” (str. 80), bo gdyby każde dzieło Tańskiej stanowiło epokę, należałoby dla myślących kobiet naszych zupełnie nową *erę*, odrębną od dotychczas znanych, ustanowić. My zazwyczaj umiemy wiele hymnów pochwalnych na cześć naszych znakomitości wyśpiewać, ale nie potrafimy wykazać rozumowo motywów naszego uwielbienia; walczyć przeciw tej wadzie, a nie utrwać ją potrzeba. Inną razą autorka tak się gubi w drobnych szczegółach, iż nie podaje nawet zarysu wielkich przymiotów opisywanej znakomitości; czytelniczka, która uważnie odczyta biografią Elżbiety, królowej angielskiej, nie dowie się nic o tém, co ją wielką monarchinią uczyniło, a znakomitość jej zasadzać chyba będzie na zmianie „jawnych ulubieńców.” Analiza psychologiczna, zagłębienie się w charakter, wykazanie czynników, które na urobienie jego wpływały; natura i rodzaj umysłu: wszystko to dla naszej autorki jakby nie istniało, chociaż stało się już dzisiaj przewodnią myślą w pisaniu dziejów i biografii. Może autorka sądziła, że takie rzeczy są niemożliwe w życiorysach, pisanych dla dorastającej młodzieży; możemy atoli wskazać w samej *Bibliotece ilustrowanej* jeden tak napisany życiorys w *Złotej Książce*, a jest nim biografia Thorwaldsena. Oddawna to już powiedziano, że dziecko jest małym człowiekiem, nie można mu więc skąpić tego światła, którym się radują dorośli, a jeżeli dla nas nie przedstawia już powabu dawną manierą skreślony życiorys, nie wymagajmy po dzieciach zainteresowania w całkiem zewnętrznie zarejestrowanym spisie wydarzeń.

Uwagi te posłużą nam również do oceny trzech dziełek, zostawionych pod koniec długoletniego zawodu literackiego przez Kazimierza Władysława Woycickiego. Przepędziwszy swój żywot na skrzętnem zbieraniu pamiątek, jakie nam czas z literatury dawniej zachował i przejęty od młodu miłością dla całego narodu, bez różnicowania w sercu swoim szlachcica od chłopca, doczekał się licznej rodziny nie tylko ciałem, lecz i duchem z nim spokrewnionój, zasiadł więc przy kominku i zaczął gwarzyć ze swymi wnuczętami o tém, co było, wplatając własne przygody w tkanę dziejową, -ożywiając wspomnieniem własnych radości i cierpień, chwile wesole i smutne, jakich kraj doznawał. Często, jakby przeczuwając blizki zgon swój, rzewnej struny dotykał i łzę ukradkiem obcierał, ale nie dawał się opanować rozżaleniu, krzepił w sobie ducha, ażeby malców nie rozmazgać.

W pogadankach swoich nie bardzo się troszczył o systematyczność, do której wogóle skłonności nie miał, a zwykłym u starców trybem z chronologią niezawsze bywał w porządku; chciał tylko wpoić w serca młodociane gorącą miłość wszystkiego, co uważał za dobre i co w znacznej części bywało dobrem istotnie. Lubił często powtarzać dobrze sobie znane historyjki i anegdotki, bo się do nich sercem przywiązał; a co było w sercu, to się chętnie i w mowie ukazywało.

Jak mówił, tak też i pisał. Nie szło mu o sławę wielkiego stylisty, ale o wypowiedzenie tego, co czuł i myślał. Nad układem niewiele się zastanawiał, bo zkańdokolwiek rzecz rozpoczął, zawsze potrafił nawrócić do ulubionych tematów. Nad wymaganiami dydaktyki nie rozmyślał, bo ani czasu, w których się wykształcił, ani chwila literacka, w której najczynniejszy brał udział, ani okoliczności życia, ani skłonność wreszcie nie naprowadziły go na refleksyę pedagogiczne. „Opowiem, jak umiem najlepiej, myślał sobie może, szczerem uczuciem przejmę serca moich słuchaczy, to i dosyć; Niemcy niech sobie smażą głowy nad pedantyczną systematycznością i łamigłówkami wychowawczemi, nam wszystkie te sztuki niepotrzebne: otwarta głowa, zacne serce, dzielny duch wydał w przeszłości znakomitych ludzi; niechże i terazniejszość nie opuszcza tych ubitych torów.”

W taki sposób tłómaczymy sobie powstanie trzech dziełek dla dzieci noszących ogólny napis: *Z rodzinnej zagrody*. Pierwsze z nich obejmuje życiorysy, które, mówiąc słowami autora, „stanowią poczet mężów godnych wieczystej pamięci,” przez położenie względem kraju usług pożytecznych w różnych zawodach życia publicznego. Mężowie ci, wszyscy rodem Polacy, żyli w XVI, XVII i początkach XVIII-go stulecia. Na 238 stronicach dosyć bujnego pisma mieści się życiorysów 44, tak, że na każdy przecięciowo mało co więcej nad pięć stronic wypada. Z tych zewnętrznych warunków łatwo wywnioskować, że nie może tu być mowy o portretach wykończonych; trudno nawet biografie te uczcić nazwą szkiców; są to raczej bardzo pobieżnie kreślone sylwetki, w których rysy zlewają się i przecinają bardzo nieregularnie, tak, że zaledwie niektóre, bardzo wyraziste, rozpoznać można dokładnie. Ażeby zdanie to uwidocznic na przykładzie, dość będzie zastanowić się nad dwoma ustępami, bezpośrednio po sobie następującemi, w pierwszym zaraz życiorysie Zygmunta Starego. Czytamy tu najprzód: „Zygmunt I wstąpił na tron 1506 roku, koronowany dnia 24 stycznia 1507 r., rozpoczął szczęśliwe panowanie. *Przy dobroci i łagodności charakteru*, zajął się troskliwie utrwaleniem porządku w kraju i w dochodach państwa, wiedząc, że ład i spokój w *społeczności każdego narodu*, a zasób i dostatek w skarbie królewskim, dopomagają najsiłniej do jego wzrostu i potęgi. Jan Boner, mieszczanin krakowski, a podskarbi Zygmunta I, główną był mu pomocą i wkrótce uskutecznił zamiary oszczędnego w wydatkach swoich pana.” Bezpośrednio potem następują takie zdania: „Król ten w gronie swoich braci odznaczał się obejściem poważnym. Gdy ojciec jego, Kazimierz Ja-

giellończyk, powierzył wychowanie synów sławnemu historykowi Długoszowi, ten szczególną zwracał uwagę na Zygmunta, przepowiadając mu świetną przyszłość." Oczywiście, ten drugi ustęp stać powinien przed pierwszym, gdyż mówi o Zymuncie jako o dziecku i młodzieńcu, a nie o królu. Taka zygzakowata linia opowiadania nie da się pogodzić z wymaganiem jasnego i porządnego przedstawiania rzeczy.

Wybór i uszeregowanie wziętych do opisu osobistości, nastęrcza również niejedną uwagę krytyczną. Na 44 życiorysów, większa o wiele część, bo 28 opowiada o pisarzach zarówno poetach jak prozaikach. Nie dziwny się, że literat najchętniej mówi o literaturze; ale w książce dla dzieci chcielibyśmy widzieć większą różnorodność, gdyż nie każdy chłopiec i nie każda panienka mają pociąg do autorstwa; potrzeba im więc stawić wzory z różnorodnych stanów i zajęć. Tymczasem tu, oprócz pisarzy, mamy tylko królów i wojowników; jednego nawróconego pielgrzyma (Radziwiłła Sierotkę), jednego autora-gospodarza (Jana Ostroroga) i jednego dziwaka (Radziwiłła Panie Kochanku). Ale i wybór, zrobiony wśród pisarzy, niezawsze usprawiedliwić się daje. Pomieszczono tu Niegoszewskiego, który się wślawił zrećznością wierszowania łacińskiego na zadany temat; odmierzono mu trzy stronicie, a Mikołaj Kopernik, wielka chluba nasza, nie doczekał się osobnego życiorysu. Nie mógł się pod tym względem krępować autor faktem, że już w *Złotej Książce* pomieszczono króciutką biografią tego geniusza, boć tamże znajdują się także i Kochanowski i Sobieski i Zygmunt Stary i Stefan Batory, o których przecież czytamy i tutaj. Dlaczego jest Wojciech z Konojad Dębołęcki, który chyba dla dziwactw naukowych został w tej książce pomieszczony, a niema Frycza Modrzewskiego? Dlaczego czytamy o Klemensie Janickim, a nie słyszymy o Sarbiewskim? A co do zachowania chronologicznego porządku, dlaczego Klemens Janicki następuje dopiero po Reju, Bielskim, a nawet Kochanowskim; dlaczego Marcin z Urzędowa, który należy jeszcze do XVI stulecia, pomieszczony został po Fredrze, Twardowskim, Kochowskim, a nawet po Potockim i Pasku? Jakże tu wymagać po dzieciach, ażeby odróżniały jedno stulecie od drugiego, jeżeli takiego odróżnienia w książce nie znajdują. Z takich nieopatrznych ugrupowań powstaje ten chaos chronologiczny, który w młodzieńczych zagnieżdźszy się głowach, bruździ później przez całe życie i nie pozwala nawet dorosłym oryentować się należycie w labiryncie szczegółów bez porządku w głowie nagromadzonych.

W miarę, jak postępował w pisaniu książek dla dzieci, Woycicki wyrabiał sobie coraz lepszą formę, naginał się do wyobrażeń i przyzwyczajęń dziecięcych i mowę swoją do ich poziomu umysłowego zaczął stosować. To też pod względem przystępności, o wiele lepsze od poprzedniego jest drugie z kolei dziełko, mające, oprócz ogólnego, szczegółowy także napis: *Pokój dziadunia*. Nie nowa to wprawdzie forma opowiadania, boć ję używali dosyć często pisarze nasi, począwszy od Klementyny Tańskiej, w każdym jednak razie lepsza ona od luźnych i su-

chych opowieści, których żaden stosunek serdeczniejszy nie łączy. Dziadunio, opowiadający wnukom swoim dzieje narodu i jego literatury, z przerwami, powodowanemi przez zajęcia domowe, przez jakieś uroczystości kościelne czy rodzinne, ożywiający swoje gawędy wspomnieniami z życia własnego, jest bliższy bądźco bądź serca dziecięcego, niż jakiś nieznamy autor, głoszący jakby z katedry o tém, co się niegdyś działo.

W *Pokoju dziadunia*, opisanym szczegółowo, a umiejscowionym w obszernym dworze, otoczonym starymi dębami, poszczerbionym ciosami, których w biegu dziejów doznawał, rozwieszono były obrazki, przedstawiające ważniejsze sceny z życia narodowego, począwszy od czasów bajecznych aż do końca wieku XVIII. Od rozdziału II do XIV włącznie objaśnia dziadunio te obrazki, uprzytomnia swoim młodym słuchaczom postaci mężów znakomitych i szereg ważnych wydarzeń; rozdział XV poświęcony jest obrazkom życia domowego i krajobrazów ziemi naszej; rozdział XVI maluje dwory, zamki i pałace, mówi o wychowaniu młodzieży i o zmianach, jakim podlegało; w rozdziale XVII czytamy zajmujące szczegóły o obyczajach przodków, o ich życiu rycerskiem i myśliwiskiem, o ich pobożności i szanowaniu związków rodzinnych i przyjacielskich; w rozdziale XVIII o niewiastach polskich, o patryarchalnym stosunku dworu ze wsią, o apteczkach domowych, o wstępie ziemian do życia miejskiego; rozdział wreszcie XIX daje zarys doli ludu, mówi o jego pieśniach, przysłowiach i zwyczajach i kończy się piękniemi i serdecznemi słowami, które tak dobrze charakteryzują usposobienie autora: „Teraz chłopiec przyszedł do swobody, sam na siebie i dla siebie pracuje, zaczyna żyć tak samo jak za Piastów i pierwszych Jagiellonów, a gdy przyjdzie oświata i sam jęj potrzebę uzna, wtedy poczuje się człowiekiem i obywatelem własnego kraju. Bodajbym dożył jeszcze tych szczęśliwych czasów. Wrodzone zdolności naszego ludu, męstwo i dzielność żołnierska w boju, czego sam byłem świadkiem tyle razy, wydałyby znakomitych ludzi na pożytek i chlubę krajowi!”

Z tego wyliczenia treści przekonać się możemy, że zarówno zewnętrzna jak i wewnętrzna strona dziejów została uwzględniona, chociaż po większej części w sposób mechaniczny, a nie organiczny: życiu zewnętrznemu poświęcono główne rozdziały, wewnętrznemu zaś dodatkowe; czasami tylko łączył autor w obraz ogólny obie strony, lub je ze sobą przeplatał. Wiele tu także poświęcono miejsca anegdotom, zwłaszcza myśliwiskim, znanym już z poprzednich dzieł Woycieckiego. Nie kładziemy téj okoliczności na karb ujemnych stron książki, gdyż autor w swojej roli dziadunia musiał opowiadać rzeczywiste swoje przygody, a powtórę chociaż starsi oddawna je znają, dla młodych czytelników mogą mieć cały powab nowości.

To, co za istotną ujemność poczytać nam wypada, jest całkiem anegdotyczne traktowanie historii. Zarzut ten nie znaczy bynajmniej, żebym anegdotę zupełnie wykluczał z zakresu wiadomości historycz-

nych dla dzieci, a żądał natomiast wykładu wielkiej polityki i dobadywania się związku przyczynowego pomiędzy wypadkami. Takich wymagań dydaktyka stawiać nie pozwala. Żąda ona tylko, aby anegdota nie była wszystkiém, aby się nie rozpanoszała kosztem rzeczywście ważnych okoliczności, które dziecko zrozumieć może. Tam gdzie anegdota panuje, niema właściwej nauki, jest tylko prosta rozrywka. Jeśli czytelnik z całego panowania Batorego wyniesie tylko parę takich frazesów jak: *Disce puer latine, ego te faciam moscipanie, Chociaż zły poseł Pękosławski, ale dobry żołnierz, Wściekły pies raz zabiły więcej nie kęsa*; jeżeli dalej z innych ważnych faktów dowie się w dwu wierszach, że „za rządów Stefana ustanowiono trybunały w Lublinie i Piotrkowie dla Korony, a dla Litwy w Wilnie, Nowogródku i w Mińsku,” przyczém nie będzie nawet wiedział, co jest trybunał, to korzyść umysłowa z przeczytania rozdziału może się zredukować do zera.

W trzeciej wreszcie książce, zatytułowanej *Biblioteczka dziadunia*, opowiada Woycicki dzieje literatury polskiej dla dzieci. Ramki tego opowiadania są też same co i w *Pokoju dziadunia*, ten sam nawet sposób wykonania. Ostatni rozdział poprzedniego dziełka, w którym autor opowiadał o ludzie, stanowi punkt wyjścia dla nowego szeregu pogawędek. Jakoż sześć pierwszych rozdziałów poświęca dziadunio obrazowemu i przykładowemu objaśnieniu obrzędów i zwyczajów ludowych, przyczém pieśni i przysłowia najodpowiedniejsze tu dla siebie znajdują miejsce. Jestto pomysł nadzwyczaj trafny i stanowi rzeczywście największą zaletę ostatniej książki Woycickiego, pisanéj na parę miesięcy przed zgonem. Gawędy rozpoczynają się w drugiej połowie marca. Skowronki nad miedzami oziminy fruują i dzwonią swoje piosneczki wiosenne, jaskółki krążą wokóło przyjaznego sobie domu i niedługo zaczną już lepić gniazdeczka swoje; żabki w sadzawce ogrodowej rzechocą; dziadunio spodziewa się przylotu bociana, więc opowiada powiastkę ludową o tym *Panu żabim*. W maju wychodzi wraz z wnukami na łąki, by się przypatrzeć sianokosom, a przy sposobności przysłuchują się pieśniom, przypominają sobie przysłowia. W czerwcu przyglądają się ogniom sobótkowym, uczą się piosnki *o przepióreczce*, potem następują dożynki. Chcąc wyczerpnąć zakres pieśni ludowych, dziadunio opowiada wnukom o opryskach i historią Janosika przypomina, którą później uzupełnia podaniem o Doboszu.

Mniej natomiast zadawalniająca jest część druga (rozdział VII do XVIII) przeznaczona na skreślenie zarysu dziejów literatury pisanéj. Zamęt chronologiczny, nieumiejętność w grupowaniu postaci i w uwydatnianiu stron ich istotnie charakterystycznych; drobiazgowość w opowiadaniu o jednych, a sumaryczność w przedstawianiu innych osobistości są to cechy główne, które się do każdego rozdziału z jednakołą słusznością zastosować dają. Uwydatnimy to na kilku przykładach.

Po rozdziale XII, w którym dziadunio opowiedział o przedstawicielach literatury Stanisławowskiej, przypomina sobie w następnym

rozdziale, że nie wspomniał do tej pory o jednym z najświetniejszych pamiętnikarzy naszych: o Janie Chryzostomie Pasku. Po załatwieniu się z nim w tymże samym rozdziale, który przez naturalne kojarzenie się pojęć, przywiódł na pamięć i Michała Korybuta i Sobieskiego i Dobosza, traktuje o pisarzach z czasów Księstwa Warszawskiego i Królestwa kongresowego (t. j. o Osińskim, Koźmianie, Felińskim i Lindem). Zdawałoby się, że tu już powinna się być znaleźć wzmianka o Morawskim, Żółkowskim i Kamińskim, oczekiwanie to jednak doznaje zawodu; o Morawskim bowiem dowiemy się dopiero w rozdziale XV, a o Żółkowskim i Kamińskim w XVIII. A jakaż nierównomierność w opowiadaniu o dawniejszych czasach. Mówiąc o pisarzach XVI stulecia, autor nie waha się podawać dat szczegółowych o pierwszych wydaniach; gdy tymczasem o wielkich poetach naszego wieku zaledwie ogólnikowe znajdujemy wspomnienia. Czasem dziadunio tak się zapomina, że nie wymienia najznakomitszych utworów pisarza, a szeroko mówi o drobniejszych utworach jego pióra. Tak się zdarzyło z Brodzińskim; przytacza tu Woycicki jego *Przechadzkę wieczorną*, jego wiersz: *Matka i dziecię*, mówi o nim jako o profesorze literatury, a o *Wiesławie* ani słyhu; dopiero w następnym rozdziale dowiadują się o nim wnukowie w sposób przygodny, jako niby o rzeczy im już znanj. Pamięć zawodzi również dziadunia, zwłaszcza tam, gdzie mówi o nowj epoce; według niego Mickiewicz zapoznał się z Zygmuntem Krasieńskim w Paryżu, gdy wiadomo jaknajdokładniej, że to było w Szwajcaryi; biedzi się także, kogo postawić na czele nowego okresu literackiego, raz więc podaje Kazimierza Brodzińskiego (str. 177), drugi raz Malczeskiego (str. 195), to znów łączy ich obu i mianuje przewodzcami ruchu, to wreszcie Mickiewicza zgodnie z innymi, jako jego inicjatora wystawia. Ma też swoje przesady i uprzedzenia nasz dziadunio; dla niego, jak zresztą dla całej starszej generacji pisarzy, początek literatury polskiej datuje dopiero od wieku XVI, tak, że wszystkie zabytki z dwu wieków poprzednich za nie są poczytywane; dla niego ody Naruszewicza są bez wyjątku niewarte, bo w nich „niema ani śladu zdolności poetycznych,” chociaż *Głos umarłych* mógłby okupić bardzo wiele błędów; ale dziadunio zawziął się na Naruszewicza tak dalece, „że niema co z jego wierszy odczytać,” chociaż sam w szkołach uczył się jego sielanki: *Pacierz staruszka*; dla niego przekład *Syna Marnotrawnego* jest wyższy od oryginału i t. d.

Zasadniczą atoli wadą całej książeczki jest ta okoliczność, że dziadunio chwali i gani pisarzy, wedle swego upodobania, nie starając się nawet napomknąć o motywach wyroków swoich. *Stat pro ratione voluntas*. Co najwyżej wspomina o języku i stylu, jakby tylko z tych dwu żywiołów składały się utwory piękna. Rozumiemy to bardzo dobrze, że lepiej jest odczuwać piękność utworu, aniżeli unosić się nad nim na zimno; to wszakże nie ulega wątpliwości, że odznaczenie najważniejszych zasad estetycznych w sposób przykładowy na utworach przytaczanych, niezmiernie się przyczynia do rozjaśnienia pojęć

estetycznych i jest nawet nieodzowném do należytego zrozumienia i sprawiedliwój oceny rozwoju poezji i literatury wogóle. Nasze dotychczasowe historye literatury dla młodzieży nie spełniają tego zadania; ztąd téż słusznie nazwać je można zbiorami bibliograficznymi i biograficznymi, lecz nie historią w prawdziwém znaczeniu tego wyrazu.

Zajmując się rozbiorem treści i układu powyższych książek, nie chcieliśmy rozrywać uwagi czytelnika wzmiankami o ich języku, stylu i kształcie zewnętrznym. Tutaj więc musimy kilka słów sprawie téj poświęcić.

Na nieszczęście, niepodobna pod tym względem dać pochlebnego zdania. Nie możemy tu osobno obwiniać autorów a osobno wydawców, gdyż przy niestaranném wydaniu trudno jest nieraz orzec napewno, czyje niedbalstwo lub niedopatrzenie zawiniło. Potrzebaby całe stroniczki zapisać, ażeby zrobić dokładny wykaz błędów językowych, stylistycznych, drukarskich, ażeby wykazać niewłaściwość lub złe wykonanie rycin. Papier jest pospolicie bardzo piękny, druk czysty i wyraźny, ryciny z klisz zagranicznych zdejmowane, ładnie rysowane, starannie wycięte, czysto odbite; ale na tém już koniec. Jak wielu dzisiejszych kupców wspaniałą wystawą sklepową i elegancją urzędzenia, stara się zakryć lichotę towarów; tak i panowie wydawcy, za bagatelę poczytując sobie korektę, powierzają ją byle komu i wydają dla dzieci dziełka, które nęcą wprawdzie piękną okładką, ale oburzeniem przejmują wychowawcę, pragnącego, ażeby wychowaniec miał w danój sobie książce wzór poprawnego i jasnego wystawiania się. Wydawnictwa szczególnież p. Hösicka, odznaczają się grzeszném niedbalstwem, pod względem interpunkcyi i korekty.

Nie wdając się tu w prostowanie błędów szczegółowych, dosyć powiedzieć, że w książkach Woycickiego znajdują się zdania bez orzeczeń, okresy niepokojone, formy gramatyczne niepoprawne (dzieci *biegali* niezmiernie często), interpunkcyja najfantastyczniejsza. Ilustracye, o ile są wzięte z klisz zagranicznych, odznaczają się zaletami; ale o ile dotyczą rzeczy krajowych, są często straszliwemi bohomazami, których typami mogą być nazwane tak nędzne pod względem rysunku i odbicia drzeworyty, jak: *Porwanie Gertrudy Komorowskiej* (str. 187 *Biblioteczki dziadunia*) lub *Odwiedziny Mickiewicza u Goethego* (str. 199 téżże książki), gdzie poeta nasz wygląda jak żebrak proszący o jałmużnę.

Czas byłby głęboko przejąć się tém przekonaniem, że blichtr nienadługo służyć może, że zatém starać się potrzeba o trwalsze zalety książki, niż piękny papier i bogata okładka. Utalentowanych pisarzy dla dzieci na zawołanie mieć niemożna; ale wydać poprawnie książkę pod względem językowym i stylowym nie jest trudnością do nieprzewyciężenia. Potrzeba dbać nietylko o oczy dziecka, ale i o jego umysł. Z tego powodu niech mi wolno będzie zakończyć ten przegląd

słowami, które p. A. W. wypowiedział w *Bibliotece Warszawskiej* za rok 1848, pisząc: o najnowszych w literaturze naszej książkach dla dzieci." „Nie rozumiemy, ażeby oszczędnością było dawać dziecku ladajaką książeczkę, jak mu się wkłada ladajaką sukienkę. Złe-to wyrachowanie przestać na niedoskonalszym nauczycielu dlatego, że on ma być do małych jeszcze uczniów. Pamięć u dzieci ma ten przymiot, że wszystko, co pochwyti, do najpóźniejszych lat tak wiernie, tak nieskażenie przenosi! Możnaż takiemu umystowi wykładać *prawdę niedbale* lub go *nauczać błędów?*”

*Piotr Chmielowski.*

## Kronika lwowska.

Posiedzenie doroczne w Zakładzie Imienia Ossolińskich.—Pobył Siemiradzkiego we Lwowie.—Peryodyczne wystawy sztuk pięknych.—Nowe szkoły.—Ruch wydawniczy.—*Pisma Juliusza Słowackiego*.—Powieści.—*Rocznik szlachty polskiej*.—*Biblioteka nowości*.—Dramat Kornela Ujejskiego.—*Wilhelm Tell*, przekład Jana Nep. Kamińskiego.—Prasa peryodyczna.—*Lowiec*.—† Prof. dr. Rudolf Günsberg.—Wykłady naukowo-popularne.—Nowy zakład fotograficzny Mieczkowskiego.

Zakład Naukowy Imienia Ossolińskich odbywa regularnie w październiku swe posiedzenia doroczne, ustanowione w celu uczczenia pamięci założyciela, a zarazem aby obznajamiać peryodycznie publiczność ze stanem i czynnościami Zakładu. Sprawozdania roczne na tych posiedzeniach odczytane, tworzą razem wzięte, historią Zakładu, zawierającą pobieżnie przynajmniej wskazane wszystkie główne szczegóły jego rozwoju. Uważnie śledząc takowy w przeciągu dłuższego lat okresu, widzimy znaczny postęp tak w uporządkowaniu spraw finansowych i we wzroście dochodów Zakładu, jakoteż i pod względem jego naukowego znaczenia, pomimo tego, że ze śmiercią takich dwu mężów, jak ś. p. kurator książę Jerzy Lubomirski i August Bielowski, dotkliwej doznał straty. Pamięć zasług obu pozostanie niezatartą w dziejach Zakładu. Książę Jerzy oddany mu całą duszą, w krótkim przeciągu lat, przez który sprawował kuratorią, wprowadził wiele pożytecznych reform w jego urządzeniu, a połączenie z nim i przewiezienie do Lwowa Muzeum Lubomirskich, stanowi świetną epokę w życiu Zakładu, bogatym zbiorów jego uposażeniem. Postępując wskazanym torem, pod światłem kierownictwem dzisiejszemu, Zakład rozwija się pomyślnie i dalej organizuje, zwłaszcza że dzisiej-



szy zastępca kuratora Kazimierz hr. Krasicki, gorliwie nad nim czuwa i chętnie przykłada czynną rękę do wszystkiego, co tylko z dobrém Zakładem połączone, do pomyślniej tegoż przyszłości przyczynić się może. Mianowany następcą ś. p. Bielowskiego, dzisiejszy dyrektor Kętrzyński, zajął się zaraz po objęciu tój posady skatalogowaniem i nowem uporządkowaniem rękopismów, stanowiących bogaty, mianowicie pod względem treści, dział biblioteki. Liczba ich doszła już obecnie do 2745. Muzeum pozostające pod dyrekcją Pawłowicza jest obecnie staraniem tegoż wzorowo i umiejętnie urządzone, skatalogowane i opisane, co kilku lat pracy wymagało, zwłaszcza uporządkowanie wedle szkół porządkiem chronologicznym i skatalogowanie bardzo cennego i obfitego zbioru rycin.

Ze sprawozdania tegorocznego dowiadujemy się, że liczba dzieł biblioteki wynosi obecnie 74,165, dubletów 5,000, atlasów i map 1,074, rycin 22,512. Dochodu miał Zakład w roku ubiegłym 34,674 zhr. to jest o 3,000 zhr. więcej niż roku poprzedniego. Książek w tym roku zakupiono za tysiąc kilkaset guldenów, co w stosunku do cyfry rocznego dochodu może jest nieco zamałym na powiększenie biblioteki wydatkiem. Dochody Zakładu wzrosły znacznie przez to, że wydawnictwo książek szkolnych zostało ostatnimi laty oddane przez rząd w komis Zakładowi, co oczywiście dobrze się opłaca a zarazem jest połączone i z korzyścią szkół krajowych. Uzyskanie tego przywileju zawdzięcza Zakład staraniom dzisiejszego zastępcy kuratora.

Z darów uczynionych w tym roku Zakładowi, najznakomitszym jest dar Ksawerego hr. Branickiego, który ofiarował zakupioną po ś. p. Wyzińskim w Paryżu bibliotekę, składającą się z przeszło siedmuset dzieł treści ekonomicznej. Zbiór ten wraz z ofiarowanym przed laty kilku w darze przez pana Ludwika Skrzyńskiego zbiorem dzieł téjże samój treści, stanowi najkompletniejszą zapewne w Polsce bibliotekę tego przedmiotu, zawierającą wszystkich najznakomitszych ekonomistów; wszystko cokolwiek godniejszego uwagi napisano tój treści. Do reform przedsięwziętych w upłynionym roku, należy reorganizacya czytelní, przeznaczonój głównie dla młodzieży szkolnój. Zakład bowiem od czasów kuratorji ś. p. Jerzego Lubomirskiego posiada dwie odrębne czytelnie. Jedna z nich, tak zwana *naukowa*, urządzona jest dla osób czyniących naukowe poszukiwania w książkach i rękopismach Zakładu; druga ma swą osobną bibliotekę podręczną, z którój głównie, jak powiedziałem, korzysta młodzież szkolna. Tę więc bibliotekę podręczną czytelní przejrano w tym roku, przetrzebiono z rzeczy niewłaściwych, a zaopatrzone natomiast w wybór książek celujących pięknym stylem i pożyteczną treścią z wszystkich gałęzi piśmiennictwa. Ażeby zaś dać wyobrażenie, jak ważną rzeczą jest owa reforma czytelní, dosyć będzie wspomnieć, że według spisów regularnie prowadzonych, odwiedziło ją ubiegłego roku w porze zimowój 10,875 czytelników szukających w niój po części nauki, głównie zaś pożytecznój rozrywki. Muzeum doznało także reorganizacyi, miano-

wicie postarano się o to, aby ułatwić publiczności przystęp do zbioru rycin, gdyż przejrzenie tak wielkiego zbioru umieszczonego w tekach, było tak uciążliwem i tyle wymagającym czasu, iż czyniło zbiór cały niemal nieprzystępnym dla ogółu. Otóż obecnie urządzono osobny salon rycin, w którym kolejno, według szkół i epok rozwieszono będą najcelniejsze ryciny. Tym sposobem będzie można mieć najlepszy przegląd tego, co Zakład w tym zakresie posiada, z umiejętną ocenienia wskazówką. Rzeczy wielkiej wartości artystycznej, jak np. kartony łóż watykańskich Rafaela pozostaną stale na widoku, stanowiąc przepyszną salonu artystycznego ozdobę. Inne, jak powiedziałem, będą się zmieniać kolejno. Obecnie zwraca tu uwagę wizerunek ś. p. Augusta Bielowskiego, wykonany przez dyrektora muzeum Pawłowicza i ofiarowany w darze Zakładowi. Odznacza się uderzającym podobieństwem i dobrym rysunkiem.

Jeszcze o jednej reformie wspomnieć wypada. Pomnożono znów liczbę stypendyów o dwa. Kto są stypendyści?

Dla niezających organizacyi Zakładu nie odrzeczy będzie objaśnić cel tej instytucyi, albowiem ma ona swą doniosłość. Ś. p. Ossoliński postanowił w akcie fundacyjnym Zakładu, aby do prac bibliotecznych używać dwu słuchaczy uniwersytetu, przeznaczając im za kilka godzin dziennego zajęcia w bibliotece Zakładu, stypendya, wynoszące kilkaset guldenów rocznie. Chciał ś. p. Ossoliński, aby tym sposobem znajomość i zamięlowanie literatury wraz ze znajomością bibliografii krzewiły się pomiędzy młodzieżą. Stypendyści mogli być wybierani tylko z grona uczącej się młodzieży uniwersyteckiej. Skończywszy kursa uniwersyteckie, stypendysta tracił tém samém prawo dalszego pobierania stypendyum Zakładowego i ustępował miejsca innemu akademikowi. Piękna była myśl ś. p. Ossolińskiego, aby tym sposobem jak największą liczbę młodzieży obznajmić z życiem literackim i z naukowemi zasobami Zakładu. Rygoryści zarzucali, że Zakład niema należytego pożytku ze stypendystów, jako nieposiadających ani rutyny, ani dostatecznych przygotowawczych wiadomości bibliograficznych. Kilka razy była już nawet mowa o zupełnem zniesieniu instytucyi stypendystów przy Zakładzie, a zastąpieniu ich rutynowymi stałymi urzędnikami. Szczęściem nie przyszło wszakże do tego: i owszem nie tylko nie zmieniono pierwotnej myśli założyciela, ale ją jeszcze rozszerzono, pomnażając z biegiem lat liczbę stypendystów, w miarę rozszerzania się w ogóle czynności Zakładu, tak, iż jest ich obecnie zajętych w bibliotece i czytelni dziesięciu.

Na zakończenie posiedzenia odczytał Klemens Kantecki, skryptor Zakładu, rozprawę historyczno-biograficzną: *Żywot Franciszka Maksymiliana Ossolińskiego*, wielkiego podskarbiego koronnego, znaną czytelnikom *Biblioteki Warszawskiej*.

Dwudniowy pobyt Siemiradzkiego we Lwowie zelektryzował wszystkie sfery tutejszej inteligencji. Przyjmowano go uroczyscie

i z taką okazałością, na jaką się tylko był w stanie zdobyć Lwów, ażeby uczyć artystę i okazać mu wdzięczność za uczyniony, w Krakowie, podczas jubileuszu Kraszewskiego, dar obrazu *Świeczniki chrześcijaństwa*, krajowi na początek założenia galerii obrazów, czyli muzeum artystycznego w odnowionych obecnie Sukiennicach. Przyjęciem Siemiradzkiego zajmował się głównie prezydent miasta, jako pierwszy tegoż przedstawiciel. Przyjęcie ułożone było zresztą według zwykłego w takich razach programu. Rozpoczęło się pochodem z pochodniami wyprawionym zaraz wieczorem po przyjeździe Siemiradzkiego do Lwowa, dalej szły kolejną: wspólny bankiet, przedstawienie strojne w teatrze, wieczór u prezydenta miasta.

Najgłówniejszą atoli rzeczą, która pozostanie trwałym śladem pobytu wielkiego naszego artysty we Lwowie, jest poparta przezeń we wpływowych kołach tutejszych myśl urządzania stale peryodycznych wystaw sztuk pięknych, którąto myśl, powzięta przez grono artystów w Krakowie podczas jubileuszu Kraszewskiego, rozwinięta i poparta przez Siemiradzkiego, znalazła tutaj echo i przyjęła się bardzo dobrze. Wystawy te mają się odbywać co pięć lat naprzemian w Krakowie i we Lwowie, a mianowicie w ten sposób, ażeby we Lwowie przypadająły zawsze równocześnie z peryodycznie także co lat pięć urządzać się mającemi wystawami rolniczo-przemysłowemi.

Mamy wprowadzić we Lwowie co roku wystawę obrazów urządzaną przez Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych; ma i Kraków swą wystawę nieustającą, ale projekt obecnie powzięty znacznie się różni przez to, iż tworzy stałą, *krajową* instytucją, której celem jest zgromadzenie wszystkich sił artystycznych polskich, i popieranie rozwoju sztuki na rozległą skalę funduszami krajowemi. Tę dążność zawiera projekt statutów rzeczonoj instytucji, ułożony w Krakowie i podany tamże na ręce prezydenta miasta Zyblikiewicza, do zatwierdzenia rządowi. Ten projekt, przedstawiony tutaj przez Siemiradzkiego licznemu gronu członków rady miejskiej, literatów i artystów, przyjęto i tutaj, z zastrzeżeniem małych zmian, odnoszących się do stosunków miejscowych, i wybrano stały komitet do dalszego popierania sprawy w porozumieniu z wybranym ku temu komitetem krakowskim.

Według pomienionych statutów rzecz cała ma być oddana w ręce wydziału krajowego i pod tegoż pozostawać kierownictwem. Urządzeniem wystaw ma się zajmować komisya artystyczna, przez wydział krajowy wyznaczona; wydział też ma dawać zaliczkę na urządzenie wystawy z funduszków krajowych, którą sobie następnie z dochodu za bilety wstępu i sprzedaż katalogów potrąca. Tym sposobem będą się też opędać koszta administracyi. Przez oddanie instytucji pod opiekę i zarząd wydziału krajowego, nadaje się jej trwałą podstawę i otwiera pole pomyślnego, coraz szerszego rozwoju. Do dzieł objętych zakresem tych wystaw, należąc będą nie tylko utwory pendzla, dłuta i ołówka, ale oprócz obrazów, rzeźb i rysunków, także modelowanie, litografia i drzeworytnictwo, a zatem wszystkie działy sztuki plastycznej. Wy-

stawy te będą się jeszcze tém głównie różnić od dzisiejszych tutejszych, że za dzieła celujące będą rozdawane nagrody z medalów złotych i srebrnych, tudzież listów pochwalnych; będą się też zakupować znakomitsze dzieła do Muzeum w Sukiennicach. Oprócz tego, podczas każdej wystawy urządzona być ma loterya z nieograniczoną liczbą biletów loteryjnych; za cały fundusz uzbierany ze sprzedaży tych biletów, zakupione będą dzieła sztuki z wystawy i równocześnie z téjże zamknięciem, losowane. Będzie to, jak uczy doświadczenie, bardzo skutecznym środkiem zachęcenia publiczności do zwiedzania wystawy i obudzenia większego dla niéj interesu, jakotóż w ogóle szerszego zamikłowania sztuki. Będzie to niemniej zachętą i dla artystów, otwierając im szersze pole rozpowszechnienia dzieł swoich. Taki jest w najogólniejszym zarysie projekt, który w życie wprowadzony, może się skutecznie przyczynić do bujniejszego wzrostu sztuki, jakiej nową u nas erę świetnie zainaugurowały dzieła Matejki, Siemiradzkiego i innych.

\* \* \*

Jeżeli po udoskonaleniu i po wzroście liczby szkół poznaje się stopień cywilizacji społeczeństw, tak jak go Liebig poznawał po ilości spotrzebowanego mydła, to Lwów pod tym względem wydaje o sobie bardzo chlubne świadectwo ostatnimi laty. Nietylko że w przeciągu trzech lat ostatnich zbudowano okazałe gmachy na pomieszczenie dwu szkół ludowych, utrzymywanych kosztem gminy tutejszój, przy parafii św. Marcina i św. Antoniego, ale nadto przybyło w tym roku kilka szkół zupełnie nowo uorganizowanych staraniem i kosztem miasta. Tu na pierwszym miejscu wymienić należy szkołę *wydziałową* żeńską, której niedostatek we Lwowie bardzo się uczuć dawał. Dziewczęta po ukończeniu szkół początkowych miejskich, chcące wyższego nabyć wykształcenia, musiały go szukać w Zakładach prywatnych, które (jakkolwiek Lwów posiada ich kilka wzorowo urządzonych i prowadzonych), nie zastąpią przecież szkoły publicznej, chociażby już tylko dlatego, że nauka w nich z natury rzeczy musi być kosztowna, podczas gdy w szkole publicznej jest bezpłatna, lub za bardzo mierną stosunkowo opłatą. Istniejące tu dwie wyższe szkoły żeńskie publiczne, u pp. Benedyktynek obrządku łańciewskiego i pp. Benedyktynek Ormianek, nieodpowiadały bynajmniej zadaniu, témbardziej, że przy wielkiej liczbie uczennic ani pomieścić ich nie mogły, ani należycie przeprowadzić systemu wykładów szkolnych. W takich okolicznościach założenie nowéj szkoły wydziałowéj żeńskiej we Lwowie było rzeczą bardzo pożądaną. Wprawdzie organizacya jéj pozostawia jeszcze wiele do życzenia, a dyrekcya poruczono na razie osobie zanadto młodej i zbyt mało doświadczonéj na polu pedagogiczném, ażeby mogła mieć należytą takt nauczycielski i dostateczną powagę; ale są to pierwsze kroki w organizacyi Zakładu, mającego piękną przyszłość przed sobą, pod czujném władz szkolnych okiem. Ktoby chciał się dowiedzieć, czém są szkoły wydziałowe w Galicyi i w jakim kierunku kształcą uczęszczającą do nich młodzież, to z saméj ich nazwy domysliłoby się niemógł żadną miarą. Szkoły wy-

działowe obejmują pewien zupełny sam w sobie cykl przedmiotów, stanowiących niejako całość w wykształceniu tych, co niemają zamiaru wyższym oddawać się naukom i wykształcenie swe na téj już zamierzają skończyć szkole. Program ich zawiera tedy pewne ku temu celowi z systemu wyższych nauk gimnazyalnych *wydzielone* przedmioty; ztąd nazwa szkół *wydziałowych*, nie ze wszystkiém stosowna, nad którą w swoim czasie przy obmyślaniu organizacji szkół rzezonych w Galicyi i uchwalaniu odpowiedniej ustawy, nie mało sobie nałamano głowy.

Drugą szkołą założoną w tym roku przez tutejszą Radę miejską funduszem gminy, jest szkoła ludowa żydowska z językiem wykładowym polskim. Żydzi mają tu we Lwowie dwie osobne swe szkoły ludowe czteroklasowe, założone jeszcze za czasów niemiecko-galicyjskich, z osobnych funduszków żydowskich, w których nauka udziela się w języku *niemieckim*. Napływ dzieci do tych szkół jest ogromny, zwłaszcza od czasu, gdy ustawa zniosła, a przynajmniej bardzo ograniczyła i pod surowy nadzór poddała pokątne szkoły hebrajskie, tak zwane *chajde-ry*, będące źródłem krzewienia talmudycznej ciemnoty. Żydzi postępowi posyłają wprawdzie swe dzieci do szkół miejskich, ludowych polskich, ale nieporównanie większa część posyła do owych dwu szkół żydowskich, przez sam urok téj nazwy i dlatego, że obchodzą w nich święta żydowskie i przestrzegają innych przepisów zachowywanych przez starowierczych żydów. Napływ ten powiększył się ostatnimi laty tak bardzo, że wynikła konieczność znacznego pomnożenia klas, na co wszakże nie wystarczały fundusze szkół rzezonych. Zwierzchość żydowska udała się tedy do Rady miejskiej o zasiłek kilku tysięcy guldenów na utworzenie nowych klas, dla pomieszczenia zgłaszającej się liczby uczniów. Dawniej Rada miejska udzielała takich zasiłków, obecnie jednak sprawa ta wywołała opozycyą i spór kilkoletni, który się zupełnie inaczej zakończył, bo założeniem przez Radę miejską nowej szkoły żydowskiej. Rada nie przychyliła się ostatecznie do tego, aby dać zasiłek szkole, w której uczą po niemiecku, lecz zażądała zaprowadzenia w takim razie w tych szkołach nauki w języku polskim, wychodząc z zasady, że gdzie język polski zaprowadzony jest w urzędach, sądach, szkołach wyższych i życiu publiczném, tam winien być zaprowadzony i w szkole początkowej, jeżeli takowa ma być prawdziwie użyteczną i do publicznego przyszłego należycie przygotowywać zawodu. Wprawdzie w tych szkołach udziela się nauka języka polskiego, jako osobny przedmiot, ale to nie wystarcza wśród polskiego społeczeństwa. Gdy tedy zwierzchność tutejszej gminy żydowskiej niezgodziła się na spolszczenie szkoły, utrzymując, że większa część dzieci żydowskich, wzwyczajona do żargonu niemiecko-żydowskiego w domu, nie rozumie dostatecznie po polsku, aby w tym języku naukę już od pierwszej mogła pobierać klasy, Rada miejska, nie uznając tego zdania, odmówiła subwencji na rozszerzenie istniejących obecnie szkół żydowskich niemieckich, a utworzyła natomiast nową szkołę, zastosowaną do wymagań i potrzeb umysłowych i religijnych dziatwy żydowskiej,

w której nauka wszystkich przedmiotów udziela się po polsku. Pomi-  
mo pierwotnego swego założenia, szkoła ta imienia Czackiego, nie jest  
właściwie szkołą wyznaniową, albowiem oprócz żydowskiej i innych  
wyznań dziatwa nie jest z niej wykluczona. Nauka religii katolickiej  
udziela się tu w sobotę; podczas nieobecności dzieci żydowskich. Ba-  
cząc na główny cel szkoły, rada szkolna zamianowała w niej nauczy-  
cieli i nauczycielki wyznania Mojżeszowego. Szkoła na tém nie traci,  
uczyniono albowiem wybór najzdolniejszych sił pedagogicznych, a se-  
minarya tutejsze nauczycielskie ostatniemi laty wydały wielu bardzo  
zdolnych nauczycieli i takichże nauczycielek wyznania Mojżeszowego.  
Tak więc, gdy z jednej strony zarzucano radzie szkolnej, że posady na-  
uczycielskie obsadziła przeważnie, prawie wyłącznie osobami wyznania  
Mojżeszowego, inni poczytywali znowu taki właśnie wybór za najtraf-  
niejszy, aby zapewnić szkole więtość pomiędzy ludnością żydowską,  
dla której głównie jest przeznaczona. Nie wchodzę w rozstrzyganie  
tego sporu, zapisuję to tylko jako rzecz pewną, że kierownictwo szkoły  
w rąku dzisiejszego jój grona nauczycielskiego jest dobre i można jój  
z tego względu pomyślny rozwój wróżyć.

Przybyło też i gimnazjum czwarte, wprawdzie niezupełnie nowo  
założone, ale zreorganizowane z jednej części gimnazjum trzeciego, na  
osobne, samoistne. Reorganizacya ta przyczyniła się do znacznego roz-  
szerzenia szkoły i rozwinięcia planu naukowego, skoro zapewnione jój  
przez rząd i gminę tutejszą fundusze, dozwoliły na lepsze uposażenie  
profesorów i należyte skompletowanie ciała nauczycielskiego.

W końcu, gdy mowa o szkołach, wspomnieć też wypada i o szkole  
muzycznej, nowo utworzonej przez p. Ludwika Marka. Mamy obecnie  
dwie szkoły fortepianu: w Towarzystwie muzycznym i p. Marka. Ta ostatnia  
składa się z trzech kursów, tak urządzonych, że na kursie trze-  
cim udziela nauki gry i kontrapunktu sam p. Marek; na obu kursach  
niższych są nauczycielkami uczennice kursu wyższego. W tygodniu  
odbywają się wspólne ćwiczenia i popisy kursów niższych wobec dyrek-  
tora szkoły p. Marka, na których tenże przekonywa się o postępach uc-  
niów i wytyka kierunek nauki. Prócz rzeczonych popisów i lekeyi  
zwykłych, będzie urządzać szkoła większych rozmiarów popisy muzy-  
kalne, rodzaj koncertów mających na celu obznajamiać peryodycznie pu-  
bliczność z kierunkiem szkoły i postępem nauki.

Najczynniejsza w tój chwili księgarnia Gubrynowicza i Schmidta,  
uzupełniając nieprzerwanie swe wydawnictwo *Biblioteki znakomych  
pisarzy polskich*, ukończyła obecnie czterotomowe wydanie *Pism Sło-  
wackiego*. Układem zajął się profesor Małeckci, a wydaniem profesor  
Amborski, pod którego staraniem kierownictwem wyszły już dawniej  
w tójże *Bibliotece* pisma Zygmunta Krasińskiego, Bohdana Zaleskiego  
i t. d. Obecne wydanie pism Słowackiego zawiera wszystkie porządkiem,  
w jakim je tworzył poeta. Dział pierwszy obejmuje poczye liryczne,

drugi poemata, trzeci dramata. Poezye objęte wydaniem pośmiertném lwowskiém nie weszły do tego zbioru, jako pochodzące z innéj już epoki twórczości poety, których on sam za życia do druku po większéj części nie przeznaczał. Jak pożądaném w literaturze było nowe wydanie pism Słowackiego, okazuje się z saméj już trudności znalezienia kompletu pierwotnych za życia jego dokonanych wydań w najzasobniejszych nawet bibliotekach. Wydanie obecne pp. Gubrynowicza i Schmidta, jak można najkompetentniejsze, a przytém poprawniejsze i tańsze znacznie od edycyi Brockhausowskiej, jest istotną przysługą, czytającej publiczności wyrządzoną.

A jak pożądanemi w ogóle są tego rodzaju zbiory kompletne pism wielkich naszych poetów, dowodzą wydane przed laty trzema przez tę samą księgarnię Gubrynowicza i Schmidta: *Dzieła Zygmunta Krasińskiego* w dwu tomach, obecnie całkiem już niemal wyczerpane, tak że się okazała potrzeba drugiego wydania, które jest już pod prasą i wyjdzie niebawem na widok publiczny.

Beletrystyka zawsze górą. Publiczność łaknie powieści i zawsze chętnie je czyta, a gdyby chcieć ułożyć statystykę czytelniczną, okazałoby się, iż powieści mają u nas zawsze jeszcze przynajmniej dziesięć razy więcej czytelników i dziesięć razy większy odbyt, niżeli dzieła jakiegokolwiek innéj treści. Mało które wydawnictwo doznało takiego powodzenia, jak wydawana przez księgarnię Gubrynowicza i Schmidta *Biblioteka powieści oryginalnych i tłumaczonych*, która urosła już dzisiaj może do setki tomów, obok równocześnie wydanego stutomowego kompletu dawniejszych powieści Kraszewskiego. Daje to miarę, jak skuteczną i wpływową jest powieść u nas, jak wiele pożytecznej nauki można w téj formie podać szerokim kołom i ile artystycznego obudzić smaku, a zarazem, jak ważną rzeczą jest dobry tutaj wybór i jakiej doniosłości może być tego rodzaju wydawnictwo. Obecnie mamy dwie, świeżo z pod prasy wyszłe oryginalne powieści. Zwany już dawniej z fejetonu jednego z pism codziennych: *Rubin wezyrski* przez Przyborowskiego i *Misya familijna* przez autora *Kłopotów starego komendanta*, którymto pseudonimem lubi się mianować znany tutejszy humorysta. Od lat kilku p. Wilczyński—onto bowiem jest tym autorem, niebędącym nigdy w kłopotcie, gdy chodzi o napisanie powieści—uprząwia gorliwie tę niwę, zasycając nieprzerwanie swych czytelników nowellami i humoreskami, fotografowanemi z życia powszedniego. W tych fotografiach Wilczyński bywa może czasem zanadto drobiazgowy, zanadto błahéj używa treści za kanwę do haftowania swych postaci i obrazków obyczajowych; z tém wszystkiém posiada on wiele zdrowego humoru, wiele ujmującej prostoty w rysunku i trafnego nieraz dowcipu w charakterystyce, co mu tóż zjednało u nas taką wziętość, jakiej żaden z miejscowych nowelistów i powieściarzy w téj chwili przynajmniej nie posiada. W obecnej najnowszej swéj powiastce kreśli obrazek kółka domowego, znany, zpod strzechy szlacheckich domków naszych, obrazek, w którym ciocia Filomena, z ulubionym swym ko-

tkiem Wiernusiem, arcypociesznie, a wiernie z tradycyi naszkicowana, przypomina flamandzkie tego rodzaju obrazki, na polski grunt przemiesione.

\* \* \*

Najmłodsza z księgarni tutejszych, bo zaledwo od trzech lat istniejąca księgarnia Łukaszewicza, wstępuje także na tor wydawniczy i ogłasza dwie szerszego rozmiaru peryodyczne publikacje: *Rocznik szlachty polskiej* i *Bibliotekę nowości*, wychodzące zeszytami. *Rocznik* ma to być na wzór almanachów gotajskich, układany spis genealogiczny wszystkich żyjących rodzin szlacheckich polskich, połączony z kalendarzem i ma wychodzić co roku w jednym dużym tomie. Taki jest program wydawnictwa, którego wartość będzie zależéć od tego, o ile zdoła zebrać i objąć w umiejętném zestawieniu istotnie ważne szczegóły, mogące być materyałem do heraldyki i historii kraju.

Zakres *Biblioteki nowości* jest, jak z samej nazwy widać, niezmiernie rozległy, albowiem wchodzi w jéj program nowości ze wszystkich działów nauki i literatury, a więc zarówno poezye i powieści, jak prace z dziedziny historii nauk przyrodniczych, pamiętniki, podróże i t. p. słowem, cokolwiek nowością przedmiotu i myśli, a wartością treści godném będzie publikacji. Jak ona wypadnie, czy odpowie zapowiedzi programu, to już zależy całkowicie od redakcyi i dobrego kierownictwa. Jeżeli trafnym wyborem dzieł, celujących wartością, potrafi od razu dobrze się przedstawić publiczności i zjednać sobie jéj sympatyę, a powagę w kołach literackich; jeżeli w wyborze utworów do ogłoszenia przeznaczonych, będzie się kierował umiejętnym krytycznym sądem i umieszczać w swéj *Bibliotece* jedynie nowości piór znakomitych, nie mieszając plew ze zdrowém ziarném: wówczas można z pewnością wróżyć powodzenie nowemu wydawnictwu, które, obejmując w swym programie wielką rozmaitość przedmiotów, już tém samym będzie ponętniejszém od innych wydawnictw, tém bardziej, iż jako *Biblioteka nowości*, będzie niejako zwierciadłem współczesnego ruchu umysłowego i literackiego, z którego postępem ma obznajamiać czytelników. O ile *Biblioteka* spełni to zadanie i sprawdzi powzięte z programu nadzieje, wkrótce się przekonamy, albowiem ma zacząć wychodzić jeszcze przed Nowym Rokiem.

\* \* \*

Kornel Ujejski przerwał przydłuższe milczenie. Temi dniami wyszedł z pod prasy jego dramat: *Smok siarczysty*, napisany wierszem białym, w dwu częściach, z których pierwsza nosi tytuł *Prez*, a druga *Smok swatem*. Pomimo że tworzą razem jeden dramat, każda z nich stanowi zaokrągloną w sobie całość i może być za osobny dramat uważana. Najnowszy ten utwór Ujejskiego, posiada wiele wysokich piękności i ukazał dar jego poetycki w całej sile, z tą różnicą, że gdy dotąd wszystkie utwory Ujejskiego miały cechę liryczną, a nawet zatytu-



łowany dramatem utwór lat jego młodzieńczych *Samson*, jest właściwie tylko poematem lirycznym, w dramatyczne odzianym kształty; to w obecnym utworze przeciwnie, myśl poety rozsnuwa się działaniem pełnym dramatycznej plastyki i dramatycznego interesu, charaktery są przeprowadzone wyraziście, a akcja potęguje się ze znajomością duszy ludzkiej i wrażeń scenicznych. Nowy to kierunek poetyckiej twórczości Ujejskiego, w którym, sądząc po tém pierwszém tego rodzaju dziele, stanie równie wysoko jak w swych poezjach lirycznych.

Dramat Ujejskiego odgrywa się w kółku rodzinném, pod polską strzechą. Treść jego wzięta z wypadków codziennego życia, z akordów składających grę zwykłą uczuć, objawiających się walką miłości z wymaganiami światowemi i obowiązkami. Ma wszakże dramat ten i swoją tendencją społeczną, i ta jako ton główny, zasadniczy, służy niejako za grunt, na którym się odgrywają wypadki jego, który tworzy jego tło i nadaje stosowny koloryt. Główną postacią, a przynajmniej najbardziej może charakterystyczną, jakby wprost z życia wiernie naszkicowaną, jest ów *Smok siarczysty*, potomek wielkiego rodu, wnuk hetmanów, podniosły i szlachetny umysł, zacnego usposobienia, w boju dzielny żołnierz i ztąd „smokiem siarczystym” zwany. Piękny ten w gruncie charakter, kolejną wypadków w świat rzucony, ścigany przeciwnościami losu, nie znalazłszy nigdzie gorącego serca, ni dłoni pomocnej, upada moralnie, zostaje włóczęgą i żebrakiem, choć i w tym stanie dumny jeszcze, z ręki spadkowej nie przyjmuje jałmużny; szczęściem dla tego upadłego włóczęgi, z zakrwawioném sercem, lecz hardziej duszy, że zachodzi przypadkowo w dom zacnego majora z Napoleońskich jeszcze czasów, będącego typem żołniersko-szlacheckiej zacności. Córka majorstwa, mieszkająca przy nich, młoda wdowa, to także prześlicznie narysowany wzór niewieści, o pięknej poetycznej duszy, ideał kobiety, pojmującej swe zadanie i z wyższego stanowiska zapatrującej się na swe obowiązki. I tutajto w tém gronie rodzinném, pod tym zacnym staropolskim dachem, znajduje ów „smok włóczęga” dawnych znajomych i serca gorące, niepotępiające bezwarunkowo, lecz usiłujące ogrzać i podźwignąć. Osadzony na leśniczówce, pełniąc obowiązki podleśniczego, śród pięknej przyrody, śród lasów świeżości i téj atmosfery moralnej, odświeżającej pierś znękaną, dźwiga się umysłowo i moralnie z dawniejszego upadku, a przywiązawszy się całą duszą do tego świata, pod którego wpływem odżył i nowym stał się człowiekiem, nie chce już nigdy porzucić leśniczówki, lecz znalazłszy tu serdeczne a naiwne dziewczę, pełne dobroci i prostoty, szczerze go kochające, on wnuk hetmanów, żeni się z tą sielską dziewczeczką, prostą włóścianką i pewni, że będzie szczęśliwy, spokojni o jego przyszłość, rozstajemy się z dramatem.

Wszakże to tylko połowa treści, bo równocześnie rozwija się tu druga, żywsza jeszcze i wielkimi nacechowana przeciwnościami i bólami serc dwojga, której pomyślnego rozwiązania smok dokonywa. Dziwnie kapryśne jest serce ludzkie. Nie daje się krępować więzami

kastowych wyobrażeń, rozrywa je, własnego tylko słuchając głosu, przepala uczuć ogniami. W dobrach owdowiałej córki majorstwa, rządzącą jest młody człowiek, skończony uczeń uniwersytetu, wyższego umysłu i wykształcenia, którego wartość moralną umie ocenić Celina. W pokrewnych sobie duszach obudza się wnet i rozżarza coraz bardziej miłość, opromieniona całą szlachetnością podniosłego uczucia. Lecz jakże on ekonom i syn ekonomy może śmiać pomyśleć o uzyskaniu ręki bogatej dziedziczki szlacheckiego rodu, on nie szlachcic nawet. Jakże mu marzyć o takim szczęściu, jakże i jej zamarzyć o czemś podobnym, wbrew woli rodziców i ich pojęciom kastowym? Otóż i kolizya pełna dramatycznego interesu. Przywiązanie ojcowskie przeważa ostatecznie nad przesądem i major, za pośrednictwem smoka, przekonawszy się o gorącej miłości córki, a szlachetności nieszlacheckiego młodzieńca, przyzwala na ich związek i błogosławi. Smok to uczynił, zdradziwszy przed majorem tajemnicę miłości obojga, a gdyby mu się było nie powiodło owe sprzeniewierzenie ufności przyjaciela i major pozostał niewzruszonym, wówczas smok przygotowany był sam pozór zdrady przyjaciela okupić własnym życiem, tragedya miłości zakończyć strzałem pistoletu, aby się oczyścić z podejrzenia i plamy, mogącej ztąd spaść na niego.

Główną tedy myślą dramatu jest, jak widzimy, postawienie wyższości moralnej, ponad wysokością rodu i tym podobnymi wyobrażeniami towarzyskimi, błahemi, jeżeli im brak gruntu, prawdziwej zasługi i piękna ideału, utrzymującego w łonie ludzkości ziarno prawd Bożych. Tendencya ta wszakże leży tylko w zasadniczej myśli dramatu, wychyla się niejako nieświadomie z jego treści. Główną zaś jego zaletą jest artyzm układu, piękny rysunek postaci, z których każda odmienna, typową przemawia prawdą i wiele zresztą poetycznej piękności, rozsianej we wszystkich dyalogach w każdej scenie. Ujejski zapowiada szereg dalszych dramatów, które podobnie jak dwa niniejsze mają być z sobą powiązane tokiem wypadków i tożsamością działających osób i przedstawić obraz charakterów i życia naszego społeczeństwa w różnych jego kierunkach.

\* \* \*

Ażeby uzupełnić powyższe wiadomości o ruchu tutejszej prasy w obecnej chwili, dodać jeszcze wypada, że księgarnia polska kończy druk nowego wydania *Sielanek* Szymonowicza, w swój *Bibliotece mrówki*, tom czwarty *Śpiewnika* i przekład Szyllerowskiego *Wilhelma Tella* przez Jana Nep. Kamińskiego. Przekład ten powiodło się szczęśliwie księgarni polskiej wydobyć z zapomnienia, w jakim pozostają dotąd wszystkie zresztą liczne pozostałe po ś. p. Kamińskim rękopisy. Znalazłoby się pomiędzy nimi wiele rzeczy, godnych wydobycia na jaw. Kamiński bądźco bądź był znakomitym swego czasu pisarzem, a społeczeństwo uznawali go powszechnie za najlepszego tłumacza, z powodu wielkiej znajomości języka, nad którym odbywał studia z namiętnym zamiętowaniem. Kamiński, chociaż tłumaczył bardzo wiele rzeczy dla

sceny, głównie jednak pozyskał sobie sławę na tém polu przekładem dzieł Szyllerowskich, mianowicie całego *Wallenstajna*, który wyszedł jeszcze za jego życia. Prawda, że przekłady Kamińskiego są może nieco zaciężkie, zanadto posągowo rzeźbione; że może nie zewszystkiem odpowiadają wymaganiom smaku dzisiejszego i niezawsze oddają w całym blasku barwny koloryt oryginału. W swoim atoli czasie przyczyniły się one bardzo wiele do zapoznania publiczności polskiej z arcydziełami literatury niemieckiej i do udoskonalenia języka, pod którym to względem i dzisiaj jeszcze wielką posiadają wartość. Gdyby się dało odszukać wszystkie po Kamińskim pozostałe rękopisy, znalazłby się między nimi cenne rzeczy, godne ogłoszenia. A że to może nigdy nie nastąpi, bo po śmierci Kamińskiego wszystkie jego rękopisy, których pozostało bardzo wiele, przeszły w nieznaną ręce i nie wiedzieć, gdzie się dzisiaj znajdują, dobrze przynajmniej to, co się znalazło, uchronić od zatury i dlatego poczytać należy za zastugę *księgar ni polskiej*, że się zajęła wydaniem niniejszego przekładu *Wilhelma Tella*.

\* \* \*

Prasa peryodyczna, odnosząca się do niektórych szczególnych działów nauk, rozwija się u nas dosyć pomyślnie i uważać to można za jedną z charakterystycznych cech ruchu tutejszego umysłowego ostatniemi czasy, za najnowszy zwrot w kierunku piśmienniczym. Pisma specjalne, których posiadamy kilka, co na Lwów jest już wiele, jak: *Prawnik*, *Dźwignia* pismo techniczne, *Rolnik*, *Barwnik*, *Łowiec*, zalecają się wszystkie wogóle doborem treści i dobrą redakcją, każde we właściwym swym kierunku, a nadto zyskują coraz więcej czytelników, coraz szersze uznanie, podczas gdy jedyne tutejsze pismo literackie *Tydzien*, pomimo niezaprzeczonej wartości, równie starannej redakcyi i naukowego kierunku, a może właśnie dla tego zbyt wybitnego kierunku, nie może przecież pod względem finansowym stanąć na pewnym punkcie i w bilansie wydawniczym zawsze niedobór okazuje. Literaturę zastąpił u nas po większej części fejleton dziennikarski i to jest głównie przyczyną, że pisma czysto literackie, jak mieliśmy już kilkakrotne dowody niedawnemi czasy we Lwowie, ostać się i rozwinąć nie zdołają, chociażby najznakomitszemi zasilaty się piórami. Najlepiej z pośród spóczesnych pism lwowskich, stoi podobno *Łowiec*, który w ciągu dwuletniego swego istnienia zjednał sobie we właściwych kołach gorącą sympatyą z szeroką sferą czytelników, na co też ze wszech miar tak doborem i wartością artykułów, jako też należytem pojęciem swego zadania i nadzwyczaj staranną redakcją zasługuje. Znajdujemy w nim wielką rozmaiłość artykułów znakomitego pióra, powabnie pisanych, jak np.: *Wspomnienia myśliwskie* Kazimierza Wodzickiego; *Obrazki z polowania na niedźwiedzie w Karpatach*, opisy rozmaitych zwierząt i wiele innych, obok licznych korespondencyi, przedstawiających stan spóczesnego myśliwstwa w kraju

i zagranicą. *Łowiec* wziął sobie za zadanie postawić myśliwstwo krajowe na stopie prawidłowej, na zasadach naukowych opartej i z częstą rozrywki uczynić jedno ze źródeł bogactwa krajowego, tudzież szerzyć znajomość zoologii i ornitologii, o ile zakresu myśliwstwa dotyczą. Ze wszystkich pism tutejszych, jedyny *Łowiec* pisze wzorowo czystą, nieskażenie piękną polszczyzną, co jest głównie zasługą redaktora p. Józefa Łozińskiego, zasilającego to pismo wielu własnego pióra artykułami. Obecnie *Łowiec* związał się także stale z nowo utworzonym w Krakowie *Towarzystwem rybackim*, przez co znacznie rozszerzyły swój dotychczasowy zakres, wciągając w siebie także rybołówstwo.

\* \* \*

W bieżącym tygodniu umarł profesor politechniki tutejszej dr. Rudolf Günsberg, wykładający od lat dwudziestu chemią i technologią chemiczną. Zmarły był bardzo czynny w swoim zawodzie, nie tylko w zakresie teorii, ale i na gruncie praktycznym i wiele się przyczynił do ożywienia ruchu przemysłowego w Galicyi, zwłaszcza na polu gorzelnictwa. Po ukończeniu nauk i uzyskaniu stopnia doktora filozofii na uniwersytecie w Jenie, oddał się wyłącznie chemii, a mianowany najprzód zastępcą profesora, później profesorem tegoż przedmiotu na politechnice lwowskiej, osiedlił się stale tutaj, pokochał kraj, zżył się z jego obyczajami i przyswoił sobie język polski tak dalece, że gdy przy reorganizacji dawniejszej akademii technicznej, na dzisiejszą politechnikę, zaprowadzono w niej polski język wykładowy, w skutek czego wszyscy profesorowie dawniejsi, będąc Niemcami, opuścić musieli Lwów, przeniesieni do innych krajów monarchii; on jeden pozostał na swej katedrze, będąc w stanie wyklądać nadal swój przedmiot po polsku, chociaż, przyjechawszy przed laty kilkunastu do Lwowa, języka polskiego wcale nie umiał. Nadzwyczaj przedsiębiorczy, ciągle podejmował nowe pomysły, chcąc służyć krajowi, przeszczepianiem na grunt praktyczny owoców uprawianę przez siebie umiejętności. Będąc jeszcze zastępcą profesora, zaczął wydawać *Pismo dla polskich gospodarzy*, które to jednak wydawnictwo nie utrzymało się długo; później z ramienia Towarzystwa gospodarskiego redagował przez lat kilka *Rolnika*; w końcu rozpoczął był wydawać *Czasopismo dla gorzelników*, które wszakże zwinął wkrótce, postanowiwszy zamiast wydawania pisma peryodycznego, napisać osobne dzieło w tym przedmiocie. W roku 1867 wysłany na wystawę paryską przez rząd i tutejszą radę miejską, z poleceniem zbadania organizacji szkół technicznych zagranicą, objechał w tym celu Niemcy i Francję, a owocem tej podróży było ogłoszone drukiem obszerne sprawozdanie, obejmujące obraz organizacji i stanu naukowego niemieckich i francuzkich szkół technicznych. W Swirzu, o kilka mil od Lwowa, założył był fabrykę krochmalu, a przy niej fabrykę, wyrabiającą z pozostałości krochmalnych konserwę mączną, w kształcie makaronu, służącego na pożywienie,

za co otrzymał list pochwalny na wystawie przemysłowej i dziękczynne uznanie od ministerjum wojny. Jakiś czas zajmował się udoskonaleniem huty szklanej w Majdanie. Podał chemiczne środki poprawienia wyrobu szkła i wzory rysunków, celem nadania piękniejszych artystycznie kształtów szklannym tamtejszym wyrobom. Jakoż doprowadził do tego, że na wystawie rolniczo-przemysłowej lwowskiej, wyroby tamtejszej huty celowały pomiędzy innymi i miały sobie jednogłośnie przyznane pierwszeństwo.

Przed laty kilku zaczął wyrabiać we Lwowie sztuczny pokarm dla dzieci, wedle metody Liebiga, który, zdaniem chemików, ma mieć wszystkie własności mleka macierzyńskiego, a nawet pod niektórymi względami sanitarnymi być lepszym od niego. Przedsiębiorstwo to także nie powiodło się. Chemia nie przekonała naszych matek, nie zastąpiła przywiązania macierzyńskiego, z którym pielęgnując swe dzieci, nie pokładają wiary we flaszczykę napełnioną sztucznie naśladowanym pokarmem. Największe atoli zasługi położył ś. p. profesor Günsberg na polu gorzelnictwa. Widząc, że to jest jedyny przemysł rolniczy, uprawiany na rozleglejszy rozmiar w Galicyi i że prowadzony jak należy, może się stać nie tylko znakomitą źródłem bogactwa krajowego sam przez się, ale zarazem i potężną dźwignią rolnictwa, zwrócił głównie starania swe ku podniesieniu tej gałęzi przemysłu na stopę postępową, aby dorównać mogło gorzelnictwu zagranicznemu i skorzysłało z wszystkich ostatnich czasy na tym polu poczynionych wynalazków. W tym celu zawiązał *Towarzystwo gorzelników polskich* i założył swoim własnym kosztem *szkołę gorzelniczą* we Lwowie, która w bieżącym właśnie roku obchodziła dziesiątą rocznicę swego założenia. Wydała ona wielu umiejętnie wykształconych i praktycznie wyćwiczonych gorzelników i odtądto, można powiedzieć, datuje się era postępowego gorzelnictwa w Galicyi. Na szkołę tę łożył wiele z własnych funduszy, albowiem zasiłki, które na nią uzyskał u rządu i wydziału krajowego, były zbyt szczupłe, aby i w połowie na jej utrzymanie wystarczyć mogły. Jakoż szkoła po jego śmierci upadnie niezawodnie, jeżeli nie znajdzie się ktoś, równie gorliwy, równie niezłomny obdarzony energią, coby zrozumiał jej doniosłość i z równym poświęceniem i zamiłowaniem zajął się jej losem. Aby wreszcie wszelkiemi siłami do wzrostu krajowego przyłożyć się gorzelnictwa i znajomość tegoż na naukowo postępowych oprzeć zasadach, napisał i wydał zeszłej zimy obszernie dwutomowe dzieło: *Podręcznik o wyrobie spirytusu*, w którym objął treściwie i przystępnie wyłożoną, z głównym na praktykę względem, całą naukę gorzelnictwa, wraz z dokładnym opisem i krytycznym ocenieniem najnowszych wynalazków i w użycie wprowadzonych aparatów. Jest to jedyne w swoim rodzaju dotąd dzieło w naszej literaturze, albowiem nie posiadamy drugiego, któreby tak dokładnie a zwięźle obejmowało całą naukę gorzelnictwa z wszystkimi wiążącymi się z nią działami. Pierwszy tom zawiera naukę o materyałach surowych, z których się wyrabia spirytus, teorią gorzelnic-

twa i opis najnowszych aparatów, objaśniony wielu rycinami, których sto kilkadziesiąt w całym dziele się znajduje. W tomie drugim zawiera się nauka kontrolowania wydatków i plan budowy gorzelni, z porównaniem dawniejszych systemów z dzisiejszym. Dziełem tym, wydanym w przededniu śmierci, pozostawił niejako pomnik swych wieloletnich starań około podniesienia gorzelnictwa w Galicyi. Gdybyśmy mieli wielu podobnie gorliwych ludzi nauki, usiłujących zużytkować na rzecz praktyki przemysłowej owoce umiejętności, przemysł galicyjski stałby o wiele wyżej i rozwijał się pomyślnie w niejednym dziś zaniebanym kierunku.

Na katedrę opróżnioną po zmarłym, ma być, jak słyszę, powołany dr. Julian Grabowski z Krakowa, jeden z najzdolniejszych profesorów młodszego pokolenia, który był przez czas jakiś docentem chemii na tutejszym uniwersytecie; ten sam, co był wysłany w celach naukowych podczas wystawy powszechnej do Filadelfii.

Nadeszła pora, w której rozpoczynają się co roku wykłady naukowo-popularne rozmaitej treści i w rozmaitych celach urządzone. Wykłady te, co prawda, spowszedniały u nas i nie obudzają już tyle zająćia co początkowo, przed laty dziesięciu lub piętnastu, gdy były jeszcze nowością i tym samym, potężnym magnesem przyciągały natłok publiczności. Dziś już tylko wyjątkowo, jakaś szczególniejsza treść prelekcyi lub szczególniejsze nazwisko prelegenta, ma przywilej gromadzenia liczniejszego grona słuchaczy, i potrzeba, jak zeszłej zimy, prelekcyi Rodakowskiego lub Wojciecha Dzieduszyckiego, aby zelektryzować publiczność i zapełnić salę po brzegi. Stały się one niejako chlebem powszednim, który się jé z potrzeby, którym się żywi i do którego ostatecznie zawsze powraca, chociaż ponętniej wabią i łechcą podniebienie łakocie... teatr i koncerta. Obecnie mamy dopiero trzy zapowiedziane wykłady, na dochód Towarzystwa gimnastycznego *Sokol*, lekarzy: Edwarda Sawickiego i Żulińskiego, tudzież Henryka Schmitta. Ten ostatni, rzecz naturalna, będzie mówił o historii. Żulińskiego ulubionym przedmiotem jest higiena i w licznych swoich co roku prelekcyach, omawia i popularyzuje wszystkie jéj działy, stosowując do potrzeb i okoliczności miejscowych. Sawicki wykłada przedmioty, odnoszące się do psychiatriki, której z zamiłowaniem się oddaje, zwłaszcza od czasu, gdy był zastępcą dyrektora, tutejszego Zakładu obłąkanych, na Kulparkowie. Dalszego programu wykładów i dalszych w tym względzie projektów pewnych dotąd niema. Tylko Towarzystwo pedagogiczne urządzi niezawodnie i w tym roku, jak zazwyczaj, kurs, trwający przez całą zimę, od grudnia do maja, głównie dla nauczycielek i praktykantek szkół żeńskich i uczennic seminaryum nauczycielskiego.

Otworzony przed kilką miesiącami nowy zakład fotograficzny p. Mieczkowskiego, zwraca bardzo na siebie uwagę publiczną, nie tylko pięknem artystycznym wykonaniem swych robót, ale także ich treścią. Nie poprzestając na zdejmowaniu zwykłych na zamówienia wizerunków, p. Mieczkowski powziął zamiar kilku artystycznych wydań fotografowanych, mianowicie wydania albumu widoków niektórych miejsc historycznych i albumu archeologicznych zabytków sztuki, do którychto obu zbiera materyały i posiada ich już znakomity zasób. Pomiędzy innymi zdjął kilka widoków miasta Biecza; co zaś do albumu starożytności, nieocenione źródło materyałów ku temu znajduje się w tutejszem muzeum Zakładu Imienia Ossolińskich. P. Mieczkowski postanowił korzystać z zezwolenia kuratorji Zakładu i uprzejmości dyrektora muzeum, p. Pawłowicza, którego nadto smak artystyczny i znajomość rzeczy, mogą być nadzwyczaj cennymi wskazówkami do wyboru przedmiotów i kierunku wydawnictwa. Oddawna już odbywały się zewsząd życzenia podobnej publikacji, mającej na celu rozpowszechnienie znajomości tych skarbów sztuki i starożytności, jakie posiada muzeum Zakładu Imienia Ossolińskich. Wielkie koszty połączone z tego rodzaju wydawnictwem, stały dotąd na przeszkodzie, którą obecnie usunął p. Mieczkowski, podejmując zadanie, wymagające wiele pracy i czasu poświęcenia. Trzecie album zawiera zbiór fotografii tutejszych literatów, profesorów i artystów. Jest ono niejako wyrazem społeczeństwa chwili umysłowego życia lwowskiego. Podczas pobytu tutaj Siemiradzkiego, zdjął p. Mieczkowski także jego fotografią w dużym formacie, prawie naturalnej wielkości, która obecnie jest ozdobą jego wystawy.

Władysław Zawadzki.

---

## KORRESPONDENCYA.

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

...W 116 zeszytcie *Niwy* znajduje się artykuł autora *Dziejów polskich w zarysie* p. n.: *O podziale Historji polskiej na okresy*, mający na celu dowieść, iż podział i charakterystyka epok dziejowych w tej książce są nie fantastyczne ale gruntowne. Najgłówniejsze wyniki tego artykułu, odnośnie do tego przedmiotu są mianowicie następujące. Iż okres drugi (zwany *patrymonialny*) zaczął się w dziejach polskich nie pierwój i nie później jak w połowie XIII wieku, autor usprawiedliwia tódm, iż mimo nawet dzielenia się w pierwszym okresie książąt ziemiami, niemamy śladu, iżby przed owym czasem stosunek panujących do stanów krajowych w czém się zmienić; że zaś się zmienić na długo przed przywilejem koszyckim, t. j. rokiem 1374, dowodem są liczne

przywileje szczególne, spotykane już od połowy XIII wieku, a które się każą domyślać prawa ogólnego, a także to wyrażenie w przywileju króla Ludwika z r. 1355, iż nie będzie nakładał nowych ciężarów, jak to czynili król Kazimierz i jego ojciec *ultra consuetam et solitam libertatem*; ztąd bowiem wniossek, iż już za tych królów istniała pewna *libertas* stanów, nie samowolność. Co do epoki trzeciej od początku wieku XVI, nazwanej *prawną*, autor daje do zrozumienia, iż użył tej nomenklatury i tego podziału dziejów *polskich* za przykładem niektórych pisarzy niemieckich, którzy je stosowali do dziejów *niemieckich*, (str. 589); tłómacząc się zaś z zarzutu, dlaczego ten okres, który według wykładu w zarysie był okresem stałej anarchii i bezprawi nazwał *prawnym*, objaśnia iż uczynił to ze względu na ogólną podstawę tej epoki, „organizacja bowiem nowożytna, mówi, zbudowana za ostatnich Jagiellonów, pozostała w całości, tylko nie mogła skutecznie działać, nie mogła się dalej prawidłowie rozwijać” (str. 583).

O książce *Dzieje polskie w zarysie*, a zarazem o wyrażonym w niej podziale na epoki umieszczaliśmy kilka uwag w *Bibliotece* (sierpień z r. b.), objaśnijmy więc dodatkowo, iż chociażby rozumowania artykułu, o którym mówimy były słuszne <sup>1)</sup>; to jednak są one tylko usprawiedliwieniem trzech etapów czyli zwrotów, od których się zaczyna epoki wyrażone w *Zarysie*, ale nie usprawiedliwiają ani tych *określeń* epok, ani tych *wywodów*, jakie wyrażone są w książce. Okres drugi, przypomnijmy, nazwany jest w książce patrymonialnym: „gdyż w nim królowie spokojni o *swe patrimonium*, nadawszy raz przywileje *stanom krajowym*, nie wtrącali się do ich spraw wewnętrznych,” (*Zar.* str. 9). W obecnym objaśnieniu sam autor przeciwnie (lubo zapewne mimowolnie) stwierdza, iż stany żadnych jeszcze w wieku XIII przywilejów nie miały, mówi bowiem między innemi: „Ogólnych w połowie XIII wieku przywilejów niema,” (str. 574), „ani Kościół, ani też miasta ogólnych przywilejów nie posiadały,” (str. 575); „niema wprawdzie ogólnego przywileju, któryby ziemianom władzę patrymonialną nad włościanami przyznawał,” (str. 577) i t. p.; mówi też nieraz już o nadawaniu, już o łamaniu przez królów przywilejów w ciągu tej epoki, co nie oznacza wcale *niewtrącania się* ich w te przywileje, nie objaśnia też wcale, co w tém wszystkiém miało do czynienia patrymonium królewskie i owszem powtarzając w artykule przymiotnik *patrymonialny*, zdaje się go już raczej do patrymonium ziemian odnosić. Usprawiedliwienie charakterystyki epoki trzeciej słowami, iż „budownikami jej byli ostatni Jagiellonowie,” jest również wprost przeciwnym wywodem

1) Co do nas niémamy je za takie. Wydawanie przywilejów *szczególnych* nie jest dowodem, jak wnosi autor, istnienia *ogólnego*, ale właśnie dowodem *nieistnienia* tegoż. Wyrażenie w *Przywileju* Ludwika *solita libertas*, zdaje się tu tylko stosować do swobody właściwej każdej jednostce, a wzmianka o rozkładanych ciężarach potwierdza owszem właśnie, iż rząd za wspomnianych królów był jeszcze samowolnym, czyli jak autor nazywa *patryarchalnym*.



w *Zarysie*, gdzie ci ostatni Jagiellonowie (dwaj Zygmunci) nie za sprawców *budowy* organicznej, ale za sprawców *ruiny* tej budowy obszernie są podawani. Przypomnijmy, iż w książce swój, określenie tej epoki autor w takich literalnie zawarł wyrazach: „Epokę tę odznaczył sejm polski, będący reprezentantem nie stanów, lecz *całego narodu* i państwa.” „Król polski nie opierał się odtąd tylko na dochodach swych dóbr (swego patrymonium), ale na siłach całego narodu.” Gdy dawniej podstawę wszystkich stosunków, praw i obowiązków publicznych stanowiła umowa, kontrakt w formie przywileju pomiędzy królem a pojedynczemi stanami zawarty, teraz *podstawą wszystkiego stało się wrodzone poczucie* wspierania ojczyzny swoją pracą, mieniem i krwią. Państwo więc nowożytne polskie przestało być patrymonialnem, a stało się *prawnem*,” (*Zarys*, str. 240, 241). Było to owszem powszechnie znaną, a kardynalną właśnie wadą dziejów naszych, że sejm polski był tylko reprezentantem dwu stanów (szlacheckiego i duchownego), a nie *narodu*. Królowie polscy i przed ostatnią epoką opierali się nietylko na dochodach swoich dóbr: dosyć jest wspomnieć na tę wojnę pruską, którą prowadził Kazimierz Jagiellończyk dochodami z poborów przez *sejmy* uchwalanych (Długosz, t. VI, str. 184, 202, 217 i t. p., wydania z r. 1870). Epoka w której uczucie miało zastąpić prawo, czy mogła mieć nazwisko *prawnéj*? Gdyby autor w swoim artykule dodatkowym usprawiedliwił te wyrażenia, gdyby przynajmniej dowiódł, że następne skreślenie szczegółowe epoki trzeciej było usprawiedliwieniem tej skreślonej z góry charakterystyki, t. j. odbiciem owego obowiązkowego poczucia i prawności, wtedy dopiero usprawiedliwiłby zarazem choć w części i słowa, które wyraził w zaczęciu artykułu, iż książka jego: *Dzieje polskie w zarysie*, nakreśliła program umiejętnego odbudowania przeszłości za pośrednictwem „podziału i *charakterystyki* pojedynczych okresów.” Tak jak jest, jego obecny artykuł dodatkowy, chociażby i miał jaką prawdę (jak np., iż trzy wskazane przezeń etapy dziejów były etapami zwrotów w piśmiennictwie), nie znosi to bynajmniej faktu, iż jakaś szczególna ekscentryczność logiki autora kazała mu prawie na każdej karcie jego książki podawać za rzeczywistość, co było kontrastem z rzeczywistością i że tém samém wszystkie główne wnioski tej książki nie są wcale wnioskami do podzielenia.

# PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Aleksander Kraushar, *Pieśni Heinego*; wydanie nowe, przejrzane i uzupełnione. Warszawa. Gebethner i Wolff, 1880 r.

Po wielu i nader rozmaitych fluktuacjach opinii powszechniej o duchu ożywiającym poezye Heinego, przychodzi chwila sądu spokojniejszego. Wysokość talentu wprawdzie nigdy zaprzeczoną nie była, jedynie kierunek wyobrażeń i wyznanie poety co do pewnych dogmatów życiowych, były przedmiotem sporów. Dwie są przedewszystkiem strony, z których Heine poruszał pióra krytyków, kontrolujących w utworze pieśni obok poezyi: dążność etyczną i pogląd na ogólne ruchy ludzkie. Najprzód wieszcz ten jest tak nieujęty w przekonaniach swoich o życiu i stanowisku człowieka w ogólnym planie świata, tak rozmaitym, tak zmiennym w sympatykach i wstrętach swoich, że coby na zasadzie jednej grupy jego utworów wyrzec o nin się dało, to pierwszy dźwięk innej grupy zmusza zaprzeczyć. Co kochał przed chwilą, to wyszydza i depcze, skoro jego pióro odwróci się ku innej stronie. Niby wypowiada posłuszeństwo wiarom, a tuli się pod skrzydła legendy, ilekroć żadna z wybranych sfer ogrzać go nie może. Ideały miłości, marzenia transcendentalne lekceważy, jakby sny gorączki; wyśmiałyby zapewne, gdyby doszły były do uszu jego słowa Libelta o wizjach spoczywającej w kołysce dzieciny, o zapatrzeniu się jój w twarz anioła i tym podobnych zjawiskach, które materyalista przypisałby nagromadzeniu się „kwasów żółądkowych” a sam, na wskroś subiektywny, snuje najpiękniejsze epos cierpień własnego serca, w pieśniach swoich rozwija przed słuchaczem cały cykl miłości i miłostek.

Wielka wyprawa krytyczna, jaka dziś gotuje się przeciwko romansowi naturalistycznemu, znalazłaby w Heinem tysiączne przedmioty do komentarzy dla siebie. Z najpoetyczniejszym bólem w sercu odwiedza pokoik, w którym przesiadywała niegdyś ukochana i prawie tuż zaraz wspomina o zdechnięciu pieska, lub jego wściekliwość, albo wreszcie o „błogosławionym stanie” byłej królowej swego serca. Śmieje się w oczy pastorowi, kiedy mu prawi o dogmatach, o niebie, o piekle, a najrzewniejszą nutą przygarnia mity święte. Raz się brzydzi rubasznością *naszego* chłopa, drugi raz najserdeczniej odzywa się o *naszych* stosunkach. Zgoła, kocha i nienawidzi wszystko; z równym wdziękiem całuje i kąsa wszystko, ale nie *sercem*, jak Juliusz; przy każdym tętnie ludzkim kładzie znak odwrotny. Napomyka o nieśmiertelności, ale z tém pojęciem obchodzi się jakby z mitem: kiedy inni powstają

z grobu na sąd, on tego głosu nie słyszy i pozostaje w grobie, przycisnąwszy pieśń swoją do serca. Nie—ująć wyobrażeń i uczuć tego wielkiego człowieka, niepodobna.

Szczególniej dającym do myślenia jest najpierwotniejsze źródło jego natchnienia. Kto pierwszy wzbudził iskrę elektryczną w duszy piętnastoletniego młodzieńca, Heinego? oto mąż majestatu dziejowego, wódz *wielkiej armii*, na której przejście przez Niemcy patrzył w chwili jęj pochodu ku Wschodowi. Ani instynkta plemienne, ani uczucie własnowolności człowieka, tak silnie tkwiące w duszy Heinego; ani widoczne upojenie się bohatera blaskiem wszechwładzy: zgoła nic w świecie zachwiać niemogło tych pierwszych wrażeń. Powalenie się kolosu było drugą katastrofą, w życiu wewnętrzném Heinego i ustaliło raz na zawsze w jego duszy ironią, pesymizm i zwątpienie. Na umysł usposobienia bajronowskiego, podobny widok graniczenia majestatu z nicestwem, inaczéjby wpłynął. Heine na dnie skłóconej duszy swojej znalazł kroplę epikureizmu; ale niesłychana siła twórcza na tej najgodniejszej pożałowania pochyłości, pozwoliła ocalić wielkość talentu. Dusze tego rodzaju zwykle bywają lirycznymi. Główna téż specyalność poetyckiego talentu Heinego tkwi w jego pieśniach. W tragedyi mniej on zwycięzko wychodzi.

Zdolny tłómacz *Pieśni Heinego* p. Aleksander Kraushar, w krótkim, ale treściwym wstępie daje nam ogólny pogląd na ducha poety we wszystkich rodzajach jego utworów. Słusznie nazywa go „świetnym umysłem, który na widnokregu literatur europejskich bieżącego stulecia świeci nieprzerwanie, jako gwiazda poetyczna wielkości pierwszego rzędu.” Słusznie także uwydatnia w nim tłómacz, obok wysokości poetyczności, znamię głębokiego myśliciela i jednego z najświetniejszych satyryków, jacy kiedykolwiek działali na polityczno-literackiej arenie.

Nie zgadzamy się jednak na to, aby Heine był człowiekiem *silnie wierzącym*. Nie zgadzamy się zaś najprzód dlatego, że sam Heine zaprotestowałby w tej chwili pieśnią np. XXVIII:

W pozgonne niebo nie wierzę,  
Choć ksiądz mi o tém wciąż prawi;  
Lecz oczom twym ufam szczerze:  
*Ich tylko* niebo mię zbawi.  
Nie wierzę w Pana nad Pany,  
Choć klecha głowę mi suszy...  
Nie wierzę w kłatwy prorocze,  
W gusła i baśni pogańskie:  
Tylko w twe oczy uroczę,  
W twe serce wierzę szatańskie.

Nie potrzebujemy innych przytoczeń, czytelnik Heinego nieraz spotka się z podobnemi, jeśli jeszcze nie jaskrawszemi wykrzykami niewiary.

Ależ nie idzie tu już o jakąś religią sformułowaną o pewnych określonych kształtach, o wiarę upostaciowaną plastycznie. Heinemu w ogóle, powiedzieć można, obca jest wszelka *metafizyka* i wszelkiej tego rodzaju instancyj nie uznaje. Nie potrzeba nawet czytać pomiędzy liniami, aby dojrzeć w poezjach Heinego silną skłonność ku filozofii nicestwa, na jaką jednocześnie nastrajał poezją romantyzm angielski. Są pieśni Heinego, tak krańcowo sięgające w tym kierunku, że zapewne nigdy w przekładzie polskim mieć ich nie będziemy.

Jest w Heinem pewien surogat wiary, który p. Kraushar streszcza (na str. XI) w tych pięknych rysach: „wiarą jego było piękno, harmonia... Więc szuka téj harmonii wszędzie: w podaniach biblijnych, w poematach Indyi, w Niebelungach, w księdze dziejów ludzkości, symfoniach Beethovena, w obrazach Ary Schefera, a w *sercu kobiety* przedewszystkiém.” Otóż to serce było ową granicą nieprzejrystą, symboliczną, na której zatrzymał się polot Heinego w kierunku mniemanego symbolizmu. Ale zato w téj dzielnicy dusza jego żegluję wszechwładczo.

Za ogólném téż zdaje nam się to zdanie p. Kraushara, jakoby szkoła romantyczna uczyniła panteizm swoją wiarą. Goethe jest Spinozystą, ani słowa; ale panteizm jest właśnie przerostem ponad właściwego ducha romantyczności. W najcelniejszym z romantyków angielskich czujemy podobnież ciężenie panteizmu; ale ukazuje się on tu w szczególniejszém ukształtowaniu: jestto kult natury; a przeto: wiara swojego rodzaju. U Heinego w takiej wydatności panteizmu nie dostrzegamy. Nawet najdalej wysunięty panteizm w poezyi, przedewszystkiém godzi się z wyrokami wszechświata. Fatalizm bytu przedstawia się tam w pewném osłodzeniu: że „świat jest wcieleniem idei dobra, miłości;” poeci tego dogmatu zamykają oczy na złe, jako na wykolejenie się pewnych zjawisk z normalnego porządku. Heine przeciwnie, z chciwością pochwytuje te zboczenia, dla poparcia niemi swojego pesymizmu. Przypomnijmy sobie np. jego pieśń: *Cisza morska*: Po cudownie pięknyin opisie spokoju na morzu, kiedy „słońce rzuca promienie na wody, a okręt w falistych klejnotach przeciąga zielone bruzdy,” nagle chłopiec okrętowy łakomém żuciem zdradza się w oczach kapitana, który lży go i przeklina, że pożera śledzia wykradzonego z beczki. „Cisza morska!—woła poeta powtórnie i znów powraca do sarkazmu: oto zpod fali wypływa przemyślna rybka i główkę wygrzewa na słońcu, żwawo pluskając ogonkiem. Aż tu mewa rzuca się z góry na rybkę i zdobycz unosi szybko w błękity powietrza.” Widocznie mewa przeczuwała, że potrzebną była dla przerwania tak serdecznie rozpoczętego malowidła, aby nikt nie posądził poety o optymizm! O! jakże wysoko stoi pod tym względem *Cisza morska* Mickiewicza (Sonet krymski), jak głębokim tchnie ona symbolizmem, pokrewnością natury z duchem, bez najmniejszego napomknięcia o wszechwładztwie złego! Podnosimy ten rys, jako małe dopełnienie do wyrazów tłumacza, wyrzeczonych we wstępie (str. XI): „niewypowiedzianego

uroku w liryce Heinego jest symboliczne skojarzenie życia natury z psychicznymi objawami ducha ludzkiego."

Słusznie utrzymuje tłumacz, że „pomimo pozornego bezładu, istnieje między fragmentami pieśni Heinego pewien ciąg, pewna systematyczność, zaokrąglona całość; że całość ta stanowi skończoną symfonią miłości."

W zakończeniu przedmowy zwrócić musi uwagę czytelnika następująca piękna myśl, od której powtórzenia powstrzymać się nie możemy: „... pewnikiem jest, że niepoetyczność i bezbarwność naszej epoki, jest wynikiem braku geniuszu poetyckiego, któryby ostygłe serca ożywił nową miłością dla ideałów i nowe duchowi ludzkiemu wskazał działania tory.” Również piszemy się i na to, co p. Kraushar mówi o możliwych pierwiastkach poezji, tkwiących w sercu naszego wieku; kiedy pragnie, aby dzisiejszy poeta czerpał natchnienia nietylko z zamierzchłych ideałów przeszłości, ale i z żywego skarbcza duchowego własnej epoki.” Widocznie tę ostatnią myśl tłumacz wypowiedział pod wrażeniem pierwotworu. Heine bowiem, z rzadkimi chyba wyjątkami, śpiewa pod godłem: *carpe diem*. Jaskrawy obraz rozdwojenia się wewnętrznego, walki niejako dwu jestestw w sercu naszym, pokazuje najwidoczniej, że głównie miał przed oczyma roztwartą księgę współczesności, której dzieje w *podwójnym* go kierunku usposabiały.

Zwracamy się do przekładu. Zawiera on: *Intermezzo, Powrót, Nową wiosnę* i pewne utwory z *Romanzero*.

Wogóle tłumaczenie p. Kraushara miłe robi wrażenie na czytelniku, a w wielu miejscach w zupełności oryginał zastąpićby mogło, wyjąwszy niektóre, zresztą nieliczne parafrazy. Obok walki z myślą oryginału, tłumacz miał tu trudne zadanie i co do formy. Heine uważany jest za pisarza wzorowego pod względem piękności języka, melodyjności i rytmu. Przykładami okażemy, jak udatnie odpowiedział pierwszego i drugiego rodzaju wymaganiom.

Z pomiędzy rozciąglejszych utworów, w tym przekładzie podanych, wspomnimy naprzód o dwu w równym stopniu wydatnych, choć każdy z nich z innego względu na uwagę zasługuje. Są to: *Grenadyerowie* i *Pielgrzymka do Kewlaaru*.

Pierwszy utwór, *Grenadyerowie*, przenosi nas w obiektywną sferę warunków, które najprzód zrodziły a potem zmieniły ogólny nastrój w duszy Heinego. Heine, jak już wzmiankowaliśmy, zachował do ostatniej chwili graniczącą z ubóstwieniem cześć dla bohatera wielkiego narodu i wielkiej armii. Upadek wielkości, z którym podług słów Bajrona nic porównanem być nie może, oprócz chyba upadku *Strąconego anioła*, zaszczerpił w duszy poety ten szalony pesymizm, ten zjadliwy pogląd na życie, który tylko w duszy z samą sobą do śmierci poróżnionej załadz się może. Wszystko, co jest w człowieku dodatnie, wierzące, upadło w Heinem wraz z legionami nowego Cezara. Osobliwym, nieodgadnionym jest urok majestatu heroicznego. Uniesienie

w jakie wprawił duszę Heinego przechód wojsk francuzkich przez Niemcy, nie powinno się dać wytłómaczyć na prostej drodze psychologicznej; chyba tém, że przyszły poeta liczył dopiero wówczas lat niespełna piętnaście. Przedewszystkiem nie da się z niém pogodzić to, co później Heine napisał o *Szwabie*... Dostyc, że swoich sympaty francuzkich do końca życia pozbyć się nie mógł; po wypadkach lipcowych przeniósł się do Francyi i ztamąd zza Renu, ziomkom swoim przysłał prorocze orędzie o wielkich następstwach, jakie pierwszy wystrzał działa francuzkiego sprawić miał w losach ogólnych Europy.

Jedną z elegii na zgon majestatu Napoleońskiego są właśnie *Grenadyerowie*; jedna z tych żałośliwie prostych gawęd żołnierskich, jakie długo tułały się po wszystkich prawie językach Europy. Łatwo więc pojmujemy, że ucho tłómacza musiały zwabić te jęki boleści dwu rozbitków wracających do Francyi. Przekład jest godnym pierwowzoru; w wielu miejscach prawie dosłowny. Oto np. początek w porównaniu z oryginałem. Heine mówi:

„Do Francyi idą dwaj grenadyerowie, wzięci do niewoli w Rossyi, a kiedy przyszli na kwatery niemieckie, spuścili głowy. Tedy obaj usłyszeli żalobną wieść, że Francya jest zgubioną, że zwyciężoną jest i rozbitą waleczna armia, a cesarz, cesarz w niewoli.”

W przekładzie p. Kraushara:

Idą do Francyi, dwaj grenadyery,  
Co w Rossyi jeńcami byli...  
I gdy w niemieckie weszli kwatery,  
Z boleścią głowy zwiesili.  
Tam wieść jak piorun niedościgniona,  
O Francyi głosi im doli:  
Że wielka armia zbita, zwalczona,  
A cesarz, cesarz w niewoli.

Oprócz szóstego i końca piątego wiersza, przekład, jak widzimy, nie pozostawia nic do życzenia.

Jeden z nich, ciężko ranny prosi towarzysza aby ciało jego, kiedy skona, wzięt z sobą do Francyi i w ziemi ojczystej pogrzebał; a wtedy on jeszcze w grobie nasłuchiwać będzie i czekać luku dział. Początek ostatniego czterowiersza osłabiła nieco ziniana zwrotu:

„A kiedy cesarz przejeżdżać będzie nad moim grobem i mnogie miecze szczekać będą i lśnić się, wtedy ja wstanę z grobu uzbrojony i cesarza, cesarza bronić będę.”

W przekładzie:

A gdy nad grobem jękną fanfary  
Na znak, że bój się rozżarza:  
Wtedy powstanę, jak żołnierz stary  
Cesarza bronić — cesarza.

Wiadomo czytelnikom jaką cudowną powiastkę napisał niegdyś Ludwik Würkert, również na pamiątkę cesarza, p. t.: *Bagnet*, gdzie

nad łóżem starego żołnierza napoleońskiego, dziś żebraka, wisi bagnet: ostatni zabytek przeszłości. Żebrak we śnie łączy marzy o dawnych bojach, i wciąż powtarzając wyrazy: „Cesarz, Austerlic;” naraz zrywa się ze snu bezprzytomnie, chce chwycić broń—pada na bagnet i umiera—mimowolnie samobójczą śmiercią.

Drugim jeszcze dłuższym utworem, w przekładzie p. Kraushara jest *Pielgrzymka do Kewlaaru*, serdeczny, najrzewniejszy obrazek cierpiącej miłości macierzyńskiej i religijnego poddania się Bogu pod najdroższym ciosem.

„Na łóżu choroby leży syn i ukoić się nie może po zmarłej Gertrudce. Matka pociesza go i namawia na pobożną pielgrzymkę do cudownej Maryi Panny w Kewlaarze, podaje mu ulane z wosku serce i radzi, aby to serce dał Maryi na ofiarę, a jego serce Matka Boża uleczy. Podczas nocy, po odmówieniu rzewnej modlitwy do Maryi, syn i matka zasypiają. A oto w nocy, z nieba zstępuje Marya, kładnie rękę na sercu chorego i znika.”

Tłómacz poczynił tu zmiany dość ważne, na które nie łatwo się zgodzić. Przytaczamy zakończenie w oryginale:

„Matka wszystko widzi we śnie i jeszcze więcej widziała; zbudziła się ze snu, psy wyły głośno. Syn jej leżał rozciągnięty, już umarły; na białych policzkach igra lśniąca jutrzienka. Matka składa ręce i pojąć siebie niemoże i zanuciła powolnie: *Bądź pozdrowiona Maryo.*”

W przekładzie ujęto kilka barw ze smutnego otoczenia:

Matka to we śnie widziała,  
Dziwny jej ciężar dolega;  
Zrywa się ze snu wylękla,  
I drżąc do łóża przybiega.  
Tam leżał syn jej—nieżywy!  
Z białym krzyżykiem u ręki;  
Lecz twarz miał jasną, pogodną,  
Jak gdyby odblask jutrzienki.

Matka spojrzała w niebiosą,  
Kłękła—i łzami zroszona,  
Szepnęła usta drżącemi:  
„O Maryo, bądź pozdrowiona.”

Przytoczyliśmy tę śliczną powiastkę, ze względu na jej wyjątkowe znamię wobec ogólnej charakterystyki Heinego. Zdaje się, jak gdyby dusza jego, przez jakiś nieprzewidziany prąd, skierowaną została ku sferze rzadko nawiedzanej przez naszego pieśniarza. Z krainy smutniejszej, niż wszelki panteizm, z krainy nieubłaganego zwątpienia, wstępuje on ku zdziwieniu niejednego ze słuchaczy, na niwę najdotodniejszych tradycji. W objaśnieniu do najdawniejszego wydania tej powiastki roku 1822, sam Heine powiada, że treść powiastki nie jest jego pomysłem, lecz odnosi się do osobistych jego wspomnień,

jeszcze z czasów reńskich, kiedy był jeszcze małym chłopcem i uczył się *syllabizować*.

Od poezyi opowiadającej, zwróćmy się na pole właściwej liryki Heinego. Tu tłumacz, jak powiedzieliśmy, miał zadanie nierównie trudniejsze, a więc i zasługa tém jest wyższą.

Bierzemy pod uwagę początek z *Intermezzo*:

W przesłicznym miesiącu maju,  
Gdy tryska świat z ziemi łona,  
I w sercu mojem zakwitły:  
Pierwszej miłości nasiona.

W przesłicznym miesiącu maju,  
Gdy ptaszę śpiewa z zapalem  
I ja mych uczuć wybrańce,  
Wszystkie pragnienia wyznałem.

Z łez moich kwiatek wyrasta,  
*Świeżuchny jak ranna rosa,*  
A z moich westchnień ulata  
Słowików chór pod niebiosą.

W tych wierszach, wyjąwszy wyrazy podkreślone, myśl pierwotworu oddaną jest wiernie i ozdobnie.

W pieśni 3-iój, szczególniej zachwycającej wdziękiem formy i prostoty poetycznej, jeden z czarów fonetycznych zblakł w przekładzie, bo téż rzeczywiście wiersz czwarty oryginału jest arcydziełem melodyi:

Róża i lilia, gołąbek i słońce,  
To były ongi miłości méj *gonce*...  
Już ich nie kocham, leoz kocham jedynie  
Piękną, miluchną mych marzeń boginię,  
Bo ona sama miłości jest szczytem:  
Jest różą, lilią, gołąbkiem i *świtem*.

Wyraz *świt* zamiast *słońce*, cokolwiek zaciera antytezę. Czwarty wiersz, na nieszczęście, bardzo trudny do naśladowania, w pierwotworze tak brzmi: *die Kleine, die Feine, die Reine, die Eine*.

— Oto pieśń, będąca dalekiem echem z dziecięcych lat poety; widok ukochanej przypomina mu świętą, której obraz niegdyś widział na ścianie świątyni. Tłumacz również udatnie ją przełożył; nie należało jednakże (jak i w innych przekładach) zatracać rysów konkretnych, a zastępować je oderwaniami:

Madonny cudne oblicze  
Zdobią kwieciste opony,  
*Podobne wdzięki* dziewiczo  
Ma anioł mój ubóstwiony.



W oryginale: „Oczy, usta i policzki zupełnie takie, jak mojej ukochanej.

Przyznać trzeba tłumaczowi, że wiernie zachowuje rytmy i takt pierwotworu: dwa podobno najważniejsze z zewnętrznych znamion wiersza Heinego. Współczesna opinia widocznie nie bardzo liczy na możliwość rymu męzkiego w naszym języku; lecz tego punktu nie uważamy jeszcze za stracony ostatecznie. Rym męzki może dlatego stracił u nas więź, że się nim zanadto posługiwano w operach i podręcznej liryce. Dałby się on przywrócić, albo raczej: ucho słuchacza dałoby się nastroić ku niemu, z takim zastrzeżeniem, aby akcent mocny przypadął nie tyle na *wyrazy* jednozgłoskowe, jak raczej na pewne kombinacje wyrazu atonicznego z tonicznym.

W każdym razie winniśmy, pod względem rytmicznym, wyrazić tłumaczowi uznanie za ocalenie w przekładzie tych wdzięków formy, jakimi słuchacza podbija: u Niemców Heine, u Anglików Edgar Poe, a u nas przedewszystkiem Bogdan Zaleski. Jako jeden z wielu dowodów doskonałości tłumaczenia p. Kraushara, przytoczyćby można pieśń 22-gą (w polskim przekładzie XXIII): *Still ist die Nacht*. Wyjąwszy to, że niema tu spadków męzkich, które nie każdy nie uznaje, które zresztą i w pierwotworze nie wszędzie się utrzymują, wrażenie muzyczne zachowanem zostało:

„Noc była cichą, głucho w ulicach,  
Tutaj stał domek kochanki mojej;  
Dawno już, dawno go opuściła,  
Ale ów domek wciąż stoi.  
Przed owym domkiem stanął wędrowiec,  
Z rozpaczą w oku, z *wychudłym ciałem*;  
Gdy księżyc błysnął, przeszło mię mrowie,  
Bo w owym *człeku* siebie poznałem.

Ach! sobowtórze, wędrowcze błądy,  
Czemu w rozpacz riesz sobie szaty?  
Czyliż przedrzeźniasz moje cierpienia,  
Którym tu znosił dawnymi laty.”

Wrażenie rytmowe, powtarzamy, tłumacz zachował. Co do treści jednak, zrobilibyśmy pewne zastrzeżenia. Zamiast *wychudłego ciała*, należało zostawić *zalamywanie rąk*, stosownie do następującego niżej *rwania szat*; zapytanie *czyliż*, zmienia zupełnie ducha i układ myśli: należało powtórzyć wyraz *czemu*. Wyraz *człek*, stanowczo z poezji poważnej usuniętym być powinien.

Znakomicie rytmiczną (w przekładzie) jest pieśń XVI, krótka, bo tylko czterozwrotkowa, ale pełna wdzięku obok prostoty, pełna słodyczy, obok namiętnej poetyczności. Lekka zmiana, jakiej sobie pozwolił tłumacz w trzeciej zwrotce, ujęła nieco naturalności, a to przez zabstrahowanie głównego nerwu (*łzy*).

„Morze swe światło rozlało w dal,  
W ostatnim słońca promieniu,  
Siedziałem z tobą wśród szumu fal  
Samotnie, w głuchém milczeniu.”

Szczególniej rytmicznie oddaną jest druga zwrotka:

„Opadła mgła, nabrzękła toń,  
Mewy po morzu szumiały,  
A z oczu twoich na śnieżną dłoń  
Perliste lezki spadały.”

Tu tłumacz jest prawie dosłownym. W trzeciej zwrotce tekst mówi: „Widziałem, jako one (łzy) spadały na rękę twoją i padłem na kolana i z białej ręki twojej ja łzy wypijałem.” Otóż tę ostatnią myśl u tłumacza, przyćmiła nieco abstrakcja.

„Gdym ujrzał cudne perełki te,  
Padłem na ziemię, wzruszony  
I z rączek twoich w rozkoszy śnie:  
Piłem *ten* czar upragniony.”

Zmiana piękna, ani słowa; ale z uszczerbkiem naiwności i prawdy serca.

Zaujemy, że tłumacz pominął prześliczną, a do jego rymotwórczych zdolności wybornie nadającą się pieśń (z kolei XIX-tą): *Sei mir gegrüsst*, od której przytoczenia, przynajmniej prozą, powstrzymać się nie możemy.

„Witaj mi, wielki, tajemniczy grodzie, który ukochaną moją niedgdyś w łonie swoim ogarniałeś. Powiedźcież wieże i bramy, gdzie jest moja ukochana? Wam ją powierzyłem, wyście rękojmią być miały... Wieże nic nie winny, one ruszyć się nie mogły z miejsca; kiedy oblubienica ze skrzyniami i pudłami tak szybko miasto opuszczała. Ale bramy pozwoliły spokojnie wymknąć się mojej lubej; brama zawsze jest chętną, kiedy chce szalona. (Tu jest gra wyrazu: *Thor=brama i szalony*).”

W pieśni XXII, wracający tułacz mówi (w przekładzie):

„Wstąpiłem znowu w miejsce tych podwoje,  
Gdzie miłość mi zaprzysięgła;  
W miejscu, gdzie leż jój padały zdroje,  
*Tam się gadzina wylęgała.*”

Wiersz ostatni nie uderza w samo serce myśli pierwotworu, a to przez swoją chwiejność, że nie powiemy: dwuznaczność. Zdawałoby się czytelnikowi, że owe komnaty ukrywały w sobie gadzinę w osobie tej, którą on mienił swoją wierną oblubienicą. Tymczasem przeciwnie, Heine wypowiada tu wrażenie, na widok pustkowiec po zniknięciu oblubienicy. Wystarczyłaby tu mała poprawka, np.: W miejscu, gdzie leż jój padały, *dziś* wylęga się gadzina.”

Czytelnikowi, prawie bezwiednie, przypomni się tu podobna, ale nierównie potężniejsza antyteza w XVII sonecie krymskim:

„Te zamki, połamane w zwaliska bez ładu,  
Zdobiły cię i strzegły, o niewdzięczny Krymiel!  
Dzisiaj sterczą na górach, jak czaszki olbrzymie:  
W nich gad mieszka lub człowiek podlejszy od gadu.”

— Są w każdym języku pewne wyrobione zwroty, stanowiące niejako technikę przysłowiową; takich zgrupowań nigdy już naruszać nie wypada. A narusza się je, rozszerzając wyrażenie, przemieniając w niem układ wyrazów i t. p. Takie zwroty są *jednostkami*, raz na zawsze sformułowanymi, skończonymi. W trzeciej zwrotce pieśni XII-ój, Heine opisuje niewielu, lecz treściwymi rysami burzę morską: „mewa czepia się masztu z krzykiem, trzepocze się z trwogą, chce *wywróżyć nieszczęście!* Tłómacz zaś mówi:

„Ponad masztem krąży mewa,  
Krzykliwemi jęcząc głosy...  
Zda się statkom chce wywróżyć  
Ich nieszczęsne, *przyszłe losy.*”

Otóż *przyszłe losy* naruszają tu techniczność wyrażenia. „Mewa krzykiem wróży nieszczęście,” taką jest myśl zaczerpana z dziedziny wiar ludowych, jak głos kukułki wróży zamęczenie lub długie panieństwo, jak huk puhacza lub sowy wróży śmierć i t. p.; i to: wróży, ale nie *zdaje* się wróżyć. Takich i tym podobnych mitowych pokładów ani rozrywać, ani ich inaczéj układać nie należy, a tém bardziej rozprzeżniać, szczególniej zaś rysami oderwanymi (*przyszłe losy*).

Pieśń przedewszystkiém poruszać powinna sprężyny konkretne. Z tego téż względu zwrócilibyśmy uwagę naszego zdolnego tłómacza, np. na miejsce w téj saméj pieśni (*O burzy morskiej*):

„Wiatr nałożył szarawary,  
Blade, wodą *przesycone*,  
Bije fale z całej siły:  
One wyją jak szalone.”

Nie *przesycone wodą*, lecz *wodne*; zamiast *bicia* fal przez wiatr, dosadniejszém, bo konkretniejszém byłoby, jak właśnie jest w oryginale: „chłoszcze (zacina, biczuje=*peitscht*) fale.”

Wzmiankę o podobnej subtelności, podsuwa nam początkowa zwrotka pieśni XI-ój, tak świetnie przełożonej, a prawie dosłownie:

„Obwinięte w obłok szary,  
Drzemią w ciszy wielkie bogi;  
Słyszę *oddech* ich ponury:  
Wiatr po morzu dmie złowrog.”

To był nie *oddech*, lecz *chrapanie* i ono to właśnie spowodowało burzliwą pogodę i to rubaszne pociągnięcie pędzlem po tle obrazu ściśle odpowiada ogólnemu duchowi Heinego, duchowi lekceważenia wszelkich przekonań metafizycznych, poczynając od „starych bogów,” co najwydatniej pokazuje, tchnący ostatecznym kwietyzmem zwątpienia, finał:

„Ja nie mogę zakłąć burzy,  
Ni uśmierzyć *morza trwogi*,  
Owinięty ciepłym płaszczem:  
Zasną, jak zasnęły bogi.”

*Pieśni stworzenia (Schöpfungslieder)* najwymowniejszym tu będą komentarzem.

— Z kolei zwrócić winniśmy uwagę tłumacza, na niektóre niedokładności językowe, zresztą dość rzadko spotykane. Zamiast *wciąż żalostnej, wciąż bliźziej* (str. 108), właściwiej będzie: *coraz żalostniej, coraz bliźziej*; zamiast: *gardzę okowy*, należało powiedzieć *okowami* (chyba że to ma być przypadek narzędziowy), lecz w takim razie jest on tu wątpliwym (str. 14).

Nie radzi przytém, spotykamy tu w niektórych miejscach rymy słabe: *upragniony, otoczony; ścięte, zamarznięte; grochowy, tomowy*.

Uogólniając dotychczasowe spostrzeżenia, czujemy się upoważnionymi do odezwania się chlubnie o przekładzie p. Kraushara; tak pod względem utrzymania się na wysokości pomysłów Heinego, jak i co do wcielania ich w piękną mowę polską.

Nie wątpimy, że czytelnik powtórzy nasze zdanie, przeczytawszy np. następujące myśli ze *Spiewu Łabędziego*:

„Lat trzydzieści czuwałem na wskazanej warcie...  
Niestrudzony, jak żołnierz pilnując wyłomu;  
Bez nadziei, ponury, walczyłem zażarcie,  
Wiedziałem, że bez szwanku nie wrócę do domu.  
...Wakuje posterunek! Jątrzą się me rany...  
Ginie jeden, jest inna garstka niewylekła;  
Ja padam niezwalczony, mój oręż wybrany  
Nie wyszczerbił się w walce—tylko pierś mi pękła.

Przekład ten bezwarunkowo postawić można na równi z wyborem tłumaczeniem włoskiem, dokonaniem przez Bernardina Zendrini, nieodżałowanego pieśniarza, który z takim zapałem uprawiał studia nad poezją niemiecką i piśmiennictwo ojczyste tak hojnie w tym kierunku wzbogacił. Szczerze pragniemy, aby p. Kraushar nie skazywał pióra swojego na długi spoczynek.

*Dzieła Platona.* Przekładał z greckiego Antoni Bronikowski. Tom II. Poznań, w komisie księgarni J. K. Żupańskiego, 1879, str. 404.

Poglądowe przedstawianie arcydzieł myśli ludzkiej, zwłaszcza podjęte ręką umiejacą uchwycić główną arterję systematu i ustawić go należycie w poczet dziejowy, weszło od niejakiego czasu i słusznie na porządek dzienny. Dla niespecjalistów posłużyć ono może za ogniwo encyklopedyczne; znawcom ułatwić szybkie uprzytomnienie sobie roli danego filozofa w ciągłości historycznej. Ztąd we Francyi natworzyło się mnóstwo tak zwanych sprawozdań (raportów nawet urzędowych) o oddzielnych zjawiskach, albo o pewnych grupach tego rodzaju (Foucher de Careil, Cousin'a i t. p.); w Niemczech dotąd jeszcze występują monografie o Schopenhauerze, Heglu, oraz prace obszerniejsze o zwrotach filozofii od czasów Kanta; wreszcie i nasze pisma podają coraz częściej rodowód, treść główną, ducha i metodę epokowych myślicieli. Obok jednak poglądów isé powinien nieodzownie drugi, ważniejszy jeszcze dział pracy: studia źródłowe. Niedawno mieliśmy stosowną chwilę odezwania się o ważności tego działu z powodu przekładu dzieł Dekarta. W tym samym duchu przemówić nam wypada z powodu dalszego ciągu prac znanego filologa, p. Antoniego Bronikowskiego. Dwadzieścia lat minęło od wydania pierwszego tomu (r. 1858), który zawierał: *Fedra, Biesiadę, Hippiasza większego, Lizysa, Charmenidesa, Eutyfrona, Io, Meneksena*. Lat dwadzieścia pomiędzy dwoma aktami! straszliwy ten zamach przeciw najważniejszej z trzech jedności do smutnych usposabia rozmystów. Ale mężom pracy niech ręce nie opadają, apatya zdaje się, acz zwolna, przemijać.

Pod względem wytrwałości w kierunku obranym, tłumacz Platona może nie jednemu posłużyć za wzór. Pomimo zarzutów i słusznych i mniej uzasadnionych, sędzia *najnaturalniejszy*, czas, oddał mu sprawiedliwość. Ksenofont, Tucydides, Plato, Herodot, są dziś w rękach najbliżej nas obchodzących, w rękach uczącego się pokolenia. Nie poddawiamy wprawdzie tego pokolenia, aby skokami przesięgało trudności w dawanych sobie *ex officio* ustępach z łaautorów starożytnych i owszem radzimy szczerze: niech idzie drogą surowej pracy, łamiąc się z temi trudnościami; ale w wolnych chwilach niech przebiega tekst obok ścisłego przekładu p. A. Bronikowskiego; niech przebrnąwszy przez prawdziwy labirynt mowy Peryklesa i Archidama, albo Korcyrejczyków <sup>1)</sup>, próbuje powtórnie pół-samodzielnej przeprawy z kłębkiem Aryadny.

Obecnie wydany tom II zawiera: *Alcybiadesa, Gorgiasa, Menona, Lachesa, Eutydema* i *Protagorasa*. Tłumacz używał najlepszych

<sup>1)</sup> W *Tucydidesie*.

pod względem tekstu wydań, w odsyłaczach podał krótkie ale ważne objaśnienia; wydanie samo jest bardzo staranne, dodane po bokach liczby numeracyi Henryka Stefana ułatwiają odwołanie się do pierwtworu. Przekład sam pod względem *filologicznym* jest ważny; o szczegółowych jego znamionach niżej powiemy.

Czytelnik pozwoli sobie przypomnieć, że krytyka w szeregu pism Platona upatrywała rozliczne zasady połączenia: albo Plato w układaniu ich miał kierować się planem *dydaktycznym*, stopniowaniem od pojęć przygotowawczych, aż do najwyższych teoryi świata i ducha, aż do idei stanowiących sklepienie systematu, albo téż, jak za dni naszych Schelling, w poczcie pism swoich wypowiedział stopniowy rozwój własnego ducha w dziedzinie badań filozoficznych.

W każdym razie pisma, jakie przedstawia nam dziś p. A. Bronikowski w swoim przekładzie, najwięcej odpowiadają poziomowi dydaktycznemu. Przyjdzie czas (jak życzymy sobie, tak i nie wątpimy o tém) na *Fedona*, *Timeusa* i *Polityę*.

Przed ocenieniem jakości przekładu, winniśmy przedewszystkiém przypomnieć, coto ma przed sobą tłumacz w ogóle, przystępujący do pism greckich złotego wieku; z jakąto budową mierzyć mu się przychodzi. Wiek Platona—są to czasy przesilenia się pięknego języka, branego zwykle za normę w kierunku nowo-atyckim, to znaczy: w zwrocie od sztuki ku pojęciu, od pełni i okrągłości ku liniom prostym, zwięzłości Arystotelesowej. Mowa Platona jest mową piękna filozoficznego, symetrii i dyametrii, wypływającą z natury przedmiotu, z prądu myśli tak samo, jak byt Platoński wypływa z idei. Nietylko zdania snują się tu ze zdań, ale i okresy wiążą się pewną siłą przyciągania, dla nas nieujętą, zachodząc jedne w drugie. Oto np. rozprawa, w której Plato dowodzi, że czyn karania jest sprawiedliwością; rozprawa tak się zamyka:

*Sokrates*. Czy odbieranie kary cierpieniem jest, czy téż działaniem?

*Polos*. Naturalnie, że cierpieniem.

*Sokrates*. A więc od kogoś czyniącego?

*Polos*. Tak—i to od karzącego.

*Sokrates*. A karzący zasłużenie, czy sprawiedliwie karze?

*Polos*. Tak.

*Sokrates*. *Sprawiedliwy czyn spełniając?*

U nas siła przyciągania się okresów tak daleko się nie rozciąga, wypada więc ostatniemu pytaniu nadać zwrot inny, np. tak:

„I czy on, w tém karaniu zasłużoném, karze sprawiedliwie?”

Rażący także dla nas sposób ciśnienia myśli na układ zdania stanowią osobliwsze intonacje zapytania. I tak: *Gorgiasz* utrzymuje, że retoryka jest sztuką (*techné*). Sokrates zaś zapytuje go: „o czémto mówiącą sztuką jest retoryka?” Pytanie to w jeszcze kłopotliwszy dla nas sposób postawioném jest na str. 151 A., gdzie Sokrates tak nalega: „Gorgiaszu, staraj się odpowiedzieć: sztuka około czego w mowach to

utwierdzenie swe mająca (co utwierdzająca tą mową) sztuką wymowy jest? (przekład p. Bronikowskiego).” Tęgo, niemając pierwtworu pod ręką, czytelnik nie zrozumie, a tymczasem myśl jest prosta: Sokrates bowiem chce dowiedzieć: o czém mówi ta sztuka? co jest treścią tej sztuki, wypowiadającej swoje twierdzenie słowami?

Zgoła zbyt ściśle, zbyt bierne odciskanie oryginału widocznie go fałszuje.

Ze strony *wyrazowej* język p. A. Bronikowskiego, cokolwiek o nim wyrzeczono, ma niekiedy wiele powabu, a to właśnie z powodu mocowania się z barwą pierwtworu. Ale przesada w tymże kierunku sprawiła, że ogólny tok mowy w wielu miejscach robi wrażenie języka Zygmunrowskiego. Owe numizmata językowe: *aza, wszdy, pono, tyć*; wyrażenia: „około którego z bytów zabawia (retoryka)” i t. p. zakrawają na coś arcy starożytnego. Niepotrzebnie też p. A. Bronikowski rzeźbiarza nazywa posągo-twórcą, a rzeźbienie, lub rzeźbiarstwo aż: posągo-twórstwem. *Srebrna nagroda* (pieniężna) jest wyrażenie poetyczne w polskim; w greckim zaś *argyrion* jest poprostu terminem płacy. *Spracować pieniądze* (robić, zarabiać), *nie uęszczać* (nie uczęszczać) i t. p., wyrazy i wyrażenia wielce nadwężają ogólny powab przekładu.

Dla naocznój skazówki, rzucmy okiem na niektóre z kart *Gorgiasza*, jednej z obszerniejszych biesiad, wchodzącej już w skład głównego korpusu filozofii Platonskiej. Wybieramy z *Gorgiasza* to miejsce, w którym dotkniętym jest, pomiędzy innemi, i stanowisko filozofii, jak je pojmują klienci najstraszliwszego z sofistów. Kallikles, współwyznawca Gorgiasza i jego przyjaciel, odkrywa tu, a przynajmniej pochlebia sobie, że odkrył szczerbę w dogmacie Sokratesa o sprawiedliwości. Sokrates, zdaniem jego, nie uwzględnia różnicy, pomiędzy sprawiedliwością obiektywną, ustawą natury (*fizys*), a prawami (*nomos*). Filozofia, podług niego, potłumia w człowieku głos prawdy instynktowej, głos przyrodzenia, uznając jedynie prawdę *prawa*, ustanowionego z podszeptów zachowawczych, samolubnych. Ztąd w pojęciu sprawiedliwości wcisnęło się zamieszanie. Wprawdzie różnicę pomiędzy pojęciem natury a pojęciem prawa, Kallikles rozwinął obszerniej w *Rzeczypospolitej* (ks. II), a w *Gorgiaszu* wprowadza ją tylko częściowo; lecz czytelnik znajdzie tu gorące wystąpienie przeciwko filozofii i ten właśnie ustęp wybieramy na szerszy pokaz przekładu p. A. Bronikowskiego.

„O Sokratesie, mówi Kallikles (stron. 485 A. B. u Henryka Stefana)<sup>1)</sup>, miłośnictwa mądrości tyle, ile wychowanie wymaga, piękną jest posiadać i nie hańbi młodzięncą zajmować się miłośnictwem mądrości; ale kiedy już w lata postąpiwszy, człowiek zabawia się filozofią,

<sup>1)</sup> Numeracya tekstu, przyjęta przez Henryka Stefana, bierze się zwykle za podstawę i w innych podawaną bywa obok, dla jednostajności w cytatach.

wysmiania godną, o Sokratesie, staje się ta rzecz, a ja najpodobniejszego uczucia doznaję wobec filozofujących, jakie mię przejmują *naprzeciw jękających się* i igrających dziecinnie. Kiedy bowiem chłopczynę zobaczę (któremu przystoi jeszcze rozmawiać tak) jękającego się i pieszczącego, raduję się i miluchném mi się to wydaje i odpowiedniém wolno zrodzonemu i zdobiącém wiek chłopięcia; kiedy *przecie* to słyszę z ust chłopca wyraźnie już wymawiającego, cierpką jakąś rzeczą to mi się już wydaje i razi moje uszy i wydaje mi się czemś, raczėj niewolnikowi przystojącém *być*... Otóż tego samego doznaję uczucia i wobec filozofujących. U rozwijającego się dopiero młodzieńca, dostrzegając miłośnictwo mądrości, kocham je i przyzwoitém mi się wydaje i uważam za wolnego *jakoś tego oto* człowieka, *jako* niezajmującego się miłośnictwem mądrości za nieswobodnego (prostaka) i takiego, który nigdy *żadnego* nie uzna się godnym ani pięknego, ani szlachetnego czynu; ale kiedy już posuniętego w lata zobaczę jeszcze filozofującym i niewolnionym od tego miłośnictwa, ten mąż już chłosty potrzebować zdaje mi się, o Sokratesie."

W tym ustępie streszczają się ledwie że nie wszystkie znamiona przekładów p. A. Bronikowskiego, tak dodatnie, jak i ujemne. Jest tu ścisłość, aż do zbytku posunięta, jest dostatność i wyrazowe bogactwo języka, sumiennie zużytkowane, tłómacz przytém posługuje się jeszcze nawiasami; jest myśl Platońska, dosłownie odmalowana, odrzeźbiona. Czegoż więc braknie? jaką skazówkę należałoby podsunąć szanownemu filologowi, aby uniknąć mógł nadal dotkliwych, a rzeczywiście słusznych zarzutów?

Otóż p. A. Bronikowski, wpatrując się w samą treść, w obiektywne rysy zadania, nie oblicza w ogóle, ile to tracić może barwy dany obraz, przeniesionym będąc w inną atmosferę i inne warunki oświetlenia. Wprawdzie utworu poezyi, a tém bardziej dzieła czysto umysłowego, przekładca nie potrzebuje, nie powinien nawet, modernizować; ale zachowując wierność pierwowtoru, jaknajrozleglejszą, wierność typową, można i należy utrzymać znamiona *tulejszości* i *dzisiejszości*. Zapominamy na chwilę o wyrazach; zwróćmy się do składni—składnia bowiem jest owém minimum oświetlenia, pod jakim obrazy dojrzanemi i pojętami być mogą. Dlaczego p. A. Bronikowski nie powiedział: „Posiadać tyle filozofii, ile wymaga wychowanie (wykształcenie ogólne) piękną jest rzeczą... ale, kiedy człowiek... to już godne wysmiania.” Następujący np. porządek wyrazów zakrawa na jedną z tych łamigłówek stylowych, z jakimi, szczególnież pisarze rzymscy (Liwiusz przedewszystkiém), lubią występować na postrach szkolnych pokoleń. „Ależ, kiedy człowiek już wieloletni zabawia się filozofią, *wysmiania godną*, o Sokratesie, staje się tą rzeczą.”

Podobnież okres o *chłopczynie* należałoby tak ustawić: „Kiedy bowiem zobaczę jękającego się i pieszczącego chłopczynę (któremu tak rozmawiać jeszcze przystoi), raduję się” i t. d. W okresie 3-im p. A. Bronikowski mówi: „U młodzieńca... przyzwoitém mi się wydaje i uwa-



żam za wolnego tego człowieka, *jako* niezajmującego się (należało powiedzieć wydatniej: *a przeciwnie* (jak znów, tymczasem i t. p.) nie zajmującego się...”

Zbyteczna przekładnia także jest powodem niejednego dysonansu, jak widzimy np. w końcu tegoż okresu: „(uważam go) za *nieswobodnego i takiego*, który nigdy *żadnego* nie uzna się godnym, ani pięknego, ani szlachetnego czynu.”

Ścisłość tłumacza zachodzi zbyt daleko, sięga bowiem aż dolnej warstwy gramatycznej, a niepotrzebnie. I tak p. A. Bronikowski ma skrupuł pominąć nawet cząsteczki mowy, nieokreślniki (*tis, ti, po, an*), np.: „wolny *jakoś* ten oto człowiek;” a nieco wyżej mówi: „wydaje mi się czémś, raczej niewolnikowi przystojącym *być*.” Nie jestże to owém dotkliwie bijącym w nos: *zu sein?* Filologowi o takiej skali, jak p. A. Bronikowskiego, nie wypada przenikać się nałogami budowy gotyckiej, zwłaszcza w tém, co nawet u niej słabą stanowi stronę. Niechże więc p. A. Bronikowski, przy rozległej wprawie, jaką posiada, przy wielkiem poczuciu tętna pięknoty helleńskiej, niech jaknajusilniej ma na pamięci tutejszość i dzisiejszość. Wszak nieraz w Platonie umiał uwzględnić jedno i drugie, jak to np. pokazał na str. 492 E (a w przekładzie str. 140—141), gdzie mowa jest o żądach:

*Sokrates*. Niestusznie więc powiadają o owych *niczego niepotrzebujących*, iż są szczęśliwymi.

*Kallikles*. Kamienie bowiem i umarli tą drogą pewnie najszcześniejszymi będą.

*Sokrates*. Aleć przecie jako i tyżci mówisz (tłumacz niepotrzebnie i tu zagęścił partykułami: *aleć, przecie, jako i tyżci* mówisz), groźnym jest życie. Boć nie dziwię się ja podobno (poco tu *podobno*), jeżeli prawdę mówi Eurypides, w tych słowach odzywając się (czyż to nie zawiele po dzisiejszemu: mowa, słowa i odzywanie się?):

„Kto wie, czy żyć, jestto umierać raczej; umierać zaś, to żyć.”

„I my może istotnie już zamarliśmy.”

....*Nec verbum verbo—fidus interpretes.*

F. Jezierski.

D. Karola Schenkla: *Ćwiczenia greckie*. Podług dziesiątego wydania niemieckiego do języka polskiego zastosował dr. Zygmunt Samolewicz. Wydanie 3-cie. We Lwowie. Nakładem Karola Wilda, 1879 r.

Niezaprzeczoną jest prawdą, że książki edukacyjne, a ściślej się wyrażając: książki szkolne, o ile to jest możliwém, pod kontrolą literackiej opinii publicznej zostawać winny. Dążność wyłącznie zysko-

wa na tém polu przeprowadzana, jest najwstrętniejszym ze wszystkich rodzajów nadużycia dobrej wiary społecznej. W chwili, kiedy przed oczyma naszymi przesuują się całe szeregi tak zwanych podręczników, nieodpowiednich zadaniu ani pod względem układu, ani pod względem stosowności do poziomu uczących się, ani pod względem czyistości, poprawności języka: szczególnym jest obowiązkiem krytyki czujne mieć oko na wszelkie, choćby najdrobniejsze zjawiska piśmiennictwa edukacyjnego. Książka, wychodząca z dzielnicy dziejopisarstwa, poezji, filozofii, chociażby i mijała się z normą, drażniła pewne obowiązujące poglądy, może być w części uznana, w części uledez protestowi; ale w każdym razie jak krytyk, tak i czytelnik ma tu prawo głosu. Inaczej rzecz się ma z książką, przeznaczoną dla uczelni. Wechodzi ona do świata młodocianego pod powagą charakteru „przewodnictwa,” ze znaczeniem „dogmatu,” jako ostatni wyraz nauki.

Widzieliśmy podręczniki, tak nędznie przerabiane z dzieł cudzoziemskich, że sylaby np. niemieckie (techniczne) przyczepione do nazwy (greckiej) miasta, lub góry, utworzyły nazwisko miejscowości, nieistniejącej na kuli ziemskiej. Widzieliśmy słowniczki dołączone do antologii greckiej lub łacińskiej z pewnego poety, gdzie wystawiano wszystkie znaczenia wyrazu (wypisane ze słownika obcego), wszystkie... oprócz właściwego w *danym* frazesie. Ach! czego tam nie widzieliśmy!

Niech przeto krytycy nie pożałują czasu i odwagi cywilnej na najściślejszą ocenę tej literatury, miniaturowej, to prawda, ale właśnie drobnocią swoją przenikającą najdroższą dla nas atmosferę: *świat młody*.

Ale tym razem mamy przed sobą podręcznik uznany, wyprobowany już na pokoleniu i całkowicie odpowiadający zadaniu. Cóż jest zadaniem „ćwiczeń językowych starożytnych?” Wprowadzenie ucznia w łatwość rozumienia i samowiednego użycia danego języka w *zakresie filologicznym*. Ostatnie zaś wyrażenie znaczy, iż przed uczniem w ostatecznym wyniku ma stanąć w całej wydatności *plan ducha* mowy starożytnej, który co chwila następnie sprawdzanym będzie na autarach. Nauka języków umarłych prowadzoną być musi drogą zupełnie odwrotną w porównaniu z teorią języków żyjących—tu inicjatywą jest dusza języka: zdanie; tam (w starożytnym) rozpoczynamy od materji pierwszej, od ciała, od form, a uwieńczamy gmach: składnią.

Tak właśnie prowadzi rzecz i nasz autor: pojedyncze wyszczególnianie dróg i ścieżek tej metody, uważamy za zbyteczne. Zaznaczamy tylko na pochwałę książki, że wolną jest od *przeskoków*, tak zwykłych w naszych podręcznikach.

Szczególną zaletą pracy p. Samolewicza, jest zapowiedziane w tytule i sumiennie wykonane, zastosowanie do języka polskiego (do składni). W pierwszej części, w morfologii, autor podaje tu i owdzie pewne punkta składniowe, przygotowawcze; są tam i ułatwienia skła-

dniowe do tekstu, jako to: składnia *ablativi absoluti*, atrakcyje, aoryst gnomiczny, napomnienia o częstkach spójnikowych i t. p.

Szczególniej udatnio prowadzone są tak zwane „klasy słów.” Następuje część składniowa, sumiennie opracowana: składnię poprzedzają ustępy ze stylu ciągłego, powiastki, anegdoty, wyjątki wierszem. Umieszczone w końcu dwa słowniczki (grecki i polski), wystarczają całkowicie *ad hoc*. Słowem, uważamy tę książkę za nader pożyteczną, pomiędzy innymi i dlatego, że autor w ciągu, nieustannie odsyła ucznia do paragrafów poprzedzających. Język w *Cwiczeniach* czysty i poprawny, wyjąwszy rzadkie lokalizmy (n. *wielom ludziom*). Żałujemy, że p. Samolewicz nie dał wstępu, w którym uprzedziłby ucznia o znaczeniu pewnych skrótów technicznych np. C str. 284 (zapewne to jest rozdział danej gramatyki, o której z tekstu nie dowiadujemy się).

Ale najważniejszym postulatem z naszej strony, o którego spełnienie usilnie prosimy p. Samolewicza, jest to, aby jaknajśpieszniej pomyślał o wydaniu „klucza” do swoich zadań, czém *wielką* wyświadczy przysługę niejednemu, szczególniej z prywatnych miłośników filologii starożytnej, a takich wielu spotkać dziś można wśród młodzieży, prowadzącej naukę domowo.

---

*Przyroda i przemysł.* Tygodnik popularno-naukowy. Rok VIII. (Po objęciu redakcyi przez prof. Uniwer. Warsz. dr. Karola Jurkiewicza, od lipca 1878 do lipca 1879 r.).

W widoczném skupianiu się u nas całego życia umysłowego w pismach peryodycznych, przyczém inne gałęzie piśmiennictwa ubożeją i słabo wegetują, tém przynajmniej pocieszać się trzeba, że wydawnictwa czasowe poczuwają spadające na nie zadanie i według możności potrzebom społeczeństwa swego służą i różnostronne kierunki myśli współczesnej reprezentują. Oprócz więc nadmiernej może ilości pism codziennych, widzimy także w trudniejszych warunkach bytu powstające organa specjalne, pewnym wydziałom życia poświęcone, oraz pisma ogólniejszego zakresu, z zadaniem niezmiernie ważnem: rozszerzania poziomu naukowego wśród klas, ukształcenie średnie posiadających. O potrzebie takich pism nikt nie wątpi, ale doświadczeniom tylko wiadomo, jak popularyzowanie nauki jest rzeczą trudną, trudniejszą niż płodna nawet praca w obranej specjalności, obok bowiem rozległej i głębokiej nauki, wymaga talentu, daru nieposzedniego.

O pismach specjalnych, ich wartości naukowej i pożytku, jaki w swoim kole przynoszą, prawo wyrokowania i oceny należy do spe-

cyalistów; ogół poprzestaje na wiadomości, że jedyną ich podporą może być tylko rozwinięte poczucie łączności towarzyskiej i naukowej, tudzież wspólności interesu. Jakoż widzimy, że posiadają lekarze nasi organ własny, nawet niejeden—i utrzymać je z pewnością potrafią. Z większemi już przeszkodami łamią się u nas prawnicy i inżynierowie, czy że słabsi liczbą, czy spójnością, a jednak nie ustają w usiłowaniach utrzymania własnych organów naukowych.

Jeżeli tedy wydawnictwa czysto specjalne stoją silną organizacją korporacyjną, to pisma naukowo-popularne tam tylko mogą się utrzymać: gdzie ogół publiczności ukształconej i czytającej, nie daje się już zaspokoić rzeczami bawiącemi lub podrażniającemi, lecz sam poczuwa potrzebę pokarmu krzepiącego; gdzie już osiągnął dojrzałość, pozwalającą potrzeby swoje rozumieć i oceniać, a co ważniejsza, umieć je zaspakajać. Gdzie zaś przynajmniej większość do tego nie dorosła, tam wątpliwą jest rzeczą, czy zastąpić to zdołają: hojna ofiarność mecenasów lub wysiłki ludzi, przodujących w ruchu umysłowym.

Z nielicznych dotąd u nas téj kategorii pism, niezaprzeczonej użyteczności jest tygodnik popularno-naukowy *Przyroda i przemysł*, dzieje wszakże jego nie są wesołe. Widocznymi potrzebami czasu i położenia wywołany i od początku prowadzony przez ludzi młodych, zaufanych w siły swoje i poparcie ogółu, różnego doznając powodzenia, przetrwał tygodnik ten lat 7 kłopotliwej egzystencji; w końcu z wyczerpania, ze zmniejszającą się ciągle liczbą prenumeratorów upadł. W rok potem, t. j. w początku lipca 1878 r., grono ludzi dobrej woli, porozumiawszy się z zasłużoną u nas firmą księgarską i wydawniczą Gebethnera i Wolffa, nanowo powołało *Przyrodę* do życia i kierownictwo powierzyło prof. uniwersytetu Warszawskiego K. Jurkiewiczowi.

Wznowione w ten sposób wydawnictwo, dobiega już trzeciego półrocza swój działalności, a dotąd nie odezwał się żaden głos, któryby dawał poznać usposobienie i wymagania czytających; objaw ten obojętności, gorszym jest, niż kapryśne nawet, lub zgryźliwe roszczenia. Dla przerwania téj ciszy, a może i dostarczenia w następstwie pobudki innym, do bardziej wyczerpującego rozbioru, zwracam tu uwagę na ukończony okres roczny pisma, ograniczając się ogólnym poglądem na materyał i obrobienie, bez wyliczania artykułów, streszczenia ich lub szczegółowej oceny.

Z tego stanowiska wychodząc, można powiedzieć, że *Przyroda*, jakkolwiek nie jest szkołą systematyczną i być nią nie może, dostarcza wszakże dla każdego czytelnika ukształconego, obficie, nietylko użytecznych dla niego wiadomości, ale niejednemu pomoże do rozjaśnienia sobie poglądu na wiele zjawisk przyrody i w tém znaczeniu, wdrażając umysły młóej uprawne do myślenia porządnego, nazwaną być może szkołą. Niejednemu wreszcie po znużeniu robotą obowiązkową, poda zdrową dla umysłu rozrywkę, która przyczynić się może do rozszerzenia horyzontu jego ukształcenia naukowego. Kronika

bieżąca utrzymuje czytelników w ciągłej łączności z ruchem współczesnym, zawiadamiając o najświeższych faktach.

Malkontenci, bo i o tém nie wypada przemilczeć, wszędzie się znajdują, więc i u nas jak wszędzie, publika różnolita, tylko może mniej, niż gdzieindziej, przywykła do jasnego zdawania sobie sprawy ze swych wymagań, odzywa się ustnie z zarzutem takim lub innym. Przysłuchawszy się tym zarzutom, to tylko świadectwo dać o nich mogę, że nietylko zgodności jakiegóś dopatrzeć się w nich nie można, ale najczęściej wręcz sobie bywają przeciwne. Jednemu rzecz jaka wydaje się nieprzystępną, specjalistów chyba obchodzącą i nie powinna zabierać miejsca w piśmie popularném; inny zbija go, dowodząc, że właśnie zadaniem pisma popularnego, jest najnowsze w nauce poglądy, stanowiące jój postęp, wyrwać z zaciesnionego koła uczonych i oddać na korzyść ukształconej powszechności. Jeden poczytuje za brednie wierutne fakta, przytaczane jako dowody, w badaniu niby poważno-naukowym i doradza raczej tłómaczenia rzeczy dobrych, niż pretensye do własnych; innego fakta owe wcale nie gorszą, a cieszy się przedewszystkiem, że nie same tylko, pożyczone od obcych, imiona i rzeczy, ale téż i rodzimi krajowi myśliciele, występują tu z pracami oryginalnemi, życzyłby tylko, aby bacniejszą zwracano uwagę na usunięcie błędów językowych i wybryków pisowni. Ten chciałby kronikę skrócić, ów wyłączyć z niej tylko rzeczy błahe lub podejrzanéj prawdziwości. Jedném słowem błędnik bez wyjścia.

Zapewne, że nie wszystkie artykuły, umieszczane w *Przyrodzie*, są jednakowej wartości, bo gdzież jest doskonałość bezwzględna; to jednak pewna, że w porównaniu z publikacyami podobnemi u innych narodów, niemniej tam względnie mało znaleźć można rzeczy słabych i że niema obawy rumienienia się za naszą *Przyrodę*; oddać owszem przynależy sprawiedliwość redakcyi, że z ogłoszonego programatu wywiązała się sumiennie.

Dobór treści zastosowany jest umiejętnie i trafnie do rozmaitego poziomu ukształcenia czytelników, a większość artykułów ma niewątpliwą wartość naukową, w tych przynajmniej, które są od redaktora, język czysty, wystowienie staranne, do ścisłości nawykłe, często niepróżne wdzięku; w artykułach nadsyłanych ślady jego bacności są widoczne, chociaż, zdaje się, służyłoby mu prawo, nawet surowszą pod tym względem rozciągając kontrolę. Niedbalstwo co do języka, należy do bardzo niebezpiecznych wad naszych, dawać w tém zgorzenie, jest winą nie do przebaczenia, a dobry przykład, zasługą pierwszorzędną, bo działa skuteczniej, niż strofowanie lub zawstydzanie.

Wycieczka ta przekracza poniekąd zakres, jaki sobie pierwotnie zamierzyłem, jest przygodną i wymaga usprawiedliwienia. Pokazał się tu prospekt świeżo ogłoszony w Tarnowie na pismo *Przyrodnik*, zatem i treścią i zakresem działania zbliżone z tutejszą *Przyrodą*. *Przyrodnik* ten ma wyjść na świat z dniem 1 listopada r. b., a jeżeli zamiarem jego przecinawiać do swoich czytelników tym samym języ-

kiem, jakiego użył w prospekcie i wezwaniu o pomoc w zbieraniu prenumeraty, to obowiązkiem naszym, na pierwszym zaraz kroku zwrócić jego uwagę na odpowiedzialność, jaką przyjmuje, występując w charakterze przewodnika i nauczyciela. Dokumentów owych przytaczać niema tu miejsca, pisane są one językiem mocno skażonym, a rażą więcęć jeszcze takim mowy nie polskim, niż błędami gramatycznymi, po lodomersku, według wyrażenia podróżnika, zwiedzającego niedawno owe strony po długiej nieobecności w kraju. Świeżość zjawiska, mogącego w przyszłości stać się szkodliwem, powinnyaby usprawiedliwić ustęp powyższy, jako w porę przychodzący, a wymierzony wcale nie przeciw *Przyrodzie*, ale właśnie dla przypomnienia jej, że ma jeszcze jedno ważne do spełnienia zadanie, być przodownicą i wzorem czystości mowy ojczystej dla pracowników na tej samej niwie.

Tém kończę ten pogląd ogólny na roczną działalność wydawnictwa. Wiadomości bardziej szczegółowe, jak tytuły artykułów celniejszych, klasyfikacya, t. j. które artykuły są treści ściśle naukowej, a które przystępniejsze, opowieściowe, które przyswojone z prac obcych, powszechnem uznaniem zaszczyconych, które zaś oryginalne przez krajowych uczonych napisane, które wreszcie odnoszą się mianowicie do rzeczy krajowych; wszystko to wyluszczone treściwie i jasno, znajdzie czytelnik w odezwie redaktora, zamykającej roczny okres wydawnictwa, a umieszczonej w nr. 1 nowo zaczętego roku, t. j. z d. 2 lipca r. b. Tam także określa redaktor zapatrywanie swoje na zadanie pisma i zdaje sprawę z tego, o ile spełnić to się dało. Powtarzać tego nie będę, że programata tego rodzaju, które są nie samą tylko reklamą handlu księgarskiego, ale informują publiczność o czynnościach spełnionych, o kierunkach obranych przez pisma potrzebom umysłowym tej publiczności poświęcone, powinnyby od czasu do czasu być umieszczane w pismach czasowych, albowiem do rzędu ich zadań, przecież należy skupianie w sobie objawów życia literackiego w kraju.

A. W.

## WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

### WARSZAWA.

*Listopad 1879.*—Tom I *Żywotów śś. Starego i Nowego Testamentu* Skargi, wyszedł na widok publiczny (w drukarni Emila Skińskiego, ulica Chmielna, nr. 1530, n. 20).

Jestto wykład starannie i umiejętnie uprzystępniony dla ogółu czytelników, to jest zarówno dla starszych jak i dla młodszych i zapoznawszy się bliżej z początkiem dzieła zaznaczyć można, iż nader udanie obrobione, nie tracąc bynajmniej charakteru i całej żywotności oryginału. Cena nader przystępna rokować każe rozpowszechnienie tej publikacji, którą zapisywać można drogą prenumeraty we wszystkich księgarniach, uiszczając częściowo opłatę rs. 5 za sześć tomów.

— *Książka jubileuszowa dla uczczenia pięćdziesięcioletniej działalności literackiej J. I. Kraszewskiego.* Drukiem Józefa Ungra, ulica Nowolipki, nr. 3, 1880 r.

Jestto zadaniem i wykonaniem imponująca publikacja, w której naczelną kartę ozdabia portret jubilata, a ciąg tekstu portrety prababki, babki i rodziców, oraz widoki miejscowości, w której mieszkał; pod pojedynczemi zaś artykułami o niestrudzonej działalności pisarza czytamy imiona chlubnie znane w piśmiennictwie naszym. Książka zbiorowa należy do rzędu publikacji równie świetnych i rzadkich, jak sama doniosłość i ogrom zasług bohatera obchodu. Obszerne sprawozdanie i ocenę krytyczną *Książki jubileuszowej* w swoim czasie podamy, a tym razem wypowiadamy niezłomne przekonanie, że dostojnemu pracownikowi i z powodu wyższych zalet wewnętrznych książki, rozmiarów jej i wykończenia części artystycznej i domyślnych pod każdym jej wierszem pobudek, miło będzie położyć ją przy sercu, obecnej rodzinie wskazać, a przyszłej przekazać.

— Z początkiem przyszłego roku wyjść ma w Krakowie książka ilustrowana p. t.: *Jubileusz J. I. Kraszewskiego*, z której czysty dochód przeznaczono na wzniesienie pomnika Mickiewiczowi. Redakcją tej książki zajmują się pp. A. H. Kirkor, J. J. Rolla, ks. Jan Siemiański, Alfred Szczepański i inni.

— Jan Aleksander Fredro napisał nową komedią w 1 akcie p. t.: *Próba przedstawieniu amatorskiego*. Komedia ta oddaną już została dyrekcji teatru krakowskiego i wkrótce zapewne ukaże się na scenie.

— W Paryżu wyszły *Śpiewy polskie* Szopena w przekładzie francuzkim, wykonanym przez Wiktora Wildera. Wydawca Hamelle przeznaczył je na bezpłatny dodatek dla prenumeratorów pisma *Menestrel*.

— Nakładem Lewentala wyszła z druku powieść J. I. Kraszewskiego p. t.: *U babuni*, w dwu tomach.

— *Obrazki dziejowe*. Pod tym tytułem firma Gebethnera i Wolfa wydała dziełko dla młodzieży, przez Teresę Jadwigę, ozdobione sześcioma rycinami, rysunku Juliusza Kossaka. Spotykamy się tu z poważnymi postaciami naszej przeszłości, jakoto: Witem Stwoszem, Janem z Kolna, Karolem Chodkiewiczem, Sobieskim. Dziełko to może posłużyć za piękny przedmiot podarunkowy na gwiazdkę. Książkę swoją autorka poświęciła J. I. Kraszewskiemu.

— Pismo p. Jeleńskiego p. t. *Żydzi, niemcy i my*, wkrótce wyjdzie ma na widok publiczny w wydaniu czwartym, znacznie powiększonym.

— W Poznaniu u Jolowicza wyszedł w przekładzie niemieckim M. v. Rehdena dramat konkursowy El..yego: *Kiejslut*. Krytyka niemiecka odzywa się z arcy-pochlebnym zdaniem o naszym utalentowanym poecie.

— *Pamiętniki Ludwika hr. de Laveaux*, wydał z rękopismu L. D. L. w Krakowie. Czcionkami drukarni *Czasu*, pod zarządkiem Józefa Łakocińskiego. 1879. Główny skład w księgarni G. Gebethnera i spółki.

Ustępny z tych *Pamiętników* ś. p. Lucyan Siemieński umieszczał w *Czasie*. Autor ich oprócz prac pozostawionych w rękopiśmie, ogłosił drukiem pomiędzy innymi: *Obraz piękności natury* (1820); *Górale Beskidowi* (1851). Pismo też nasze podało w r. 1854 jego: *Uwagi krytyczne nad życiorysem Szymona de Cortecello*. Do rzędu obszerniejszych należy obecnie wydane, już pośmiertne jego dzieło (umarł r. 1870). Spisując wypadki i wrażenia osobiste, autor dotyka tu i ogólniejszych widnokręgów dziejowych, jakie go w ciągu długiego żywota otaczały. Styl jasny, ton czerstwy, nieraz humorystyczny, z zacięciem przypominającym Paska, a to wszystko otchnione miłością tradycji, nadają miły wyraz całemu utworowi.

— *Słownik mimiczny dla głuchoniemych i osób z nimi styczność mających*, opracowany przez ks. Józefa Hollaka, b. profesora warszawskiego Instytutu głuchoniemych i ociemniałych i przez ks. Teofila Jagodzińskiego, wice dyrektora tegoż Zakładu. Warszawa. Druk i nakład Instytutu głuchoniemych i ociemniałych. 1879 r. Cena rs. 6.

We wstępie podane są ogólne wskazówki, dotyczące metody nauczania tak srogo przez naturę ukrzywdzonych ludzi, a mianowicie: dwa sposoby rozmawiania na migi: ideograficzny i daktylogiczny (to jest przedstawianie pojęć obrazami najbliższej rzecz malującymi i palcowanie). Następują przykłady, objaśniające obie metody (palcowanie ma być metodą mniej dokładną i niepraktyczną); potem rycina alfabetu ręcznego, czyli palcowego. Po wstępie mamy słownik mimiczny. Oto przykład: „*Ach!* (wykrzyknik) uderzywszy dłoń prawą o lewą, załamywać ręce, z wyrażeniem na twarzy przerażenia lub bóleści.” Metodzie ideograficznej autorowie przyznają wyższość dlate-



go, że jest ogólnie ludzką, powszechną; metoda palcowa jedynie w określaniu imion własnych może być wygodną.

— W handlu księgarskim ukazała się powieść w dwu tomach p. t.: *Romans Pana Michała*, przez Jana Zacharyasiewicza, którą autor poświęcił J. I. Kraszewskiemu. Powieść tę drukował niedawno *Wiek*.

— *Córka kamieniarza*, powieść ludowa Karoliny Świetli, przełożona z czeskiego przez panią Maryą Grabowską, wyszła w Piotrkowie nakładem redakcyi *Tygodnia*.

— Pod ogólnym tytułem: *Rozmaitości i powiastki* ukazały się w handlu księgarskim pomniejsze utwory Jana Lama, napisane z właściwą temu autorowi werwą i humorem.

— Drukarnia Anczyca i Spółki w Krakowie przygotowuje nowe wydanie dzieł Fredry (ojca) w trzynastu tomach.

— W tych czasach wyszła z druku książeczka p. t.: *Trzy epizody z życia szlacheckiego*, przez Piotra Jakśę Bykowskiego. Napisy tych epizodów są: *Święcone w Łabuniu u wojewody Stępkowskiego*, *Córka hetmańska*, *Mirza-Tadž-El-Faher* Emil Wack. Rzewuski (z portretem).

— Instytut politechniczny. Pan J. G. Bloch stara się o utworzenie w Warszawie szkoły politechnicznej i na jęj utrzymanie łożyć zamierza. Jest nadzieja, że przychylna decyzja władz w tej znacznej sprawie nastąpi z końcem roku bieżącego.

— *Pism Henryka Sienkiewicza*, tom I, wyszedł z druku nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa; zawiera on następujące utwory: *Stary sługa*, *Hania*, *Szkice węglem*, *Janko muzykant*.

— W dniu 17 b. m. w Akademii sztuk pięknych w Petersburgu, miał miejsce akt uroczysty, na którym p. Ludwik Wiesiołowski, ziomek nasz, Warszawianin, otrzymał wielki złoty medal za obraz konkursowy: *Chrystus i grzesznicy*.

— W Krakowie wyszły staraniem i nakładem Stowarzyszenia do wydawnictwa dzieł lekarskich, dwie ważne prace: *Choroby serca i tętnic* przez d-ra Oskara Widmana i *Psychologia forensis, czyli nauka o chorobach umysłowych, w zastosowaniu do sądownictwa, szczególnież do praw obowiązujących w Królestwie Polskiem i Galicyi*, przez d-ra A. Rothego.

— Odczyt publiczny Adama Bełcikowskiego *O Balladynie*, drukowany poprzednio w *Tygodniku Powszechnym*, wyszedł w oddzielnej odbitce.

— W sprawozdaniach komisji fizyograficznej Akademii Umiejętności, zamieszczono nader interesujący *Opis badań geologicznych dokonanych w Królestwie Polskiem w r. 1878, oraz spostrzeżeń we wsiach Żbrzy i Kleczanowie* przez J. Trejdosiewicza, (str. 11). Część pierwsza obejmuje trzy ustępy: *Odkrycie pokładu formacyi kredowej w pow. Łódzkim, gub. Piotrk.*, *O znaczeniu granicy między formacją dewońską i tryasową w okolicy Opatowa, Wapienie trzeciorzędowe*

w gub. Lubelskiej. Część druga: *Lupki sylurskie i wapienie dewońskie pod Zbrzą, Skały sylurskie w Kleczanowie, Kwarcyty dewońskie gór kieleckich.*

— *Gazeta Warszawska* (w n. 245) z powodu głosów hołdu dla Kraszewskiego, jakie odezwały się i we Francyi, (gdzie Jubilat szczególnie wspominanym jest jako tłumacz pieśni litewskich) donosi o powstałym projekcie utworzenia Towarzystwa litewskiego. Myśl tę postanowiono na zjeździe w Tylży d. 14 października. W skład ciała projektującego wchodzi i poważne nazwiska jako to: Szlejchera, Potta, Szmidta, Miklosicza i innych, bezwątpienia zasłużonych lingwistów. „Miklosicz, mówi *Gazeta Warszawska*, ten uczony Słowianin pośród znakomitości niemieckich mocno nas uderzył. Jeżeli założyciele Towarzystwa litewsko-literackiego zgłosili się do Miklosicza, dla czegoż pominęli księdza Malinowskiego, głębokiego znawcę litewszczyzny? Wszak z Tylży nie tak daleko do Komornik pod Poznaniem. Dlaczego pominęli d-ra Karłowicza, który ciekawą ogłosił rozprawę o języku litewskim.”

Do wiadomości podanych tam o autorach gramatyki litewskiej, dodać winniśmy jeszcze wzmiankę o *Gramatyce litewskiej* wydanej przez niedawno zmarłego w Warszawie Konopackiego, który do ostatniej chwili życia zachował gorące zamiłowanie rodzinnej ziemi swojej, Litwy, i zbieraniem materyałów do badania jej mowy gorliwie się zajmował.

— Herman Hettner. *Historja literatury angielskiej od czasów przywrócenia królestwa, aż do drugiej połowy XVIII stulecia (1660—1770)*, przekład podług trzeciego wydania niemieckiego, przez Piotra Chmielowskiego i Edwarda Grabowskiego. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala (pod kierunkiem Redakcyi *Kłosów*), Nowy-Świat, nr. 1258a (39 nowy).

Jestto dalszy ciąg znanej powszechnie i ocenionej przez ogół publikacyi *Biblioteki najcenniejszych utworów literatury europejskiej*. Przedmiotem obecnego dzieła jest drugi z trzech aktów rozwoju piśmiennictwa angielskiego, uosobiony w najcenniejszych męzach nauki, poezyi i dramatu, gdzie nad licznym szeregiem geniuszów i talentów góruje: Newton, Bacon, Locke, Hume, Milton, Dryden, Young, Sheridan. Na czele dzieła podano tu treściwie wiadomości o autorze, H. Hettnerze, który w obecnym stanowisku dziejopisarstwa, słusznie za wzorowego jest uważanym powszechnie, ze względu na punkt widzenia, na zdolność pochwylenia charakterystyki czasów i osób, oraz na znakomity wykład i ocenę treści we wszystkich dzielnicach piśmiennictwa. Szczegółowego sądu o tej ważnej książce podać nieomieszkamy.

— Jedna z najpiękniejszych powieści historycznych J. I. Kraszewskiego: *Grzechy hetmańskie*, wyszła nakładem S. Lewentala.

— W *Revue politique et littéraire* pod działem: *Wielcy muzycy*, p. Leo Quesnel umieścił wspaniały artykuł *O Szopenie*, biorąc za podstawę dzieło p. Karasowskiego.

— *Kronika Rodzinna*, pismo wychodzące dnia 1 i 15 każdego miesiąca, wychodzić będzie i nadal w r. 1880. Cena prenumeracyjna pozostanie taż sama (w Warszawie rocznie rs. 4, na prowincyi z przesyłką pocztową rs. 5); stosownie do téj ceny można prenumerować półrocznie i kwartalnie.

— Z Krakowa donoszą, że dnia 8 zeszłego miesiąca nastąpiło uroczyste poświęcenie szkoły sztuk pięknych, w obecności dyrektora Jana Matejki i uczniów zakładu. Przemawiali na téj uroczystości: ks. Golian, który spełnił obrzęd religijny, a następnie dyrektor Matejko.

— Piszą z Krakowa: Zaraz po śmierci nieodżałowanej pamięci Lucyana Siemieńskiego, powstała myśl zupełnego o ile możności wydawnictwa dzieł tego znakomitego pisarza, na rzecz pozostałej po nim wdowy i rodziny. Utworzył się téż w tym celu komitet, w którego skład weszli: prezes Akademii umiejętności dr. Mayer, jako przewodniczący i pp. Aleks. Szukiewicz, prof. Łepkowski, Estreicher, prof. Szujski, prof. hr. Tarnowski i dr. Piekosiński jako członkowie. Komitet rozpatrzył vszy się w trudnościach tego wydawnictwa, przyszedł do przekonania, że wydawnictwo dzieł Siemieńskiego niemoże być zupełnem już dla tego samego, iż wiele pojedynczych rozpraw, monografii, tłumaczeń i powieści znajduje się w rękach wydawców, którzy je na swoją wyłączną nabyli własność. Oznaczywszy termin kilkumiesięczny, komitet wezwał wszystkich wydawców, aby się zgłosili z swemi pretensjami do dra Mayera. Niektórzy z nich, jak np. p. Lewental w Warszawie (którego własnością jest wspaniały przekład *Odysei*), oświadczyli, że zgadzają się chętnie, aby nabyte przez nich dzieła weszły w skład rzeczzonego wydawnictwa, inni zaś niewątpliwie pójdą za tym przykładem. Komitet więc przystąpił do rozpoczęcia wydawnictwa i postanowił, że wydanem zostanie 10 tomów dzieł Lucyana Siemieńskiego, obejmujących najcenniejsze jego utwory beletrystyczne, krytyki, przeglądy artystyczne, rozprawy literackie i naukowe, poezye, tłumaczenia i t. d. Wiele z najpiękniejszych może pereł tego wdzięcznego pióra, po różnych rozproszyło się pismach codziennych i miesięcznych przeglądach; wybór ich komitet powierzył prof. Stanisławowi hr. Tarnowskiemu. Szanowny profesor przygotował już materiał do tego tomu, który prawdopodobnie w tym roku opuści prasę. Komitet chcąc zebrać potrzebne fundusze na pokrycie kosztów wydawnictwa, ogłosił przedpłatę na 10 tomów dzieł Lucyana Siemieńskiego w cenie 30 ztr., z dodatkiem, że można także nabywać każdy tom z osobna po 4 ztr. W Warszawie przedpłatę na dzieła Lucyana Siemieńskiego przyjmuje księgarnia pp. Gebethnera i Wolffa, w cenie rs. 24 za 10 tomów, a rs. 3 za tom jeden.

— Z Torunia: Towarzystwo naukowe toruńskie rozpisalo konkurs na dzieło opisujące miasto Toruń.

Książę August Czartowski złożył na ten cel 300 marek. Prezes wydziału historycznego, Adam Sierakowski, dodał ze swéj strony 200 marek. Towarzystwo naukowe ma zatém obecnie 500 marek do roz-

porządzenia. Sumę tę przeznaczają ono jako nagrodę konkursową za najlepszy opis miasta Torunia.

Komisya wręczy 500 marek autorowi téj pracy, którą za najlepszą uzna.

Rękopism pozostanie własnością autora, jeśli tenże zobowiąże się swą pracą w przeciągu trzech miesięcy, od chwili doręczenia jéj komitetowi, wydrukować własnym kosztem i odpowiednią zobowiązaniu złożyć kaucyą, lub inną da pewność. W razie przeciwnym własność przejdzie na rzecz Towarzystwa naukowego toruńskiego, a autor dostanie 50 odbitek w razie wydrukowania jego pracy nakładem Towarzystwa.

Opis miasta Torunia powinien zawierać krótko, a przystępnie napisany ustęp o założeniu i dalszym historycznym rozwoju Torunia z uwzględnieniem miejscowych podań i legend, sposobu życia i zarobkowania mieszczan toruńskich za czasów polskich, tudzież historyi cechów miejskich.

Przytém nienależy pominąć opisu życia flisaków, lecz trzeba przedstawić je w żywych barwach. Dalej wypada opisać wszelkie piękniejsze kościoły, ciekawsze budynki i zbiory toruńskie, odżywić przy tych opisach odpowiednie wspomnienia historyczne: słowem niczego nie opuścić, coby w szerszém kole czytającej społeczności mogło popularyzować ten opis Torunia.

Komisya konkursowa zastrzegła także, aby praca wolną była od wszelkiej dążności uwłaczającej uczuciom religijnym i obywatelskim czytelnika.

Przy końcu opisu autor powinien wyszczególnić wszystkie instytucje polskie w Toruniu dzisiaj istniejące, wraz z historią założenia i oceną obecnéj ich działalności.

Rękopisma należy przysyłać na ręce p. Adama Sierakowskiego w Waplewie pod Starym-targiem (Altgrad) przed 1 kwietnia r. 1881.

— Z początkiem przyszłego roku przybywa pismo czasowe: *Wieczór rodzinny*, ilustrowane dla dzieci. Z ogłoszonego przez redakcyą prospektu dowiadujemy się, że w pośród pracowników tego, rzeczywiście pożądanego pisma, wchodzić będą ludzie z ustalonym imieniem w naszém piśmiennictwie. W prospekcie czytamy:

„Szczepić zasady wiary i moralności, budzić zamiętowanie do pracy, podawać w formie przystępnej i zajmującej wiadomości naukowe: oto jest założenie, jakieśmy sobie zakreślili. Znajomość przyrody i znajomość dziejów ludzkości, są to dwa główne źródła wiedzy ludzkiej. Z obu tych źródeł zamierzamy czerpać jednocześnie, zachowując pomiędzy niemi równowagę, która w czasach naszych zbyt często zachwiana bywa w systematach wychowawczych. Oprócz nauki w ścisłym znaczeniu, niemniej na względnie mieć będziemy kształcenie charakteru, rozwijając poczucie i zrozumienie obowiązku, budząc w duszach młodych i nieskażonych zamiętowanie wszystkiego, co dobre, szlachetne i piękne. Cel ten najłatwiej osiągniemy, wskazując dziatwie

zawczasu drogę przez ojców naszych wytkniętą, zaznaczoną wzorami cnoty i poświęcenia; dlatego téż, obok działów naukowych, zamierzamy także prowadzić obszernie dział religijno-moralny, oparty przeważnie na przykładach pouczających, z rzeczywistości czerpanych. Nakoniec i objawy życia społecznego nie powinny być obce dla młodzieży; nie omieszkamy téż zaznajamiać naszych czytelników w sposób właściwy z ważniejszymi bieżącymi sprawami, które cały wykształcony ogół obchodzą." Redakcyą i wydawnictwo pisma wzięła na siebie p. Ludwika Haukówna. Kierunek części literackiej objęła p. Marya Julia Zaleska, utalentowana popularyzatorka wiadomości z nauk przyrodniczych, autorka szeroko upowszechnionych *Wieczorów Czwartkowych*. Jako współpracownicy występują osoby znane i zasłużone w zakresie prac pedagogicznych, panie: Borkowska Aleksandra z Chomętowskich, Dzieduszycka Anastazy, Krakowowa Paulina, Zajączkowska Zuzanna; panowie: Anczyc Wł. Ludwik, profesor Kowalski Tadeusz, Nowicki Władysław, Pietkiewicz Antoni (Adam Pług) i wielu innych.

— Zwracamy uwagę czytelników na zapowiedziane przez redakcyę *Wędrowca*, nader poważne wydawnictwo, z rokiem przyszłym 1880 rozpocząć się mające, które ze wszelch miar zasługuje na poparcie ze strony ogółu. Jestto *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*. Zamierzone to wydawnictwo, po ukończeniu ma tworzyć pięć tomów, każdy o 960 stronicach druku. Obok wiadomości geograficznych i statystycznych, przedstawione tu będą fakta dziejowe, ekonomiczne i społeczne, pod względem religii, szkół, przemysłu, zgoła w zagrupowaniu wszystkich znamion danej miejscowości dotyczących. *Słownik geograficzny* zawierać będzie:

1. Wszystkie miejscowości położone w Królestwie Polskiem.
2. Wszystkie ważniejsze miejscowości w guberniach nadbałtyckich, zachodnich i południowych Cesarstwa Rossyjskiego.
3. Miasta gubernialne, stacye pocztowe, telegraficzne i stacye dróg żelaznych w pozostałych guberniach Rossyi Europejskiej.
4. Wszystkie ważniejsze miejscowości Prus Zachodnich i Wschodnich, W. Księstwa Poznańskiego i Szlązka Pruskiego, ze szczególnym względem na słowiańskie nazwy miejscowości, dziś zniemczone.
5. Wszystkie ważniejsze miejscowości Galicyi, Szlązka Austriackiego, Morawy, słowackich komitatów Węgier, Bukowiny, także z uwzględnieniem dokładności w nomenklaturze okolic, które uległy wpływowi: germanizacyi, madziaryzacyi i romanizacyi.
6. Dokładna hydrografia i orografia wymienionych powyżej krajów.
7. Wszystkie miejscowości będą opisane pod względem geograficznym, statystycznym, społecznym (szkoły, stosunki religijne, przemysł, komunikacye, handel), historycznym (założenie miejscowości, wypadki ważniejsze, przechodzenie z rąk do rąk) i archeologicznym.

— Jednym z donioślejszych następstw uroczystości październikowej, jest rzucona przez Jubilata myśl wydawnictwa dzieł popular-

nych wszelkiego rodzaju, na wzór czeskiej *Macierzy*. Wieści o złożonym jakoby na ten cel funduszu na ręce prezydenta miasta Krakowa, okazały się przedwczesnemi. Dostojny Jubilat, w liście zamieszczonym w *Kłosach*, takie w tym przedmiocie daje wyjaśnienie:

„Zmuszony jestem—pisze J. I. Kraszewski—list ten rozpocząć od sprostowania wiadomości niedokładnej, dotyczącej się założenia instytucji na wzór istniejących w innych krajach słowiańskich *Matycy*, czyli „*Macierzy*.”

Dzienniki doniosły o wręczeniu na ten cel pewnej sumy prezydentowi miasta Krakowa, d-wi Zyblikiewiczowi, co on już wyjaśnić zapewne musiał, iż jest fałszywem.

Myśl instytucji przeszło od lat dwudziestu w sobie nosimy.

Była chwila, gdyśmy z przyobiecanego nam już legatu ś. p. Berzowskiego, blizkimi byli jej urzeczywistnienia; na nieszczęście, p. Berzowski zmarł, nie uczyniwszy nic prawnie: została w rękach naszych tylko karteczka, a rodzina nie uważała się za obowiązana nią.

Dziś mamy obietnice i zapewnienia funduszków dla założenia tej marzonej oddawna przez nas *Macierzy*, ale dotąd nie możemy stanowczo zapewnić, czy uda się nam doprowadzić do skutku to zaprawdę wielkie dzieło; zależy to od dobrej woli tych, co nam chcą przyjść w pomoc, a którym chętnie sławy, zasługi, wszystkiego ustąpimy, byle praktyczną instytucją stworzyli.

Akt fundacyjny, przez nas spisany, a zapewniający byt trwałe, wiekuisty, jeśli po ludzku się tak co nazwać może, *Macierz*, czeka i będzie poddanym wspólniej naradzie tych, których opiece powierzyć ją myślimy.

Dotąd więc, oprócz mojego marzenia i obietnic, niema nic jeszcze.

Tymczasem już się ozwały pewne pisma z krytyką samej myśli zasadniczej przyszłej instytucji, uważając taką „*Macierz*” za coś zbytecznego, przedpotopowego, kiedy oto gotową jest—„*Alma-Mater*,” akademia.

Jestto u nas zwyczajem, czy nałogiem, na instytucje i na ludzi dobrej sławy niepomierne kłaść brzemiona...

Są tacy nieszczęśliwi, co we wszystkiem przydować muszą; są takie zakłady, którym się wszystko powierza.

Jestto jedyny środek, aby się nie ani w porze, ani dobrze nie zrobiło.

Mamy najwyższą cześć dla Akademii i jej prac, uwielbienie dla tych, co ją wykołysali i do takiej mężkiej doprowadzili dojrzałości; lecz właśnie dlatego, że Akademia i *Alma-Mater* mają ogrom zadań przed sobą, brzemiona wielkie: nowych im się narzucać nie godzi.

Oprócz tego, instytucja, mając cel bezpośredni przed sobą, pośrednio też przyczynić się powinna do wyrobienia nowych sił, nowego ogniska pracy, nowych ludzi: zbytku ich niémamy.

Warunki też, zakreślone aktem fundacyjnym, wymagają więcęj daleko czujności, niżby mężowie obarczeni i tak pracą wielką, dać mogli.

Ze wszech miar więc uorganizowanie zarządu musi być niezależnym w wyborze osób; zdaniem naszym, powinno dać rękojmią, iż jednostronnością nie grzeszy.

Działanie *Macierzy* musi, aby było skutecznym, objąć rozmaite potrzeby oświaty, w różnych miejscowościach, których znajomość będzie też warunkiem wyboru członków zarządu.

Na tém niech będzie na dziś dosyć, z uprzejmą prośbą do naszej prasy wogóle wystosowaną, aby się z sądem o instytucyi przyuważniejszej wstrzymać raczyła, dopóki ona pewnych podstaw bytu nie uzyska.

Byłoby to dla nas największym szczęściem, gdybyśmy choć najskromniejszy udział w sprawie takiej doniosłości mieć mogli."

— Sprawa konkursowa co do rzeźb, mających ozdabiać gmach sejmowy we Lwowie, o której podaliśmy czytelnikom wiadomość obszerniejszą w swoim czasie (w *Bibliotece Warszawskiej*), została rozstrzygniętą. Komisya zebrała się pod prezydencją marszałka Wodzickiego w komplecie i po bardzo wyczerpujących rozprawach, uznała z pomiędzy modeli grupy z trzech figur, za najlepszy pod każdym względem model opatrzony napisem „Florenca.”

Drugi z rzędu medal, uznany za najlepszy, ma godło: „Progre diamur.” Trzeci z rzędu, względnie do pozostałych najlepszy, ma dewizę: „Przez pracę.”

Po otwarciu kopert do modeli dołączonych, okazało się, że model najlepszy wykonał rzeźbiarz warszawski p. Rieger. Drugi z rzędu model uznany, jest dziełem rzeźbiarza Marconiego, rodem z Warszawy, osiadłego we Lwowie. Trzeci model wykonał p. Mikulski, bardzo utalentowany młody rzeźbiarz, także mieszkający we Lwowie i także rodem z Warszawy.

Trudniejsze miała zadanie komisya z modelami dwu grup trzyfigurowych: *Praca i Oświata*, które stanąć mają u wejścia do gmachu. Model *Oświaty* opatrzony również napisem *Florenca*, uznany został za najlepszy. Krakowianin p. Trembecki przysłał z Paryża model *Pracy*, pod napisem *Próbka*, który za najlepszy uznano. Modele czterech cnót i dwie grupy królów, nie zyskały uznania. Grupy: *Mieczysława I, Kazimierza W.*, oraz książąt: *Włodzimierza i Jarosława* będą przedmiotem nowego konkursu. Cztery figury wyobrażające: *Wiare, Miłość, Prawdę i Sprawiedliwość*, poruczone zostaną bez konkursu dwom wółzawodnikom, dającym najwięcej rękojmi dobrego wykonania.

— Z ostatnich nowości literatury zagranicznej, w uzupełnieniu poprzedniej wzmianki, na pierwszym miejscu wspomnieć winniśmy o studjum niemieckim Aleksandra Pechnika p. t.: *Herman i Dorotea* Getego i *Pan Tadeusz*, czyli *Ostatni zajazd na Litwie* Adama Mickiewicza (*Goethe's: Hermann und Dorothea und Herr Thuddaeus oder der letzte Eintritt im Lithauen, von Adam Mickiewicz, eine Parallele mit Beigabe von mehreren Auszügen aus den letzteren Gedichte*).

Autor w przedmowie w ogólnych konturach nakreśla przed publicznością niemiecką, charakterystykę olbrzymia pieśni polskiej, uzasadniając tym sposobem zamierzony paralelizm. Pierwszą część studjum poświęca téj kwestyi, czy *Herman i Dorotea* są epopeją; przechodzi komicznie i patosowe pierwiastki tego poematu. W drugiej, obszerniejszej części, podaje układ *Pana Tadeusza*; dalej następują obszerne ustępy w wyborzym przekładzie wierszem, jako to: *Polowanie, Uczta, Opis serwisu* i t. p. Na końcu samym mamy porównanie obu poematów. Z powodu i naukowej powagi i osobliwego dla nas znaczenia téj pracy pana Pechnika, nie omieszkamy zapoznać z nią bliżej czytelników, uprzedzając przytém, że p. Pechnik przyrzeka nam *całkowity* przekład *Pana Tadeusza* (Tłómaczenie *Pana Tadeusza*, dokonane w r. 1836 przez O. Spaziera, jako słabe, a niekiedy i niezrozumiałe, nie mogło przedstawić Mickiewicza w godnym świetle przed światem germańskim).

— Literatura etnograficzna zyskuje znakomity, acz kosztowny przyczynek: jestto publikacya p. t.: *Ameryka północna-malownicza* (*L'Amérique du Nord Pittoresque*). Wychodzić będzie co tydzień zeszytami o 16-tu stronicach (cena 1 frank). Całe dzieło zawierać będzie 800 stronic w 4-ce na wytwornym papierze, umyślnie na ten cel wyrobionym. Ilustracye (300) wyjdą z pod ręki najznakomitszych artystów amerykańskich i przedstawiać będą cuda owéj natury Stanów Zjednoczonych i Kanady, która rzeczywistością przewyższa wyobraźnię ludzką, zaczynając od ś. Wawrzyńca i Jezior Północnych, aż do pustyń Far-Westu i Gór Skalistych. Dodaną będzie przytém wspaniała mapa kolorowana, jako wskazówka topograficzna do opisu, którego tekst również starannie prowadzonym będzie. Paryż. A. Quantin (cena 60—70 franków).

— W tymże dziale zwracamy uwagę czytelnika na nowe pismo miesięczne: *L'Afrique explorée et civilisée* (*Afryka zbadana i ucywilizowana*), wydawane przez Gustawa Moynier, pod redakcyą M. Charles Faure. Genève et Neufchatel. J. Sandoz.

— Do rzędu również znakomitych dzieł, należy publikacya angielska: *Encyklopedya kuli ziemskiej*, króra w obecnej chwili doszła do tomu VI i ostatniego. Tytuł jój szczegółowy jest: *The Globe Encyclopaedia of Universal Information*. W *Encyklopedyi* téj nie pominięto i naszych znakomitości literackich, artystycznych i t. d.

-- Ważnem i godnem przekładem jest dzieło pani Brassey, opisujące jój podróż naokoło świata. Pani Brassey zdrowym poglądem, żywością opowiadania, przypomina Idę Pfeifer, a plastycznością przedstawienia w wielu miejscach nawet ją przewyższa, acz swoją podróż p. Brassey odbyła w ciągu jedenastu miesięcy. Szczególniej interesującemi są obrazy Japonii, a jeszcze bardziej wysp Sandwich. Pani Brassey przybywszy do Hawaj, sama osobiście wspięła się na wulkan, w towarzystwie najstarszej córki. Styl wytworny, tu i owdzie rzucane, jakby od niechcienia, kwiaty crudycyi, obok poważnego toku saméj



treści, sprawiają, że od książki trudno się oderwać. Tytuł jój: *Nasz pobyt na Oceanie przez jedenaste miesiące (Our Home on the Ocean for eleven months by Mrs. Brassey)*. London 1879. Longmanns et comp.

— *Plemiona Senegambii* p. Bérenger-Férand (*Les peuplades de la Sénégambie*. Paris, 1879 r.). Jestto, jak obecnie, najciekawsza książka etnograficzna. Najciekawsza dlatego, że autor, powściągnąwszy pióro od wyszukanych poglądów ze stanowiska psychologii ras, przedstawia nam, co właśnie jest najpożądanyszem w opisie czarnej rasy, jój byt domowy, ustroj rodziny, obyczaje, odzież, urządzenie mieszkań, przesady religijne: zgoła te najistotniejsze strony życia ludu, które najlepiej poziom jego umysłowy, moralny i społeczny unaoczniać nam mogą. P. Bérenger-Férand, jako lekarz, długi czas przepędziwszy w Senegambii francuzkiej, mógł głębiej, jak ktokolwiek inny, wnikać we wnętrze charakteru tego ciekawego, ale podejrzliwego szczepu, który przedewszystkiem wystrzega się tego, aby człowiekowi białemu dozwolić zerwania zwierzchniej łuski tego wnętrza.

Co do cywilizacyjnej przyszłości szczepu negryjskiego, autor odpycha wprawdzie ze wstrętem dogmat staro-amerykańskich statystów, usprawiedliwiających handel „żywym hebanem” i dowodzących niemożliwości kultury murzynów; ale inniema on, że długich wieków potrzeba jeszcze dla podniesienia negra z zastoju, sensualizmu i zabobonów na pierwszy szczebel w kierunku cywilizacji białych.

— *Towarzystwo odrodzenia we Włoszech i sztuka* p. Huberta Janitszek (*Die Gesellschaft der Renaissance in Italien und Kunst* 1879 r. W. Spemann). Autor tego treściwego, poważnie prowadzonego studjum, wykazuje nigdy nie przerywającą się ciągłość pomiędzy okresem odrodzenia się a sztuką starożytną. Ogniwoami téj ciągłości będzie przedewszystkiem: spadkowe stanowisko, jakie zajęły Włochy po Grecyi. Włochy téż nazywa nowożytną Helladą pod względem sztuki. Podawcami smaku estetycznego byli: Dante i jego poprzednicy: Gwido Orlandi, Frescobaldi, G. Cavalcanti, a następnie Vico. Uwydatnia następnie walkę dwu prądów w humanizmie: poganizmu i idealizmu chrześcijańskiego, zakończoną pojednaniem się obu kierunków, zespoleniem się ducha religijnego z filozofią, pod wpływem idei Platonówskich. Szczególniej wydatnie pokazanym jest wpływ sztuki na formy życia społecznego i rola, jaką odegrała kobieta w losach sztuki, a przez sztukę w losach kultury społecznej.

— *Obrazy historyczne* przez d-ra J. Pervanoglu (*Historische Bilder*. Lipsk 1879 r.). Ta znakomita publikacya, zapowiedziana na wielkie rozmiary, w téj chwili rozpoczęła się tomem I-szym p. t.: *Andronik Komnen*, zawierającym najgłówniejsze obrazy z dziejów bizantyjskich. Następny tom zawierać będzie: *Opowiadania o cesarzu Alekсыyszu*.

— *Historja marynarki powszechnej (Histoire de la Marine de tous peuples* przez A. du Sein. Paris. Didot). Poczynając od okresu biblijnego, autor podaje dzieje marynarki, aż do upadku potęgi mor-

skieję genuęczyków; tom II-gi zawiera historią floty w Skandynawii, Turcyi, Hiszpanii, Portugalii, Francyi, Anglii, Hollandyi i Rossyi.

— Maks Müller: *Księgi Święte Wschodu* (*The Sacred Books of the East*). W chwili, kiedy sofistyczne zastosowanie hasła: „*lux ab oriente*” w filozofii niemieckiej stoi na porządku dziennym i kiedy Schopenhauer powiada, że *Upnekbat* (jedna z ksiąg Indyi) była dla niego pociechą w życiu i będzie pociechą w świecie; zasoby tej uszczęśliwiającej wiedzy przyływają coraz to większemi partjami. Sprawiedliwie odzywa się myśliciel angielski, że zawołani sceptycy bywają często najłatwowierniejszymi. Tom I przekładu M. Müllera zawiera: *Upaniszady* (biesiady, konferencye uczniów z mistrzem). Tom II zawiera: *Księgi Święte Aryów*. *Upaniszady* zawierają bezwątpienia niejedno ziarno filozofii religii, ale potrzeba wielkiej odwagi cywilnej na to, aby dla ziarnka przebiegać całe staje barocco. Oto kilka wierszy z *Upaniszad*:

„Niechaj mąż rozmyśla nad sylabą *om*, zwaną *udżyta*, ponieważ *udżyta* (jedna z części wedów) zaczyna się od tej sylaby.” Łańcuch zaś logiczny, który mędrca doprowadził do tego wniosku, jest taki:

„Treścią wszystkich rzeczy jest ziemia, treścią ziemi: woda; treścią wody: rośliny; roślin: człowiek; człowieka: mowa; treścią mowy jest Ryg-Weda; treścią Ryg-Wedy: Sama-Weda; treścią Sama-Wedy jest *udżyta*, a jej początkiem sylaba *om*.”

— *Jan Chrzciciel Vico* (*Giambattista Vico als Philosoph und gelehrter Forscher* przez Karola Wenera. Wiedeń, 1879 r. Verlag v. Faesy Frick). W tym głębokim dziele autor przedstawia cały tok studyów i systematu wielkiego reformatora filozofii i historii włoskiej. Polecamy tę książkę gorąco każdemu badaczowi i miłośnikowi dziejów myśli ludzkiej, której prawdziwe przesilenie się we Włoszech, sprowadził Vico, ten Dekart zaalpejski.

— Swoje felietony o Anglii, Louis Blanc doprowadził obecnie do tomu III. Ogólny tytuł tego ważnego dzieła jest: *Dziesięciolecie dziejów Anglii* (*Dix ans de l'histoire d'Angleterre*. Paris. Plon. Levy, 1879 r.). Jest tu nadzwyczaj zajmująco przedstawione całe pasmo od Batakławy aż do śmierci Thackeray'a.

— W Paryżu, u Dreyfous, wyszło na widok publiczny dzieło p. t.: *Żywot i odkrycia Krzysztofa Kolumba*, niegdyś napisane przez (syna wiekopomnej pamięci Krzysztofa) Fernanda Colombo, w przekładzie francuzkim E. Müllera. Fernando Colombo, drugi syn Krzysztofa, był już w podeszłym wieku, kiedy się zabierał do napisania pamiętników o wielkim admirale, rodzicu swoim. Pamiętniki te, po zgonie Fernanda, dostały się kolejną czasów do rąk jego prawnuka don Luisa, który je odstąpił znakomitemu wówczas literatowi Valiano Fornari, gorącemu wielbicielowi wielkiego żeglarza. Fornari postanowił ogłosić te pamiętniki w Wenecyi, w trzech językach: oryginalnym (hiszpańskim), oraz w przekładzie włoskim i francuzkim. Przekład francuzki nie przyszedł do skutku, tekst zaś hiszpański zaginął. Otóż E. Müller

korzystał z jedynie zachowanego źródła, z przekładu włoskiego, który wyszedł w 1571 r. Będzie to podobno jeden z najciekawszych materiałów, bo prawie pierwszej ręki względnie, dziejów wielkiego Krzysztofa.

— Nowe dramata angielskie. Dwa znakomite utwory p. Ross-Neil, pod świetną wróżbą rozpoczynają zimowy sezon sceny angielskiej. Są to dwie tragedye wysokiego nastroju: jedna z dziejów dworu Jakóba I: *Arabella Stuart*; druga p. t.: *Tasso*, z żywota wielkiego poety. Szczególniej piękną, prawdziwie koturnową jest *Arabella*. Treścią jej jest potajemne małżeństwo Seymoura. Imię autora już znanem jest z powodu utworów dawniejszych (*Lady Jane Grey*, *Inez*, *Cyd El finelli*). *Arabella*, nie wątpimy, ustali sławę utwórca. Przy niej jednakże nie gaśnie i *Tasso*, postać, jak mówią krytycy, godna Talmy. Ross-Neil jest dramaturgiem-psychologiem. Umie pochwycić samo serce charakteru; silne, kalderońskie natężenia akcji, osobliwsza czerstwość realistyczna w prowadzeniu zdarzeń, wielkie myśli rozlane po całym poemacie: są to przymioty, tym utworom rokujące długie panowanie na scenie. Postaramy się zapoznać czytelnika, przynajmniej z głównymi pięknosciami obydwu.

— Najnowsze dzieło Henryka Spencera. Naczelnym wódczysiejszych ewolucjonistów, Herbert Spencer, jak sam oświadcza, zamyślał, oddawna rozwinięte w różnych pracach swoje zasady, przeprowadzić przez pozostałą jeszcze instancją: etyki. Nie rokując sobie wprawdzie, aby na to już się starczyło, postanowił jednak uczynić to, co może, dla uwieńczenia gmachu. Tém uwieńczeniem cząstkowem, ma być obecne jego dzieło p. t.: *Daty etyczne* (*The Data of Ethics by Herbert Spencer*. London, 1879 r. Wiliam et Norgate). Wierny hasłu szkoły, Herbert wyobrażenia i formy etyczne, będące w obiegu różnemi czasy, uważa za zjawiska czysto naturalne, i to, co nazywać zwykliśmy postępem moralnym społeczeństwa, podciąga on pod powszechne prawo ewolucyi i to nie w przenośnym znaczeniu wyrazu. Naukę o dobrem i złem (*the good and ill conduct*) prowadzi on jak historją naturalną. „Etyka jest filozofią spraw (*conduct*) dobrych i złych.” Sprawy uzyskują znamię dobrych lub złych, o ile zmierzają do celu: celem zaś jest zachowawczość indywidualna i ogólna. W tym dwojakim przymiocie uważać i oceniać należy charakter czynu, a wyższe lub niższe uwzględnienie tych dwu celów przez istotę żyjącą, jest stanowczą modłą do poczytania czynów jej za moralne lub niemoralne. Modła ta, podniesiona do stanowiska metafizycznego, brzmi tak: „Ostatecznym zadaniem czynów (spraw) jest otrzymanie jaknajwiększej sumy życia (*sum of life*), przy działaniu całych ras a współdziałaniu jednostek.” Tak sformułowana celowość pociągnąć musiała za sobą u autora ustanowienie pewnej hierarchii wśród jestestw ten cel spełniających, a to stosownie do mniej lub więcej doskonałych przyrządów (*adjustment*), w jakie ich natura ku ogólnemu zadaniu zaopatrzyła.

## Od Redakcyi.

1. **Biblioteka Warszawska** wychodzić będzie jak dotąd i w roku przysłym 1880. Prenumeratorowie Biblioteki na rok 1880 mogą otrzymywać zeszyty z lat poprzednich niżej ceny zwyczajnej o 50<sup>0</sup>/<sub>0</sub>; nadto mogą prenumerować w Redakcyi: *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, wydania Redakcyi *Wędrowca*, którego prospekt do niniejszego zeszytu dołączamy, po cenie niższej, a mianowicie:

w Warszawie zeszyt po kop. 50

tom po rub. 6

Na prowincyi zeszyt po kop. 60

tom po rub. 7 kop. 20

2. Redakcyja zawiadamia osoby interesowane, że sumy na wydawnictwa ludowe, z powodu Jubileuszu J. I. Kraszewskiego nadesłane, a mianowicie: **a)** rs. 1000 nadesłane przez mieszkańców miasta Odessy i **b)** rs. 719 kop. 12 nadesłane przez mieszkańców m. Kalisza na konkurs kaliski imienia J. I. Kraszewskiego, otrzymała, do warunków przez Sz. osoby, fundusz ten nadsyłające, wskazanych, zastosuje się; tymczasem zaś sumę pierwszą ulokowała na procent w Warszawskiem Towarzystwie Wzajemnego Kredytu; za sumę zaś drugą zakupiła Listy Zastawne Tow. Kr. m. Warszawy i takowe złożyła do depozytu bezpłatnego tegoż Towarzystwa.

3. **Feliks Jezierski** zatwierdzony został przez Władzę jako *Redaktor odpowiedzialny Biblioteki Warszawskiej* i z dniem dzisiejszym Redakcyą objął.

Dotychczasowemu zastępcy czasowemu Redaktora p. Dr. Karolowi Jurkiewiczowi, Redakcyja niniejszém składa swe podziękowanie.

---

# SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM,

Z R. 1879.

stron.

## *Filozofia.*

Cnota i występki. Rzecz o rozwoju dziejowym wyobrażeń o cnocie. Przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. (Ciąg dalszy). . . . .	36
Nirwana wobec metafizyki. Przez Seweryna Smolikowskiego. (Do- kończenie). . . . .	204

## *Historya.*

Franciszek Maksymilian Ossoliński, podskarbi wielki koronny. Przez Klemensa Kanteckiego. . . . .	173, 337
---	----------

## *Literatura.*

Tomasz August Olizarowski. Przez Sewerynę z Żoch. Duchyńską. . . . .	1, 222
Nasi poeci w literaturze powszechniej. Przez Feliksa Jezierskiego. . . . .	306

## *Literatura zagraniczna.*

Rzut oka na piśmiennictwo w Ameryce południowej, według źródeł hiszpańskich. Przez A. G. . . . .	64, 358
---	---------

*Bibliografia.*

Stanisław Murzynowski. Wiadomość bibliograficzna. Przez G. Z. . . . .	385
Przegląd pedagogiczny. Przez Piotra Chmielowskiego . . . . .	431
Przegląd teatralny za r. 1878. Przez F. W. . . . .	132

*Przemysł.*

Przemysł cukrowniczy w Królestwie Polskiem. Przez Antoniego Wrotnowskiego. (Ciąg dalszy i dokończenie). . . . .	93, 260, 293
Trzecia wystawa rolnicza w Szawlach. Przez Zygmunta Glogera . . . . .	145

**KRONIKA PARYZKA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.**

Historia Literatury współczesnej u ludów słowiańskich. Przez Courriera.—Dzieła uwieńczone przez Akademią francuzką.—Poemat na zadanie konkursowe: <i>Wiedza i poezya</i> .—Dzieło p. Meray: <i>Życie we Francyi za czasu Truwerów</i> .—Podróże po Ameryce południowej p. Ursel.—Przyjęcie podróżnika portugalskiego Serta-Pinto przez Towarzystwo Geograficzne w Paryżu.—Mapa miejsc urodzenia mężów najsłynniejszych we Francyi.—Rzeźbiarz Marcello: Księżna Colonna di Castiglione.— <i>Hetman Maksym</i> , powieść Etienne Marcel.—Pieśni szwajcarsko-niemieckie z powodu kongresu przyrodników w St. Gall . . . . .	115, 284
--	----------

*Korrespondencya.*

Kronika poznańska. . . . .	299
Kronika lwowska. . . . .	454

*Przeglądy piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.*

Głos prasy niemieckiej w sprawie jubileuszu J. I. Kraszewskiego. Przez F. J. . . . .	129
Histoire de la littérature contemporaine chez les Slaves par C. Courrière. Paris, 1879. Przez J. A. Świąciokiego. . . . .	153
Rocznik Zarządu Akademii Umiejętności w Krakowie za rok 1878. . . . .	162
Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń Akademii Umiejętności w Krakowie. (Wydział filozoficzno-historyczny). . . . .	166
Prawo kościelne katolickie dr. Edward Rittnera. Tom II, Lwów, 1879. Przez Edm. Krz. . . . .	317

	stron.
Gramatyka języka polskiego dla użytku młodzieży. Ułożył Stanisław Gargulski. Warszawa, bez daty druku. Przez A. B. . . . .	324
Marya Malczeskiego przed areopagiem krytyka francuzkiego. . . . .	166
Aleksander Kraushar: Pieśni Heinego. Wydanie nowe, 1880 . . . . .	472
Dziela Platona. Przekładał z greckiego Antoni Bronikowski. Tom II. Poznań, 1879. . . . .	483
D. Karola Schenkla: Ćwiczenia greckie. Do języka polskiego zastosował dr. Zygmunt Samolewicz. Wydanie trzecie. Lwów, nakładem Karola Wilda, 1879 . . . . .	487
Przyroda i przemysł. Tygodnik popularno-naukowy. Rok VIII. (Po objęciu redakcyi przez prof. uniwersytetu warszawskiego dr. Karola Jurkiewicza, od lipca 1878 do lipca 1879 r.). Przez A. W. . . . .	489
Korrespondencya do redakcyi Biblioteki Warszawskiej. Przez T. . . . .	469
Jubileusz pięćdziesięcioletniej pracy literackiej J. I. Kraszewskiego. . . . .	314
WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACK. I ART. 169, 331, 493	
NEKROLOGIA. . . . .	172,506
OD REDAKCYI. . . . .	508

---